NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM I NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 7

ANTONI SŁONIMSKI

ALEKSANDER BRAMSON

JERZY KUNCEWICZ

GUSTAW GAZDA

JULJAN TUWIM

JÓZEF ŁOBODOWSKI

MARJA KUNCEWICZOWA

STEFANJA ZAHORSKA

FERDYNAND ZWEIG

HENRYK STRASBURGER

TADEUSZ BOY—ŻELEŃSKI

JÓZEF SZCZEPAŃSKI

LONDYN
PAŹDZIERNIK
1942

PUBLISHED BY
NOWA POLSKA
91, GREAT TITCHFIELD STREET,
LONDON, W.1
Phone: MUSEUM 2077-8-9

PRZEDSTAWICIELSTWO
NA U.S.A.
"POLAND FIGHTS"
POLISH LABOUR GROUP
55 WEST 42nd STREET
NEW YORK CITY

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM I NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 7

LONDYN PAŹDZIERNIK 1942

ANTONI SŁONIMSKI.

O NACJONALIŹMIE.

„Kto mówi o interesach jednego tylko narodu, jest nieprzyjacielem wolności“.

Myśląc o tych słowach Adama Mickiewicza uznać musimy nie tylko piękno w nich zawarte ale i mądrość głęboką. A przecież wciąż jeszcze nie ma dość zrozumienia dla tej prawdy niewątpliwej, że można być patryjotą i jednocześnie zwolennikiem braterstwa ludów. Prawda ta, jak przed stu laty, napotyka na sprzeciw ze strony tych, którzy hołdują nacjonalistycznemu na świat poglądowi. A jednak przyjąć musimy prawdę jeszcze śmielszą. Prawdę, że nie można być dziś patryjotą nie będąc braterstwa ludów zwolennikiem.

Miłość ojczyzny, patryjotyzm, czyli troska o kraj, o ludzi, o kulturę, sztukę, bezpieczeństwo i sprawiedliwość społeczną w jawnym jest dziś konflikcie z nacjonalizmem, który siłę państwa na pierwszym stawia miejscu, który sile podporządkowuje wiarę, moralność i prawa jednostki. Nacjonalizm konsekwentny musi bowiem doprowadzić do uznania hitleryzmu i faszyzmu, musi uznać totalizm, jako środek celowy w budowaniu potęgi militarnej, musi wreszcie uznać prawo do podboju i co za tym idzie rozgrzeszać, rozbudzać i sankcjonować okrucieństwo, bez którego budowanie agresywnej dynamiki wojennej nie wiele jest przydatne.

Język, którym przemawia dziś nacjonalizm, operuje wartościami emocjonalnymi. Częściej w tym języku demagogicznym niż rzeczowniki i określenia, pojawiają się zaimki i przymiotniki. Słowo „My“ wiele tu usług oddaje. Zastanówmy się kogo ono określa.

Zwycięstwo haseł nacjonalistycznych przynosi korzyści pew-

nej tylko warstwie społeczeństwa. „My“ — to nie ludność robotnicza i chłopska, to nie inteligencja i ludzie budujący sztukę i kulturę danego kraju. „My“ w ustach nacjonalisty obejmować ma cały naród, ale w istocie służy posiadaczom i kaście junkiersko — urzędniczej, która w świecie bezpieczeństwa zbiorowego i sprawiedliwości społecznej traci przywileje, zrównana w starcie życiowym.

Rozbieżność panująca między interesem partii a interesem całego narodu wiele ma precedensów, a najjaskrawszym chyba będzie przykład obecnej polityki włoskiego faszyzmu. Wystąpienie Włoch w tej wojnie po stronie Hitlera trudno usprawiedliwić interesem narodowym. W razie przegranej Włochy muszą stracić, w razie zwycięstwa Niemiec staną się prowincją niemiecką. Ale jednocześnie pamiętać trzeba, że przegranie Hitlera to koniec faszyzmu. Partia faszystowska walczy tu o własne życie, o własne istnienie i własne przywileje — wbrew interesom narodu. I do tego właśnie celu posiłkuje się hasłami narodowymi i nacjonalistycznymi.

Tych, którzy w naukowej organizacji świata widzą przyszłość jaśniejszą, określa się dziś mianem materialistów, a przecież to oni właśnie, ufni w dobroć ludziom przyrodzoną walczą zarówno o prawa jednostki jak i o wolność wiary. Skrajnym materializmem jest dziś nie tylko totalizm ale i nacjonalizm, zarówno bowiem etyka chrześcijańska, jak i wiara w człowieka przeszkodę stanowią w krzewieniu nienawiści plemiennej czy stanowej.

Tak więc, działając w interesie jednej tylko grupy, nazywa się nacjonalizm ruchem narodowym, a działając przeciw zasadom wiary — woła obłudnie, że służy Kościołowi.

I wśród naszej emigracji wielu istnieje ludzi, którzy tylko w powrocie do „Polski mocarstwowej“ widzą interes własny, czy interes swej grupy. Gdyby po tej wojnie świat miał się przeobrazić, gdyby zwyciężyła idea bezpieczeństwa zbiorowego, planowania w skali światowej, gdyby miejsce obozów warownych zajęła w Europie federacja czy stany zjednoczone — ludzie ci staliby się bezrobotnymi. Nie byłoby dla nich miejsca w tym świecie nowym, jakby nie było dla nich przywilejów w Polsce robotniczej i prawdziwie demokratycznej.

Dlatego zwalczają oni dziś namiętnie wszystkie próby przebudowy życia politycznego i gospodarczego. Szerzą defetyzm i sceptycyzm dla idei ponad narodowych i podniecają szowinizm i uczucia nienawiści plemiennej. Charakterystyczne jest, że w obozie tych nacjonalistów mniej się dba o nienawiść do Niemców — bo ta nienawiść nie będzie po zwycięskiej wojnie już przydatna, — ale podsyca się nienawiść do Rosji — bo na tej nienawiści budować można nadzieję powrotu do państwa nacjonalistycznego, militarystycznego, a nawet totalistycznego.

Wraz z krzewieniem tej nienawiści idzie wybielanie wszystkiego, co ostatnie lat dwadzieścia kierowało życiem polskim. W wypowiedziach publicystów i pisarzy, niestety i poetów wielu, zjawia się Polska fałszywa, Polska z ckliwej opowiastki dla młodzieży, Polska — Bohomaz. Opisują przeszłość, nadając jej barwy jasne tylko i skwapliwie zacierają obraz prawdziwy, ciemny nieraz i smutny.

Nie tak widział Polskę u zarania jej niepodległości Stefan Żeromski, gdy nie o świetność pałaców reprezentacyjnych się troszczył, ale o bezrolnego chłopa, któremu poświęcił najpiękniejsze swoje krwią i cierpieniem nasycone poetyczne słowo.

Mało dziś na emigracji pisarzy, którzyby wierni byli tej miłości do ojczyzny, która rozdrapuje rany podłości, która jak każda miłość prawdziwa udoskonalić pragnie objekt swego uczucia. Nie było tych pisarzy wielu w ostatnich smutnych latach przedwojennych w Kraju, gdzie do głosu dochodził podniecony nacjonalizm, gdzie fałszerz literacki wysługiwał się rufianom narastającego totalizmu.

Były przecież głosy, które na przekór tej, zdawało się niezwyciężonej, fali nieustępliwie służyły wzgardzonej idei braterstwa ludów.

„Bo kto poczuł się cząsteczką świata,
Tego nic już zastraszyć nie może".

Czyjeż to są słowa ? Jaki to napisał poeta w Polsce, w ostatnich przedwojennych latach ? Jest to wiersz ukraińskiego poety Aleksandra Hawryluka, a powstał ten wiersz w Berezie Kartuskiej. Niech się ci, którzy dziś mówią o Polsce mocarstwowej, zamyślą nad tym faktem i nad tymi słowami, jakże gorzkimi dla nas, polskich poetów. I niech pomyślą nad tymi słowami ci, co głosząc hasła idei Jagiellońskiej, w federacjach widzą tylko sposobność dogodną do panowania nad narodami bratnimi.

Mocarstwowość i nacjonalizm, supremacja siły nad prawem mogłaby mieć jeszcze pewne logiczne podstawy w polityce państw silnych. Trzeba walczyć z tą ideą, należy się jej przeciwstawiać, ale nie można jej odmówić pewnego drapieżnego sensu. Ale cóż powiedzieć o słabym, który domaga się usankcjonowania przemocy, który nie widzi, że w świecie rządzonym przez siły drapieżnych imperializmów, nie ma dla nas miejsca ? Kraj nasz zbyt mały i ubogi, aby się oprzeć przemocy wielkich potęg militarnych i gospodarczych, kraj nasz leżący na ścieżkach wojennych Europy czyż ma być znów deptany żelazną stopą wojny ? Czyż mamy się oprzeć na wątpliwym wynalazku Medyceuszów, na „równowadze sił", czy na megalomanii dufnej kasty rządzącej ? Czyż ma znów żołnierz polski z gołymi iść rękami na tanki ze Wschodu idące czy z Zachodu ? Tylko ci, którzy są nieświadomi zmian, jakie zaszły na świecie, mogą na tym opierać przyszłość naszego Kraju. Można było

jeszcze w 1920 roku osiągać zwycięstwa odwagą i brawurą, można było kiedyś kosami zdobywać armaty, ale dziś decyduje na polach bitew nie sam animusz ale i potencjał gospodarczy i uprzemysłowienie.

Czy zmiany, które świat przeobraziły, umniejszają naszą zdolność samoistnego istnienia? Wydaje mi się, że jest wprost przeciwnie. Zastanówmy się nad tym światem zmienionych warunków życia ludzkiego na ziemi. Ostatnie lat kilkadziesiąt bardziej świat przeobraziły, niż dawne stulecia. Walka o byt z naturą stała się anachronizmem, bo człowiek jest zdolny wyprodukować wszelkiego dobra ilości nieograniczone. Niedostatek — owo źródło konfliktów plemiennych, łatwiejszy jest dziś do przezwyciężenia. Aby ludzkość utrzymać w ubóstwie i nierówności trzeba dziś sztucznych sposobów, trzeba palenia zboża i kawy, bo niema przeszkód istotnych do zabezpieczenia człowiekowi pełni środków do życia. Dlatego w tym świecie zmienionym nowe nas muszą obowiązywać normy, inne wyrastają przed nami zagadnienia, i zarówno heglowskie świata widzenie, zarówno marxizm jak i doktryny nacjonalizmu ulec muszą rewizji. Zarówno sorelowskie pojęcie nacjonalizmu, jak leninowska dyktatura proletariatu wyrosły w czasach, gdy świat był ubogi, gdy niedostatek dóbr wszelkich był zagadnieniem naczelnym, gdy nie było jeszcze możności zaspokojenia podstawowych potrzeb wszystkich ludzi glob ziemski zamieszkujących, gdy kraje oddzielone były przestrzenią trudną do przebycia. Trzeba pamiętać, że w czasach Cezara, list wysłany z Rzymu do Galii szedł tak samo długo, jak list Napoleona z Rzymu wysłany do Francji. Dziesiątki bowiem stuleci mniej kraje do siebie zbliżyły, niż ostatnie dziesięciolecia. Unifikacja świata, przezwyciężenie wielu sił natury, przesunięcie źródła konfliktów — wszystko to wymaga nowego na świat spojrzenia.

Są tacy, którzy przyznają, że nauka i technika istotnie przeobraziła warunki życia na ziemi, ale którzy głoszą, że natura ludzka nie uległa zmianie. U jednych ten pesymizm płynie z istotnej niewiary w możność wychowania i kultywacji pokoleń wolnych od nienawiści, u innych zaś ta niewiara jest koniecznym akcesorium dla obrony swych przywilejów, dla podtrzymywania starego świata chaosu kapitalistycznego i wojennego pogotowia.

Sceptycyzm, oparty na dość zrozumiałym zgorzknieniu, płynącym z doświadczenia historycznego, nie powinien chyba zwalniać z obowiązku działania i próby, bo przecież historia nie zna precedensu pokoleń wyrosłych w ogólnoludzkiej koordynacji, a bez takich prób wielokrotnych mówić można tylko o przewidywaniach, a nie o ugruntowanej empirycznie prawdzie. Takie doświadczenia historyczne przeciwstawić tu trzeba prawdom przyrodniczym, materiał dość nieścisły, zebrany w ciągu lat paru zaledwie tysięcy — prawdom wiedzy przyrodniczej, opartej na metodach ściślejszych i operujących materiałem lat

setek tysięcy. Opisom plemion pierwotnych, podawanym przez awanturniczych zdobywców — przeciwstawić trzeba dzieła nowszych etnologów i antropologów, u których znaleść można wiele rewelacyjnych wręcz danych o ludzkiej naturze, a przyrodzonej człowiekowi dobroci i wiecznym, niewygasającym dążeniu do doskonalenia wszystkich ludzkich poczynań.

Ci sami, którzy karali chłostą krytykę tez arystotelowskich, ci, którzy nie wierzyli w krążenie krwi i w system Kopernika, którzy walczyli zarówno z Pasteurem jak i pierwszymi wynalazcami cięższych od powietrza machin latających, ci którzy szydzili z Fultona, otruli Sokratesa, więzili Kolumba — i dziś walczą namiętnie z nowym, idącym obrazem świata zmienionego, uszlachetnionego, wolnego od nienawiści rasowej i klasowej, wolnego od strachu bardziej deprawującego niż głód i od głodu straszniejszego od wojen.

Droga, którą wskazujemy, to droga najpiękniejszych tradycji, to spełnienie wielkich przykazań Adama Mickiewicza, to wierność wobec postawy inteligencji polskiej, która wzorem Śniadeckich, Staszyców, Chałubińskich, ożywiona patriotyzmem a wolna od nacjonalizmu szła z ludem i krzewiła hasła postępu. Cechował zawsze inteligencję polską idealizm, który jest zaprzeczeniem cynicznego i koniunkturalnego poglądu na życie polityczne, poglądu tak typowego dla naszych działaczy i publicystów młodszego pokolenia, którzy wątpliwy „realizm“ przeciwstawiają każdej szlachetnej próbie przebudowy świata, którzy „racją stanu“ rozgrzeszają niemoralność każdą i każde okrucieństwo.

Rozum wskazuje nam, że my Polacy winniśmy się sprzymierzać z tym rodzącym się szlachetnym dążeniem do ustalenia nowych praw współżycia międzynarodowego. Tylko bowiem w świecie sprawiedliwości społecznej i międzynarodowej znajdziemy miejsce dla życia i rozwoju. Mówi za tym rozum i mówi uczucie. Tylko bowiem w tym świecie nowym wyzwoleni będziemy z obłudy, fałszu i brutalności zatruwających nasze życie osobiste, naszą moralność i wiarę. W tym świecie nowym karty ksiąg naukowych jak i karty Pisma Świętego przestaną być tasowane ręką szulerską, przestaną służyć grze oszukańczej. Tylko przyjęcie tych szerokich zasad prawdziwego braterstwa ludów wyzwoli nas z dwoistości moralnej, z etyki koniunkturalnej inaczej stosowanej w życiu jednostki, a inaczej w życiu gromad ludzkich.

Nie my i nie nasz naród decydować będzie o skutkach tej najstraszliwszej z wojen. Nie my stanowimy przeszkodę i niebezpieczeństwo dla lepszej i szlachetniejszej przyszłości. Nie od nas tylko zależy, czy wojna ta przyniesie wyzwolenie człowieka, czy też będzie jednym z kataklizmów spychających gatunek ludzki na drogę zagłady i upadku. Ale jest naszą sprawą współdziałać w nowego świata budowie i do tej współ-

pracy z wszystkimi ludźmi dobrej woli przyjść musimy wolni od przywar nacjonalizmu, rodzącego nienawiść. Pilnować musimy praw ludu polskiego, ale nie myślmy o interesach naszego tylko narodu, abyśmy nie byli poczytani za nieprzyjaciół wolności.

Zwalczając nacjonalizm niemiecki, baczmy, aby herezja z którą walczymy, nie krzewiła się w naszych szeregach. Nie jest to wojna o stare czy nowe imperia, nie jest to wojna o doraźne zmiany układu sił zbrojnych, ani nie jest to wojna o sukcesy terytorialne siłą oręża zdobyte. Jest to wojna o świata przeobrażenie, a żołnierz krew swą w tej wojnie przelewający jest bojownikiem wielkiej armii rewolucyjnej, walczącej o życie sprawiedliwsze, moralniejsze, piękniejsze.

ALEKSANDER BRAMSON.

PRAWA CZŁOWIEKA A PRAWO NARODÓW

„Nadejdzie dzień, gdy prawo będzie rządziło światem“.

MIRABEAU.

1. CZŁOWIEK JAKO PODMIOT PRAWA NARODÓW.

Tradycyjna nauka prawa narodów jednomyślnie i niezmiennie uważała je za prawo stosunków pomiędzy państwami. Wprawdzie konstytucja szwajcarska z 1874 r. przyznała obywatelom pewne prawa na mocy traktatów międzykantonalnych a nawet międzynarodowych, których dochodzić mogą przed sądami powszechnymi (art. 113), jednak dopiero w XX wieku tradycyjny pogląd został ostatecznie zarzucony. Uczeni różnych narodowości (Jellinek, Krabbe, Duguit, Fauchille, Politis, Kelsen, Verdross, Wł. Maliniak) podkreślali że traktaty międzynarodowe są źródłem praw i obowiązków obywateli, praw podmiotowych bezpośrednich lub „refleksyjnych“, i dlatego żądali rozszerzenia prawa narodów na ludzi, z których się państwa składają.

Ta niezaprzeczona tendencja prawa narodów znalazła wyraz w próbie stworzenia nowej definicji prawa narodów jako „ogółu norm, określających prawa i obowiązki państw i osób, dla których i przeciw którym prawa te i obowiązki zostały stworzone w zobowiązaniach, zawartych przez państwa na rzecz osób trzecich“.

Uznano więc, że państwo w traktatach międzynarodowych zaciąga „obligations pour l' autrui“, działa na rzecz osób trzecich, czyli swych obywateli. Jednym z czołowych przedstawicieli tej teorji jest Spiripoulos („Théorie générale du droit international“, Paryż, 1928).

W ramach tak rozumianego prawa narodów niema przeszkód, by obywatel mógł skarżyć własne państwo przed instancjami międzynarodowemi — konsekwencja, zdaniem Spiripoulosa „rewolucyjna“ („L'individu en droit international“, 1928), aczkolwiek nieunikniona dla obrony praw podmiotowych.

Czy jednak naprawdę „rewolucyjna“ ?

Prawnik polski, Marek St. Korowicz („La personnalité internationale de l'individu d'apres la Convention relative à la Haute Silesie (1922—1937)“ w „Révue Internationale Française du droit des gens“, t. VI, 1938) wykazał, że ten rzekomo „rewolucyjny“ postulat był już kilkakrotnie

realizowany, mianowicie: 1) konwencja o Międzynarodowym Trybunale Morskim z 1907 r. 2) konwencja środkowo — amerykańska z 1907 r. o utworzeniu Międzynarodowego Trybunału Rozjemczego i 3) art. 304 traktatu wersalskiego, powołujący do życia Mieszane Trybunały Rozjemcze — dopuściły osoby prywatne w charakterze stron w sporach przeciwko państwom.

Również konwencja polsko — niemiecka dotycząca Górnego Śląska (podpisana w Genewie dn. 15 maja 1922 r.) dopuszcza udział osób prywatnych jako strony w postępowaniu przed Mieszanym Trybunałem Rozjemczym, którego charakter instancji międzynarodowej szczególnie podkreślony był przez to, że prezesa tegoż Trybunału mianowała Rada Ligi Narodów. Na podkreślenie zasługuje i ta jeszcze okoliczność, że orzeczenia będącego w mowie Trybunału, ogłaszane stale w urzędowym zbiorze, miały moc precedensów wiążących, od których krajowe sądy i urzędy mogły odstąpić tylko za zgodą Trybunału. Ponadto konwencja przewidywała bezpośrednie petycje osób, należących do mniejszości, do Rady Ligi Narodów, czego niema w żadnym traktacie „mniejszościowym". Wreszcie regulamin postępowania przed Komisją Mieszaną, ustanowioną przez tęż konwencję, zawiera niezmiernie ciekawe przepisy o postępowaniu przed Prezydentem Komisji jako instancją jednoosobową. Postępowanie to F. Calonder, Prezydent Komisji, określa jak następuje: „Petentowi przyznano prawa strony w procesie. Przeciwnikiem był dyrektor Urzędu Mniejszości jako przedstawiciel władzy zainteresowanej. We wszystkich sprawach strony wymieniały pisma procesowe i z reguły odbywała się rozprawa ustna. Obie strony mogły składać wnioski dowodowe i uzasadniać swe zarzuty. Prezydent nie był związany wnioskami stron i mógł zarządzić sprawdzenie dowodów z urzędu" (przedmowa do „Recueil officiel des Avis", przytoczona przez Kackenbecka w „Le réglement conventionnel des consequences de remaniements territoriaux. Considérations suggerés par l' experience de l'Haute — Silésie", Zurich, 1940).

Słusznie wywodzi Korowicz, iż przepisy te stworzyły i uznały międzynarodową osobowość jednostki w sposób nie budzący wątpliwości. Eksperyment górno-śląski Korowicz ocenia jednak ujemnie, gdyż uzależnienie państwa od czynnika zewnętrznego uważa za „najcięższe pogwałcenie jego istoty, przeciwko któremu broni się instynktownie". Do tego zarzutu niebawem powrócimy, w tym miejscu zauważymy jedynie, iż prof. Kackenbeck, b. prezes Mieszanego Trybunału G. Śląskiego, nie miał tych zastrzeżeń i eksperyment konwencji uważa za „zachęcający".

Wreszcie po tej samej linji poszedł haski Instytut prawa międzynarodowego, jednomyślnie uchwalając w 1929 r. wniosek prof. Séfériadés'a (Ateny) w sprawie Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej. Wysoki autorytet Instytutu i treść uchwały uzasadniają przytoczenie jej w całości:

„Instytut uchwala, iż winien być utworzony Wysoki Trybunał Sprawiedliwości Międzynarodowej, do którego — na warunkach, których opracowanie Instytut sobie zastrzega, — będą miały prawo zwracać się bezpośrednio:

1) osoby, które uważają się za wierzycieli obcego państwa wskutek niewykonania lub wadliwego wykonania zobowiązania umownego;

2) osoby, których prawa pogwałcone zostały przez obce państwo w wyniku naruszenia traktatów i konwencji międzynarodowych;

3) osoby, które uważają się za pokrzywdzone przez czyn niedozwolony państwa obcego:

4) osoby bezpośrednio zainteresowane w rozstrzygnięciu konfliktu pozytywnego, dotyczącego obywatelstwa;

5) państwa w zakresie pretensji do obywateli innego państwa, o ile nie zechcą skorzystać z postępowania przed obcemi instancjami krajowemi"

(Annuaire de l'Institut de Droit International, Session de New-York, Octobre 1929, Vol. I, 556, II, 271.

Z powyższej uchwały wynika, że Instytut dopuszcza skargę osoby prywatnej przeciwko obcemu państwu z tytułu traktatów konwencji i kontraktów, a nawet czynów niedozwolonych, t.j. naruszenia jak prawa pisanego tak zwyczajów, przez narody cywilizowane powszechnie przyjętych. Co więcej, w punkcie 4-tym Instytut dopuszcza skargę obywatela przeciwko własnemu państwu, gdyż w razie pozytywnego konfliktu w sprawie obywatelstwa pozwanemi będą oczywiście obydwa państwa, które petenta za swojego obywatela uważają.

W ten sposób Instytut uznał prawo obywatela do skarżenia własnego państwa na forum międzynarodowym, a przede wszystkim uznał bez zastrzeżeń prawo jednostki do występowania przed instancjami międzynarodowemi, tem samem uznając człowieka za podmiot prawa narodów.

2. PRAWA CZŁOWIEKA A SUWERENNOŚĆ PAŃSTWOWA.

Należy zdać sobie jasno sprawę z istoty i wartości teorji suwerenności państwowej, aby odpowiedzieć na pytanie, czy uznanie człowieka za podmiot prawa narodów i międzynarodowe uznanie praw człowieka z suwerennością państwową są sprzeczne. Zagadnienie suwerenności ma za sobą wielowiekową historję, zatrzymamy się przeto tylko na najważniejszych momentach rozwojowych, uwzględniając w miarę potrzeby zagadnienie stosunku prawa międzynarodowego do prawa krajowego, ściśle ze sprawą suwerenności związane.

Stwierdzimy przedewszystkiem — wślad za Oppenheimem („International Law", London, 1940) — że pojęcie suwerenności od chwili wprowadzenia go do nauki przez Bodin'a („ De republica ", 1577) nigdy nie miało ustalonego i powszechnie przyjętego znaczenia. Bodin rozumiał suwerenność nie jako najwyższy porządek polityczny, lecz jako kompetencję państwa, wywodzącą się z prawa natury, w szczególności z tej części prawa natury, któremu jako „jus gentium" podlegają suwerenne państwa. (J. L. Kuntz „Landesrecht und Völkerrecht" w Strupp'a „Wörterbuch des Völkerrechts", tom I, 788).

W tym znaczeniu Bodin'a uważać należy za ojca nowoczesnych teoryj suwerenności ograniczonej i prymatu prawa narodów.

Według Kanta, suwerenność polega na tym, że „ żadne państwo nie ma prawa mieszania się do ustroju i rządu innego państwa " („ Zum ewigen Frieden," § 5). To słynne zdanie Kanta stało się ewangelją zwolenników t. zw. absolutnej suwerenności. Nie trudno dopatrzeć się jego wpływu u Hegla z jego teorją wszechwładzy państwa, będącego dlań uosobieniem absolutu, woli doskonałej, wyższej ponad zobowiązania międzynarodowe, niczem niezwiązanej i nieskrępowanej. Kant i Hegel — to alfa i omega późniejszej filozofji niemieckiej. Według Jheringa „ Prawo jest polityką siły," według Lassona państwo jest nazewnątrz nieograniczoną przemocą („ Prinzip und Zukunft des Völkerrechts," 1871), a traktatami związane jest tak długo jak sobie tego życzy (Seydel „ Grundzüge einer allgemeinen Staatslehre," 1893).

Tak oto teorja suwerenności doprowadziła naukę niemiecką do zaprzeczenia samego nawet istnienia prawa międzynarodowego. Czołowy jej przedstawiciel prof. Erich Kaufmann doszedł do cynicznego sformułowania teorji gwałtu w słowach : „ Der Staat, der kann, darf auch " („ Das Wesen des Völkerrechts und die clausula rebus sic stantibus," 1911). O prawie decydują więc bagnety i bomby. Oto skutki suwerenności, rozumianej jako najdoskonalsze i nieograniczone uosobienie bytu państwowego, teorji na usługach gwałtu, teorji, za którą ludzkość płaci nieprzerwanym pasmem cierpień.

Już w 1883 roku rosyjski prof. Martens zauważył, że pokojowe i

uporządkowane współżycie państw wymaga oparcia na wspólnocie międzynarodowej, a nie na suwerenności poszczególnych państw („ Droit des gens “).

Wielki Polak, prof. Leon Petrażycki uczył, że — wbrew Jheringowi — prawo i państwo opiera się na poczuciu prawnym każdego człowieka i jest zjawiskiem psychologii indywidualnej („ Teorja prawa i państwa,“ 1907-9).

Holender prof. Krabbe zastąpił suwerenność państwa suwerennością prawa, zrozumianego jako wyraz poczucia prawnego członków spólnoty, związanych wspólnym celem osiągnięcia pełni życia materjalnego i duchowego („ Die Lehre der Rechtssouveränität,“ 1906). Dla prof. Krabbe prawo jest źródłem istnienia państwa, gdy bowiem państwo ma na celu dobro swojej ludności, prawo ma na celu dobro ludzkości.

Kelsen doszedł do zupełnego zaprzeczenia idei suwerenności państwowej, która „ dotąd stanowiła przeszkodę w rozwoju prawa i wspólnoty międzynarodowej,“ i uważa, że niepodległość państw opiera się na prawie, którego szukać należy nie wewnątrz państw ani pomiędzy państwami, lecz w nadrzędnym prawie międzynarodowym („ Das Problem der Souveränität und das Völkerrecht,“ 1920).

Verdross nie odrzuca wprawdzie pojęcia suwerenności, lecz uważa ją tylko za kompetencję państwa, przyznaną przez prawo międzynarodowe („ Zur Konstruktion des Völkerrochts,“ Zeitschrift für Völkerrecht, 1914), i o tyle jest zgodny z Kelsenem.

Hettlage zamiast pojęcia suwerenności wprowadza samodzielność i niepodległość. Samodzielność polega na wzajemnym uznaniu przez państwa w granicach terytorjalnych, niepodległość podlega ograniczeniom, wynikającym z udziału państwa w rodzinie narodów („ Die Intervention in der Geschichte der modernen Völkerrechtslehre,“ Niemayer’s Zeitschrift für internationales Recht, XXXVII, 1927).

W Anglji praktyka sądowa, pomimo pewnych wahań, od prawie dwustu lat przyjęła zasadę: “ International Law is a part of the law of England.” Zasadniczy wyrok z 1764 roku powołuje się na to, że prawo międzynarodowe wynika z praktyki różnych państw i autorytetu uczonych, że akty Parlamentu mają tylko znaczenie deklaratoryjne, że niewątpliwie prawo narodów jest prawem krajowym angielskim i jako takie musi być stosowane przez sądy angielskie.

Wątpliwość, czy prawo narodów jest prawem angielskim „ per se “ czy przez adopcję, niema praktycznego znaczenia, a w dalszym rozwoju oczekiwać należy, że wszystkie państwa uznając zasadę prymatu prawa międzynarodowego, zrzekną się w swych konstytucjach prawa zmiany zasad prawa międzynarodowego przez prawo krajowe i prawa zmiany konstytucji w tym zakresie. Pociąga to za sobą konieczność orzekania nieważności ustaw sprzecznych z prawem narodów przez sądy krajowe. Tyle prof. Lauterpacht (“ Is International Law a Part of the Law of England ? ” Transactions of The Grotius Society, Vol, 25, 1940).

W Stanach Zjednoczonych praktyka sądowa oddawna stosuje prawo międzynarodowe narówni z prawem krajowym amerykańskim.

Nauka amerykańska uważa suwerenność za brutalną siłę (“ brute force ” i przyznaje państwom tylko „ sztuczną “ suwerenność, gdyż rzeczywistym suwerenem jest prawo narodów (Lansing, “ Notes on Sovereignty, Washington, 1921). Wielki prawnik amerykański James Brown Scott w mowie, wygłoszonej na zebraniu Amerykańskiego Towarzystwa Prawa Międzynarodowego w 1930 roku, oświadczył, że człowiek jest pierwotnym podmiotem prawa narodów, państwo jest tylko podmiotem wtórnym i pośrednim, a czynnikiem naczelnym jest wspólnota międzynarodowa, obejmująca ludzkość i wszystkie państwa, z których ludzkość się składa, że wspólnota międzynarodowa reprezentuje ludzkość i państwa w stosunkach pomiędzy państwami,

pomiędzy jednostkami i pomiędzy państwami a jednostkami, że wreszcie wspólnota międzynarodowa dla wykonania tych zadań ma prawo narzucić swą wolę państwom i osobom, otaczając równą opieką osoby, grupy i państwa. (J. B. Scott, " Le progres du Droit des gens," Paryż, 1934.)

Tak oto ludzkość od suwerenności państwowej doszła do suwerenności prawa i ochrony praw ludzkich.

3. PRÓBY OCHRONY PRAW CZŁOWIEKA.

W 1789 r. obywatele stanu Virginia, zebrani w Williamsbourgh, uchwalili pierwszą w dziejach Deklarację praw człowieka. Głosi ona, że „ wszyscy ludzie bez żadych wyjątków są równi i wolni," a żadna organizacja społeczna nie może przyszłych pokoleń pozbawić ludzkich praw naturalnych, którymi są : prawo do życia i wolności, prawo do zdobywania i posiadania dóbr, prawo do szczęścia i bezpieczeństwa.

Przyjęta na zjeździe w Filadelfji w tymże roku, deklaracja stała się prawem Ameryki Północnej.

Lafayette, który był obywatelem każdego z tych trzynastu stanów, przywiózł tezy amerykańskie do Francji, i pod ich wpływem Zgromadzenie Narodowe 1789 r. uchwaliło francuską „Deklarację praw człowieka i obywatela," której zasady weszły do konstytucji francuskiej 1791 roku.

Nie wchodząc w szczegóły aktów, będących podstawą demokracji amerykańskiej i rewolucji francuskiej, stwierdzimy tylko ich epokowe znaczenie, gdyż, jak to trafnie określił de Lapradelle, ograniczyły one po raz pierwszy w dziejach suwerenność państwową na rzecz człowieka.

W okresie od 1789 r. do pierwszej wojny światowej na próżno szukać będziemy aktów politycznych o tak doniosłym znaczeniu. Konstytucje państw europejskich przyjęły wprawdzie pewne zasady Deklaracji francuskiej, zasięg ich ograniczał się jednak do własnych obywateli, i to nie wszędzie i nie do wszystkich.

Nie wynika stąd, by świat o prawach człowieka zapomniał. I chociaż dzieje tych 150, a zwłaszcza ostatnich 20-tu lat nie doprowadziły do zwycięstwa praw człowieka, stwierdzić należy, że echa ich i w tym smutnym okresie odzywały się sporadycznie i ułamkowo, a to w t. zw. „ interwencjach w imię ludzkości," podejmowanych przez mocarstwa zazwyczaj na rzecz pewnych grup religijnych, czasem narodowych.

Tak więc Francja już od XVI w. objęła opiekę nad katolikami na Bliskim Wschodzie, od końca XVIII w. taką rolę wobec prawosławnych spełniała Rosja.

Traktaty wiedeńskie 1815 r. gwarantowały wolność religijną w Holandji i Republice Genewskej a akt końcowy traktatu z dn. 9 czerwca 1815 r. zawierał postanowienia, dotyczące Polaków w trzech zaborach („ Polacy, poddani każdej z wysokich stron, otrzymają na odnośnych terytorjach instytucje, które zapewnią im zachowanie ich odrębności narodowej — stosownie do form politycznych, jakie każda z wysokich stron uzna za stosowne im przyznać ").

W okresie gwałtownej rusyfikacji po powstaniu 1830 r., Francja zażądała od Rosji wykonania traktatu wiedeńskiego względem Polaków.

Po powstaniu 1863 r. Anglja, Francja i Austrja protestowały w Petersburgu przeciwko eksterminacji Polaków. Odpowiedź Gorczakowa opiewała zresztą, że „Najjaśniejszy Pan zawsze szanował i przestrzegał zasady prawa publicznego i ma prawo spodziewać się tego samego od innych mocarstw."

Bardziej owocne były interwencje w Turcji.

Traktat londyński 1827 r. (w sprawie niepodległości Grecji) opiewał na wstępie, że „ mocarstwa . . . miały na celu . . . przywrócenie pokoju . . . przez układ, odpowiadający poczuciu ludzkości . . ."

Traktat paryski 1856 r. zawierał zrzeczenie się mocarstw prawa inter-

wencji wobec wydania przez sułtana t. zw. „ Hatti-Houmayoun," t. j. dekretu o równouprawnieniu chrześcjan. Ten właśnie punkt traktatu paryskiego spowodował liczne interwencje wobec niewykonania „ Hatti-Houmayoun " przez rząd turecki.

Na skutek zbiorowej interwencji mocarstw, Turcja w 1860 r. nadała Libanowi autonomję, w 1866 r. nadała konstytucję Krecie, w 1867 r. zgodziła się na kontrolę Anglji, Rosji, Francji i Austrji nad wykonaniem w Turcji „ Hatti-Houmayoun."

Protokuł londyński z 1878 r. daje mocarstwom wolną rękę w podejmowaniu środków, jakie uznają za właściwe, gdyby ponowne obietnice rządu tureckiego w sprawie sytuacji ludności chrześcjańskiej zawiodły oczekiwania.

Traktat berliński 1878 r. uznał prawa człowieka i grup narodowościowych, powierzając kontroli mocarstw przeprowadzenie reform w Armenji i Turcji europejskiej, oraz zobowiązując Turcję do uznania wolności sumienia i równości wszystkich obywateli względem używania praw cywilnych i politycznych.

Wobec zbliżenia się niemiecko-tureckiego w końcu XX w., interwencja mocarstw po rzezi Ormian w 1895 r. była mniej celowa, jednak interwencja w r. 1899 doprowadziła do autonomji Krety (Fouques-Duparc „ La protection des minorités de race, de religion et de langue," Paryż, 1922; Mandelstam „ La protection des Minorités," Academie de droit international, Cours, 1923).

Bez względu na celowość w ówczesnych warunkach politycznych i zakres powyższych interwencji, stwierdzić należy że nauka prawa, opierając się na tych właśnie doświadczeniach zbudowała teorje „intervention de l'humanité," która prowadzi do międzynarodowej ochrony praw człowieka i obywatela.

Jak powiedział Rougier, „ teorja interwencji w imię ludzkości stwierdza istnienie prawa powszechnego, wiążącego rządy i rządzonych, wyższego ponad prawo krajowe i międzynarodowe, które są tylko jego wyrazem." Pod ochroną tego prawa znajdują się podstawowe prawa osobiste, to co nazywamy prawami człowieka. Prawo to wynika z solidarności ludzkiej, która nie może tolerować anarchji. Treścią swą obejmuje gwarancje i ochronę wszelkiej działalności człowieka jako istoty fizycznej, moralnej i społecznej, a wyraża się w potrójnej formule prawa do życia, wolności i legalności („ La theorie de l'intervention de l'humanité," 1910.)

W toku ubiegłej wojny Związek narodowości („ L' Union des Nationalités,") na zjeździe w Lozannie w 1916 r. uchwalił projekt konstytucji światowej, określającej prawa człowieka i narodów. Art.1 projektu głosi, że ludzie rodzą się wolni, równi i związani braterską solidarnością. Gdziekolwiek się znajdują używają swych nienaruszalnych praw wolności i bezpieczeństwa osobistego, wolności sumienia, wolności wyznania i publicznego odbywania praktyk religijnych, tolerancji religijnej, nietykalności mieszkania i i własności, równości cywilnej. Wszystkie te prawa zaopatrzone są w gwarancję międzynarodową. Każdy człowiek tylko dlatego, że jest człowiekiem, jest członkiem Związku i osobą prywatną prawa międzynarodowego (J. Gabrys „ Le problème des Nationalités et la Paix Durable," 1917).

W okresie likwidacji wojny atmosfera międzynarodowa nie dojrzała do zasadniczego rozwiązania sprawy praw człowieka. Wprawdzie anglo-amerykański projekt paktu Ligi Narodów (Hurst-Miller) przewidywał zobowiązanie wszystkich państw do tolerancji religijnej i przyznania wyznawcom wszystkich religji równości prawnej i faktycznej, a wniosek lorda Roberta Cecila domagał się zaopatrzenia tego zobowiązania w sankcje, jakie się okażą odpowiednie dla zabezpieczenia jego wykonania, jednak komisja „ Crillon " (nazwa paryskiego hotelu, w którym urzędowała) wnioski te utrąciła.

Natomiast pod wpływem pogłębienia a w pewnych wypadkach wprost przebudzenia się idei narodowej, której usankcjonowaniem stało się wilsonowskie hasło samostanowienia narodów, traktaty pokoju, nie usiłując rozwiązać zagadnienia praw ludzkich wszędzie i dla wszystkich, ograniczyły się wprowadzeniem miedzynarodowej ochrony mniejszości narodowych, językowych i religijnych. Teksty traktatów pokoju i traktatów i deklaracji t. zw. „ mniejszościowych " związały tylko niektóre państwa zobowiązaniami, nad których wykonaniem czuwać miała Liga Narodów.

W ramach interesującego nas zagadnienia istotne jest to, że traktaty i deklaracje mniejszościowe zawierają nie tylko klauzule specjalne dotyczące mniejszości, lecz również postanowienia ogólne, dotyczące wszystkich bez wyjątku obywateli, a zapewniające wszystkim równe prawa cywilne i polityczne (art. 2 traktatu z Polską, powtórzony w 13 traktatach i deklaracjach).

Krytyka traktatów mniejszościowych przekracza ramy niniejszego artykułu. Wystarczy stwierdzić, że stworzono system ułamkowy, nie obejmujący wszystkich państw, jak wielokrotnie domagały się Polska, Rumunja, Węgry, Litwa, Estonia, a tem samem stworzono nierówność pomiędzy państwami. Ponadto gwarancja Ligi Narodów objęła tylko postanowienia dotyczące mniejszości, a poza nawiasem gwarancji pozostały właśnie postanowienia ogólne. W ten sposób fragment praw człowieka, zawarty w prawie mniejszościowym, nie tylko nie objął wszystkich państw, ale pozostał „ deklaracją " w ścisłym znaczeniu wyrazu — bez sankcji. W rezultacie Liga Narodów nie miała żadnego tytułu do interwencji, gdy jakiekolwiek państwo, czy to związane czy niezwiązane traktatami mniejszościowymi, gwałciło podstawowe prawa jak mniejszości tak i większości, a dobrze brzmiące hasła nie mogły zapobiec rychłemu nastaniu totalitaryzmu i przekreśleniu praw człowieka nie tylko do wolności, ale nawet do życia. (Mandelstam, " La généralisation de la Protection Internationale des Droits de l'homme," w „Revue de droit international et de legislation comparée," tom XI, 1930; Mandelstam, „ La protection internationale des droits de l'homme," Academie de dr. int., cours, 1931, IV).

4. NOWE DEKLARACJE.

Niedostateczność systemu powersalskiego i rosnąca świadomość o konieczności zapewnienia wszystkim ludziom praw pod każdą szerokością geograficzną wywołały odrodzenie idei praw człowieka na terenie międzynarodowym. Znalazły się one na porządku dziennym szeregu instytucji o najwyższym autorytecie naukowym i moralnym, znalazły się w ich uchwałach jako nowe projekty deklaracji praw człowieka w skali światowej.

W 1928 r. Liga Międzyparlamentarna uchwala deklarację praw człowieka na wniosek belgijskiego senatora La Fontaine' a.

W tymże roku Międzynarodowa Akademja Dyplomatyczna na wniosek prof. Mandelstama uchwaliła projekt światowej deklaracji praw człowieka. W uzasadnieniu uchwały Akademja wyraziła przekonanie, że międzynarodowa ochrona praw człowieka odpowiada poczuciu prawnemu całego świata i objąć winna wszystkie państwa.

W 1929 r. Instytut prawa międzynarodowego na sesji w New-Yorku uchwalił projekt światowej konwencji o ochronie praw człowieka i obywatela (sprawozdawcą był również prof. Mandelstam). Projekt nie przewidywał sankcji, gdyż autor jego sądził, że w ten sposób państwa będą bardziej skłonne do zawarcia konwencji, a „samo zawarcie konwencji będzie nową i cenną gwarancją pokoju światowego " (Institut de Droit International, Session de New-York, Annuaire 1929, vol I, II ; Mandelstam, „ La Généralisation . . ."). Dzisiaj z pewnością nikt nie podzieli optymistycznej nadziei uczonego profesora, tak charakterystycznej dla ancien regime'u, a niestety tak sprzecznej z doświadczeniem.

Bliższe szczegóły wszystkich tych deklaracji nie wymagają omówienia.

Wystarczy stwierdzić oczywistą tendencję rozwojową, tak stanowczo zarysowaną w okresie bezpośrednio poprzedzającym wojnę obecną.

Zatrzymamy się natomiast nieco dłużej na projekcie deklaracji, uchwalonym w 1941 r. przez " World Citizens' Association " na konferencji w Illinois (U.S.A.).

Sprawozdawcą był prof. Quincy Wright, a w dyskusji brali udział m. in. Kellog, Kelsen i dr. Ludwik Rajchman, b. dyrektor Państwowego Zakładu Hygjeny w Warszawie, później dyrektor Wydziału Zdrowia Ligi Narodów.

Punktem wyjściowym prof. Wright'a jest teza, że organizacja międzynarodowa nie jest możliwa bez gwarancji praw człowieka przeciwko zamachom ze strony państwa. Organizacja międzynarodowa wymaga bowiem:

1) istnienia światowej opinji publicznej, która uwarunkowana jest wolnym dostępem każdego człowieka do prasy, radja i innych źródeł informacji;

2) aby żaden naród nie był izolowany od reszty świata, bo stwarza to stosunki niepewne i niezdrowe, a naród izolowany w sensie wzorów totalitarnych jest niebezpieczny dla pokoju świata;

3) lojalności w stosunku do organizacji światowej, co wymaga wzajemnego przyznania praw przez organizację;

4) niedopuszczenia by jakiekolwiek państwo naruszało prawa swych obywateli;

5) posłuchu, opartego na zrozumieniu, że dba ona o ludzkie prawa.

W oparciu o powyższe przesłanki, prof. Wright formułuje sześć praw zasadniczych, które mają wejść do światowej konstytucji, a mianowicie:

1) wolność opinji i religji;

2) wolność komunikowania się, włączając w to prasę i radjo;

3) wolność przemysłu i handlu;

4) wolność od wyzysku ekonomicznego;

5) równość wobec prawa;

6) równouprawnienie bez względu na różnice rasy, religji i narodowości.

Prof. Wright nie podziela już poglądu Mandelstama na ,,moralne" znaczenie deklaracji i domaga się rzeczywistych gwarancji wykonania, opartych na zasadach następujących:

1) ochrona praw człowieka nie jest sprawą wewnętrzną — rodzina narodów jako całość jest bezpośrednio zainteresowana w ich wykonaniu na całym świecie;

2) deklaracja praw człowieka, ujęta w formę traktatu, ratyfikowanego przez wszystkie państwa, ma pierwszeństwo przed prawem krajowym każdego państwa;

3) międzynarodowy trybunał władny jest orzec, że jakakolwiek ustawa krajowa, sprzeczna z deklaracją, jest nieważna i pozbawiona skutków prawnych;

4) każdy ma bezpośredni dostęp do trybunału międzynarodowego po wyczerpaniu drogi instancji krajowych, a nawet z pominięciem najwyższej instancji krajowej, o ile prawa jego jako człowieka zostały naruszone przez ustawodawstwo lub sądownictwo krajowe.

W wyniku dyskusji jednomyślnie uchwalone następujące prawa człowieka:

1) wolność opinji i religji;

2) wolność od wyzysku ekonomicznego;

3) równość wobec prawa;

4) równouprawnienie bez względu na różnice rasy, religji i narodowości.

Pozostałe tezy są przedmiotem dalszych badań.

Należy dodać, że deklarację 1941 r. należy powiązać w jedną logiczną całość z uchwaloną jeszcze w grudniu 1939 r. przez World Citizens Association ,,A Platform for World Citizenship", która zawiera m.inn. następujące zasady obywatelstwa światowego:

1) każdy człowiek ma prawa i obowiązki jako obywatel świata — nie ma

sprzeczności pomiędzy obywatelstwem świata a obywatelstwem państwa, tak jak nie ma sprzeczności pomiędzy lojalnością względem gminy miejscowej a względem państwa, narodu lub federacji ;

2) w ramach organizacji światowej państwa i mniejsze grupy polityczne dbać będą o prawa swych członków, a dorobkiem swego ducha narodowego w nauce, sztuce, organizacji gospodarczej i politycznej przyczyniać się będą do rozwoju kultury światowej :

3) państwa podlegać będą organizacji światowej ;

4) sądy krajowe respektować muszą prawo światowe — sprzeczne z nim prawo krajowe jest nieważne ;

5) państwa i ludzie muszą mieć równe prawo do obrony swych praw przed instancjami sprawiedliwości międzynarodowej.

5. WNIOSKI I UWAGI KOŃCOWE.

Dokonaliśmy przeglądu prądów, nurtujących naukę prawa narodów i organizacje światowe. Stwierdzamy, że rozwój doprowadził do sformułowania tez następujących :

1) człowiek jest podmiotem prawa narodów ;

2) suwerenność państwową zastępuje się suwerennością prawa ;

3) prawo międzynarodowe ma pierwszeństwo przed prawem krajowym ;

4) zasada nie mieszania się do spraw wewnętrznych innych państw nie może być utrzymana ;

5) musi być zawarty traktat o międzynarodowej i powszechnej gwarancji praw człowieka i obywatela na całym świecie ;

6) wszystkie państwa muszą być podporządkowane organizacji światowej ;

7) każdy musi mieć zapewniony dostęp do instancji sprawiedliwości międzynarodowej celem obrony swych praw człowieka i obywatela przeciwko każdemu państwu, również własnemu ;

8) państwa nie mają prawa zmieniać przez prawo krajowe międzynarodowo uznanych praw człowieka i obywatela.

Podkreślamy ze szczególnym naciskiem zgodność poglądów prof. Lauterpachta (p. wyżej,) z tezami prof. Wright'a i obydwiema uchwałami World Citizens Association. Zgadzamy się ze zdamiem prof. Lauterpachta, że państwa muszą zrzec się w swych konstytucjach prawa zmiany prawa międzynarodowego i zmiany samej konstytucji w tym zakresie, wreszcie, że sądy muszą mieć konstytucyjne prawo badania ważności ustaw z punktu widzenia ich zgodności z prawem międzynarodowym.

Stworzenie aparatu wykonawczego, w oparciu o który prawo będzie rządziło światem, jest zadaniem równej wagi jak wytknięcie już obecnie podstawowych zasad nowego ustroju.

Do wykonania tego ostatnego zadania myśl polska już się przyczyniła, ogłaszając polską Deklarację praw człowieka i obywatela („Nowa Polska", No. 2).

Można dyskutować jeszcze nad poszczególnymi jej punktami, np. osobiscie zgłaszam wątpliwość co do art. 10 (czy uznanie państwa za agresora jest właściwą i dostateczną sankcją niezgodnej z deklaracją polityki państwowej ?) — jednak stwierdzić należy, że w swym całokształcie polska Deklaracja „odpowiada sumieniu ludzkości".

Należy wyrazić nadzieję, że w zapowiedzianych pracach nad organizacją życia międzynarodowego myśl polska również pójdzie po linji wytkniętej przez prawo i moralność.

JERZY KUNCEWICZ.

DYNAMICZNE SIŁY ŚWIATA

W Stanach Zjednoczonych w 1919 r. wyprodukowano około 1,600,000 samochodów zużywając 606,490,000 godzin pracy ludzkiej. Dla wykonania jednego samochodu potrzeba było 313 godzin. W 1929 r. zbudowano 5,600,000 samochodów, a dla wykonania tej ilości aut zużyto 521,468,000 godz. W ciągu dziesięciu lat ilość użytej pracy ludzkiej spadła do niecałej jednej trzeciej ilości uprzedniej, wynosząc okrągło 92 godziny. Przyczyny tych przemian wyjaśni nam następujący fakt. Zakłady Forda w Detroit w 1936 r. zatrudniały na każdą zmianę w przybliżeniu 8,000 osób, jednocześnie do dyspozycji tego zastępu pracowników stało 7,500,000 niewolników mechanicznych (750,000 h.p.). Potężna armja robotów rozwiązuje zagadkę wydatnego skrócenia czasu pracy ludzkiej. Dla ilustracji powszechności omawianego zjawiska przytoczę jeszcze parę cyfr z tegoż terenu. W 1900 r. wyprodukowano w Stanach 11,000,000 ton stali przy użyciu 600,000,000 godzin pracy. W 1929 r., wytworzono 58 milionów ton, czyli przeszło pięć razy więcej, przy 770,000,000 godzinach pracy. Fabryka lamp elektrycznych „Corning N.J." produkowała 650,000 lamp przy pomocy jednej maszyny. Taż sama firma, nie zwiększając ilości godzin pracy, a zmieniając metody produkcji, może powiększyć 10,000 razy swą wytwórczość.

Z doświadczeń nie tylko amerykańskich ale i z doświadczeń wszystkich innych krajów wynika niezbity fakt, że ilość robotników przemysłowych nie może być wydatnie mnożona. Maszyna w rękach uspołecznionych, maszyna obłaskawiona, sprzymierzeniec ludzkości w jej walce o wyzwolenie człowieka z kłopotów niedostatku materialnego, jest jednocześnie hamulcem w rozwoju liczbowym warstwy robotniczej. W krajach najbardziej uprzemysłowionych, o dominującej ludności miejskiej nie tylko nie ma widoków na zwiększenie zatrudnionego elementu robotniczego, lecz trzeba liczyć się ze stałym jego zmniejszeniem. Jednocześnie klasa robotnicza różniczkuje się. Zdolność i chęć walki które były jej cechami charakterystycznymi, zanikają w niej jako w całości. Ze środowiska żyjącego w poczuciu krzywdy i nędzy, z warstwy asymilującej najdynamiczniejsze jednostki wsi, klasa ta przekształca się w warstwę społeczną zadowoloną ze swego losu. Organizacje związków zawodowych ograniczają przystęp do swych szeregów pracownikom z innych gałęzi produkcji. Wzrasta zamożność ludzi zatrudnionych w przemyśle. Jednostki wykwalifikowane zyskują pozycje uprzywilejowane. Robotnicy bez określonego zawodu oraz pracownicy słabiej przygotowani zasilają szeregi bezrobotnych lub otrzymują za swą robotę znacznie niższe uposażenie niżeli kategorie uprzywilejowane. Potęguje się rozdźwięk pomiędzy tymi dwiema grupami pracowników. Poprzednio tak silnie podkreślana jedność klasy robotniczej przestaje istnieć.

Dobrze płatni pracownicy tracą ochotę i zdolność do walki. Organizacje polityczne reprezentujące żywioł robotniczy, szukają kompromisowych rozwiązań na terenie parlamentu. Partie i ich parlamentarne przedstawicielstwa przekształcają się często w dobrze uposażone organy nowej biurokracji politycznej. Zdobycze robotnicze, które przez długi czas były udziałem zdecydowanej większości tej klasy, teraz w najistotniejszych pozycjach służą tylko jej części, reszta zaś otrzymuje ich niewielkie okruchy. Realne płace robotnicze w Stanach Zjednoczonych zgodnie z danymi prof. P. Douglasa, wynosiły 74. . jednostek w 1890 r ; 100. . w 1900 r. ; 230. . w 1926 r. ; ilość godzin pracy tygodniowej która zgodnie z tymże autorem dochodziła w roku 1890 do 54,4 g. w 1926 spadła do 45,9 g. mając dalej tendencję wybitnie zniżkową. Podobny stan rzeczy zarysował się i na terenie innych krajów.

W okresie rozkwitu przemysłowego ilość bezrobotnych obracala się w granicach między 5 a 10 procentami. Wzrastający przemysł nie tylko pochłaniał przyrost naturalny mieszkańców miast, lecz i absorbował wielkie masy gorzej sytuowanej ludności rolniczej, jak również znaczną ilość młodzieży, kończącej szkoły wszelkiego typu. Państwo z trudem rekrutowało swe kadry urzędnicze, bowiem jednostki energiczne znajdowały lepsze warunki w przedsiębiorstwach prywatnych. Ten stan rzeczy doskonale hamował niepożądany wzrost biurokracji państwowej. Mała biurokracja, małe koszty państwowe, wielka produkcja, wielkie obroty — wszystko to w krajach przemysłowych łudziło niekończącą się erą dobrobytu. Aż zaczęły padać ciosy coraz to potężniejsze. Lekceważono je początkowo. Było nawet wielu biegłych w piśmie, którzy uczenie udawadniali, że wzrastające kryzysy są świadectwem zdrowia gospodarczego.

„The Buick Motor Car Company" w latach pomiędzy 1912 a 1927 powiększyła swoją produkcję 1400 razy, zwiększając ilość robotników tylko 10 razy. Inne dziedziny wytwórczości wykazywały może nie tak oszałamiające, ale pokrewne rezultaty. Potężniała lawina produktów. Przy wzroście produkcji malał wzrost zatrudnienia. Powstrzymano emigrację ludności do krajów zamorskich. Dopływ ludności ze wsi do ośrodków miejskich częściowo został zahamowany. Wzrastało bezrobocie stałe. Bezrobocie koniunkturalne przybierało katastrofalne rozmiary. Anglia w dniu 1-go grudnia 1932 liczyła 2,314,528 bezrobotnych zarejestrowanych. Włochy w tejże dacie 1,129,654, Niemcy w dniu 1-go stycznia 1933 mają ich 5,966,242 a Stany Zjednoczone, w okresie największego nasilenia kryzysu, dochodzą do około 18 milionów pozbawionych pracy. Liczby te nie są kompletne. Należy do nich dodać dalsze miliony szukających naprżóno zatrudnienia na wsi, oraz tych którzy pracowali tylko częściowo. Poza tym miliony młodzieży dorastającej stało po za zasięgiem rejestracji bezrobotnych, gdyż nigdy nie dane im było pracować. Setki tysięcy ludzi po ukończeniu szkół wyższych i średnich szturmuje do bram urzędów państwowych i komunalnych. Rośnie biurokracja, wzrasta władza państwa, degenerują się organizacje zawodowe i społeczne, wszędzie przenika fala urzędnicza usuwając twórczych ludzi. W tych warunkach bezrobotni o silnych ambicjach i pretensjach znajdują dla siebie jedyną możność nasycenia sięgając po władzę polityczną. Droga zwycięstw wyborczych dla zdeklasowanej mniejszości jest drogą zamkniętą. Mniejszość ta musi szukać sprzymierzeńca wśród innych niezadowolonych. Milionowa armia bezrobotnych pariasów skoncentrowana w miastach i ośrodkach przemysłowych czeka na wodza i organizatorów. Przepaść pomiędzy pracującą arystokracją robotniczą, pomiędzy wszechwładną biurokracją a bezrobotnym pracownikiem fizycznym, czy umysłowym stale się pogłębia. Nie zniwelują tej przepaści ochłapy mniej czy więcej hojnie rzucane przez organizacje państwowe, czy zrzeszenia dobrowolne.

Rozbudowywany w Wielkiej Brytanii system ubezpieczeń społecznych może odsunąć nieobliczalny wybuch niezadowolenia, nie może jednak zupełnie usunąć jego grozy. Modernizacja przemysłu przyśpieszona wojenną mobilizacją, po zakończeniu zmagań obecnych, wyrzuci na bruk niewidziane dotąd miliony pozbawionych pracy. Miliony te podniecone krwawymi przejściami, pewne swoich praw, nie będą prawdopodobnie chciały zadowolnić się najhojniejszymi choćby świadczeniami społecznymi. Złudzeniem jest, że odbudowa zniszczeń wojennych zdoła na długo pochłonąć te morza energii i ambicji. Nawet głęboko sięgające zmiany ustrojowe czy gospodarcze, jeśli obejmą tylko tereny zachodniej Europy i Ameryki Północnej, nie zapobiegną trudnościom, jakie nastręczy potężna zdolność produkcyjna zbudowanych przez człowieka maszyn. Niebezpieczeństwo potęguje jeszcze wzrost biurokracji wojennej, pragnącej za wszelką cenę utrzymania swych zbędnych stanowisk. Bierność natury ludzkiej a specjalnie bierność

tych milionów, które będą miały pracę, dobrobyt i poczucie użyteczności społecznej zwiększy niebezpieczeństwo. Nie wystarczą wtedy ułamkowe korzyści, fala bezrobotnych zagrozi takim zniszczeniem, przy którym zbledną klęski wojenne.

Bezrobotni wszelkiego typu a przede wszystkim bezrobotni pracownicy umysłowi i fizyczni miejscy, są siłą dynamiczną. Już wojna obecna daje przedsmak roli tej siły i charakteryzuje jej metody działania. Zarówno hitleryzm jak i faszyzm wyrosły z jej podłoża.

Walka o prawa skrzywdzonych zdobi ruch bezrobotnych w mistyczne teorie i hasła. Walka ta podjęta przez grupę będącą mniejszością nie może liczyć na powodzenia. Bezrobotni nie mogą zrealizować programu społecznego o trwałej wartości. W państwach przemysłowych, żyjących pod znakiem nie opanowanej maszyny, rzecznicy bezrobotnych operują narkotyczną mieszaniną brutalności i mistycyzmu. Mówią więc: Niemcy, naród panów, pokona wszystkie trudności, gdy ujarzmi narody niższe i zaprzęgnie je do służby. Włochy, naród młody, pełen siły witalnej, rozwiąże swe problemy, gdy posiądzie szerokie kolonie. Miecz, prawo siły, przemoc nad bliźnim, nacjonalizm i imperializm — to lepsza pozornie odpowiedź, niżeli proste stwierdzenie chęci objęcia posterunków obsadzonych przez innych ludzi, lub zagarnięcia stanowisk naczelnych.

Siła dynamiczna, jaką reprezentują bezrobotni skupieni w dużych osiedlach ludzkich, wyrasta z beznadziejności ich sytuacji, nadając ich ruchom społeczno politycznym bez względu na kraj ich przynależności, szereg cech wspólnych. Poczucie niższości i mniejszości nasuwa — obok potrzeby mitu programowego — potrzebę uznania gwałtu jako metody działania. Wszystkie ruchy tego typu w stadium początkowym rozwoju, jak i w późniejszych okresach, po zagarnięciu władzy, pozostają dynamiczną mniejszością w stosunku do biernej większości. W tych warunkach zdobywający władzę nie mogą myśleć o innych jej formach, niż dyktatura. Demokratyczne zasady dla tej grupy są zasadami nie do przyjęcia.

Teren ekspansji tych ruchów, teren nizin społecznych, ludzi żyjących w najprymitywniejszych warunkach, nie mających możności korzystania z dorobku duchowego oraz kulturalnego, decyduje o metodach ich akcji i propagandy. Najbardziej demagogiczne zawołania, działające emocjonalnie na pierwotne instynkty, gwarantują tu najlepsze skutki. Konieczność docierania do najszerszych mas obniża poziom wszelkich haseł. Po dojściu do władzy, dla utrzymania się przy niej, nowi panowie muszą grać na strunach psychiki, które najtrudniej kontrolować. Rozbudzone instynkty drapieżne oddają największe usługi propagatorom idei przemocy. Fajerwerki najtańszego krasomówstwa, najlichszego słowa pisanego, popularnej melodii czy rysunku, rzucane masowo na drogi świadomości, ułatwiają ujarzmianie tłumów. Mniejszość dynamiczna głuszy racje sytej czy biernej większości. Najsłabsze argumenty podtrzymane świadomością krzywdy, nabierają mocy i ubezwładniają większość. Dynamika przezwycięża bezwład. Rozkład się pogłębia. Idące w konsekwencji, dzisiejsze zniszczenia wojenne czy grożący chaos rewolucyjny dowodzą, że minął czas rozwiązania trudności społecznych w obrębie grup narodowych lub wąskich koncepcji.

Czy obok bezrobotnych niema na ziemi innej siły społecznej, któraby zawierała cechy dynamiczne? Czy na dziesiątkach milionów niezadowolonych mieszkańców miast i osiedli przemysłowych wyczerpują się siły motoryczne przeobrażeń powojennych?

Dochód 6 milionów gospodarstw rolnych w Stanach Zjednoczonych A.P. w 1932 r. wyrażał się cyfrą około miliarda dolarów. Dochód ten przy przeliczeniu na rodzinę wynosił 5 dolarów tygodniowo.

Tego rodzaju dochód w porówaniu z płacami robotniczymi, a nawet z

zapomogami dla bezrobotnych, wykazuje ogrom krzywdy gospodarczej, jakiej ulega ludność rolnicza. O sytuacji tej grupy pracowników pisze w książce „New Frontier" obecny wiceprezydent Stanów, Henry H. Wallace:

„Przed wojną (1914-18) ludność wiejska Stanów stanowiła 30%, ludność ta otrzymywała 15% dochodu narodowego. W roku 1933 ludność ta spadła do 25% ogółu mieszkańców, otrzymywała zaś tylko 7% całego dochodu społecznego". Prof. Paul H. Douglas opowiada: „W stanie Illinois przywiózł rolnik na targ buszel zboża, który sprzedał za 10 centów, otrzymawszy tę sumę, zaczął się oglądać coby można za nią nabyć. Po długich poszukiwaniach zdecydował się i kupił pipkę do papierosów, zrobioną z jednej części łodygi zbożowej". Ta anegdotka, to nie żart. A jednak sytuacja rolników amerykańskich, w stosunku do rolników środkowo — europejskich, a jeszcze bardziej—rolników Chin czy Indii, to mimo wszystko sytuacja uprzywilejowanych bogaczy. Jeszcze gorzej w porównaniu z Zachodem wygląda rzecz na terenie bolszewickim. Dajmy głos wiarygodnemu świadkowi, niech opowie co widział: „W sowchozie, który założono dla zaprowiantowania hotelu, podziwiałem wzorową oborę, chlewy, a zwłaszcza olbrzymi, urządzony według ostatnich wymagań, kurnik. Każda kura nosi na łapie obrączkę z numerem. Znoszenie jaj jest ściśle rejestrowane. Kura przed znoszeniem jajka jest zamykana w oddzielnym boksie, z którego się ją wypuszcza po dokonaniu tej czynności. (Nie mogę sobie wytłumaczyć jakim sposobem jajka, nad którymi roztoczone jest taka piecza nie są lepsze od innych). Dodajmy że do tych przybytków wolno wchodzić jedynie przez dywan nasycony substancją odkażającą; ale już przekraczając strumyk stanowiący granicę sowchozu, wchodzi się między szereg ruder. Mieszka tu po cztery osoby w pokoju, powierzchni 2 metry na 2,5 metra. Czynsz od osoby wynosi 2 ruble miesięcznie. Posiłek w restauracji sowchozu kosztuje 2 ruble. Jest to luksus na który nie mogą sobie pozwolić ludzie zarabiający 75 rubli miesięcznie. Ci ludzie muszą się zadawalniać się chlebem i suszoną rybą". Tak charakteryzuje życie większości mieszkańców obecnej wsi sowieckiej Andre Gide, pisarz, którego nie można posądzać o uprzedzenie do komunizmu. Wieś odczuwa swą nędzę w porównaniu z biurokracją polityczną i administracyjną oraz z elitą robotniczą—stachanowcami. Na obszarze Rosji, tak jak we wszystkich osiedlach rolniczych całego świata, rodzi się poczucie krzywdy. Tutaj więc także, w warstwie rolniczej narasta, siła dynamiczna i nowa wiara społeczna.

Rolnictwo środkowej i południowe — wschodniej Europy kształtowało się pod wpływem kultury zachodniej. Ludność tych ziem, zasiedziała od stuleci we własnych zagrodach, zrośnięta z nimi, wytwarza nowy typ życia i kładzie podwaliny nowego światopoglądu polityczno — filozoficznego. Czerpiąc z swych wierzeń i doświadczeń, żądna jest akcji zbiorowej. Współczesne zdobycze techniki pozwalają tej ludności łączyć się w mocne ruchy społeczno — polityczne, wykazujące wysoką sprawność organizacyjną i duże aspiracje. Stronnictwa polityczne chłopów polskich, czeskich, serbskich, chorwackich, rumuńskich czy słowackich, sięgając po władzę, ideologią swoją przekraczają granice wyrachowań partykularnych. Europa Zachodnia może być dumna ze swych zdolności twórczych udowodnionych powstaniem tej jeszcze jednej odmiany jej kultury. Wpływ przemysłowego zachodu oraz specyficzne warunki gospodarcze w rolniczo-chłopskiej części Europy wyprodukowały nowy typ ludzi i wytwarzają nowe formy społeczno polityczne, które zaznaczą się pozytywnym etapem jej w rozwoju.

Ruchy agrarne, zapoczątkowane i rozwinięte na terenie środkowej i południowo — wschodniej Europy, mają swe dynamiczne odpowiedniki zarówno w krajach zachodnich, jak i w Ameryce. Francuscy intelektualiści radykalno-demokratyczni zgrupowani wokół znanego mie-

sięcznika „Esprit", organizacje wiejskie, zapoczątkowane przez Agricola Fleurant, prądy polityczne i gospodarcze Stanów, którym patronuje Henry H. Wallace, to ruchy świadome, ambitne, rozumiejące swą wagę i posiadające własne metody postępowania. A obok tych prądów, przybierających kształty organizacyjne i szukających kontaktów w skali światowej dla stworzenia mocnej zwartej międzynarodówki, istnieją olbrzymie masy potencjalnych adherentów. Setki milionów rolników Chin, czy Indii z dalszymi milionami rolników innych części świata, to siły nienasycone, zdolne do działania, dojrzewające do decyzji.

Nie tylko dziesiątki milionów bezrobotnych w państwach przemysłowych, lecz i miliard osiemset milionów rolników świata, to potęga która szuka i dać może życiu społecznemu nowe formy. Największa to armia, jaką kiedykolwiek ziemia widziała. Armia która tężeje w swoich dążeniach, dostrzegając oraz wyraźniej przepaść krzywdy, jaka ją dzieli od pozostałej mniejszości mieszkańców globu. Armia ta nie ma możności korzystania z siły maszyn. Nie nasyca ona swych potrzeb w żadnym stopniu w porównaniu z ludnością miast i ośrodków przemysłowych. Panująca do dziś zasada taniego chleba wyjaławia gleby, niszczy siłę rodną ziemi a zarazem zubaża w sposób katastrofalny rolnika. Rolnik nie ma prawie nic, a potrzebuje wszystkiego. Rolnika obecnie na nic nie stać, a miasto samo, przybliżone do wsi dzięki zdobyczom cywilizacyjnym, mówi mu stale o dysproporcji w traktowaniu wybrańca dni dzisiejszych-robotnika fabrycznego, a pasierba społeczeństwa—rolnika. We wsiach coraz rytmiczniej uderzają serca i coraz wyraźniej dochodzi do nich głos setek milionów głodnych i pragnących, których prawem jedynym było dotąd sycenie głodu innych.

Rolnik w swej metodzie produkcyjnej nie oglądał się nigdy na zagadnienie zysku pieniężnego. Rolnik w swym systemie gromadzenia dóbr nie obciąża rachunków długą kolumną konta bankowych wkładów. Rolnik dobro swe widzi raczej w polepszeniu sprzętu oraz wzroście inwentarza. Pracownicy rolni, rozproszeni po szerokich przestrzeniach kraju, korzyści szukają w dobrowolnym związku i w formach demokratycznego rządzenia, nienawidząc władzy niekontrolowanej i walcząc z biurokracją. Poczucie realizmu połączone z głęboką religijnością pozwalało im nieraz składać bez protestu najcenniejsze ofiary na ołtarzu obowiązku. Stosunkowo nizki poziom bytu wynikający z rozproszenia i trudności komunikacyjnych podnosi się pod wpływem zwycięstw techniki. Powstaje na wsiach siła oparta na odrębnym dorobku psychicznym, organicznie uzdolniona do rozwiązpwania trudności państw uprzemysłowionych. Państwa te we własnym zespole i w obliczu rosnących milionów bezrobotnych, bez państw rolniczych próżno będą się borykać z problemem zatrudnienia. W nowych formach współpracy obu typów produkcji leży klucz do sytuacji.

Metody gospodarki rolniczej są znacznie mniej podatne do mechanizacji niżeli metody produkcji przemysłowej. Ewolucja produkcji rolniczej zmierza do zwiększenia sumy pracy ludzkiej tutaj potrzebnej. Wpływają na to: różniczkujące się potrzeby, oraz intensyfikacja metod wytwórczych i konieczność stałego kontaktu między objektami uprawy czy hodowli a pracownikami, co decyduje o powodzeniu gospodarczym. Wielkie tereny uprawy zbożowej pełne sprzętu mechanicznego, tak w obu Amerykach, jak w Rosji — to raczej objawy przejściowe, raczej wyjątki od ogólnej zasady. Jeśli rozwój rolnictwa pójdzie po przewidywanej drodze, klęska utraty kontaktu między człowiekiem a otaczającą go rzeczywistością, tak dewastacyjnie uderzająca w same podstawy naszego istnienia w ośrodkach miejskich, zostanie powstrzymana. Powstrzymana zostanie także emigracja do ośrodków miejskich co samo już zmniejszy grozę bezrobocia.

Nieograniczone potrzeby rolnictwa, jego głód wszystkich artykułów przemysłowych rozwiązuje problem bezrobocia. Jeśli, zamiast stosowanej

w przemyśle egoistycznej zasady ograniczania produkcji, zamiast zasady zysku pieniężnego, zamiast zasady taniego chleba, nowy ruch społeczny wprowadzi zasadę pracy całą siłą maszyn i całą armię bezrobotnych na potrzeby setek milionów żyjących dziś w niedostatku — to takie rozstrzygnięcie pchnie świat ku lepszemu. By się to jednak stać mogło, należy przyjąć zasadę pokrywania pełnej wartości produkcji rolniczej jej ekwiwalentem przemysłowym, czyli zasadę równowartości pracy rolniczej i pracy przemysłowej. Zastosowanie tej zasady może usunąć bezrobocie miast. Dobrobyt rolnika, wobec współczesnych metod produkcji maszynowej, to nie miraż a realna możliwość dająca na długie lat dziesiątki — poza rozwiązaniem zagadnienia krzywdy—także rozwiązanie kłopotów społeczno — gospodarczych. Skasowanie bezrobocia miejskiego i nasycenie potrzeb wsi usunie grozę zawieruch i dyktatur, dając możliwości demokratycznych rozwiązań. Demokratycznych w pojęciu nie górnych kilku tysięcy sytych i zadowolonych, ale w pojęciu milionowych mas pracowników rolnych.

Co wnosi nowa grupa społeczna na arenę dziejów? Wnosi przedewszystkim realizm, który nie pozwoli zostawić odłogiem możliwości produkcyjnych w żadnej użytecznej dziedzinie wytwórczosci. Nie pozwoli także na podporządkowanie życia fikcjom, stojącym na straży interesów grup uprzywilejowanych. Demokracja polityczna ożywi się i nabierze wartości przez uzupełnienie jej zasad, zasadami demokracji społecznej i gospodarczej. Rozwój dobrobytu, wzmożona równowaga gospodarcza pozwoli większej ilości jednostek uaktywnić swą działalność organizacyjną, społeczną i polityczną. W wytworzonych warunkach biurokracja ulegnie redukcji, gdyż część jej funkcji zostanie przekazana organom inicjatywy prywatnej. Nowa fala życia ułatwi ucieczkę z mało rentownego terenu biurokracji państwowej do ożywionej produkcji.

Zmiana podstaw stosunków gospodarczych między produkcją przemysłową a rolniczą jest już możliwa do przeprowadzenia. Rosnące w siłę i znaczenie rolnictwo zawiera w swych szeregach tak olbrzymie masy ludzkie i tak wielkie ilości nagromadzonej energji, iż po władzę polityczną może i ma prawo sięgać w wielu krajach. Przemysł z olbrzymimi potencjalnymi możliwościami, oraz ze swymi milionami bezrobotnych czeka na pełnię pracy. Warunki wytwórczości przemysłowej są dziś takie, że dalsze niezaspakajanie potrzeb mas ludowych byłoby przestępstwem. Konsekwencją zaniedbań mogą być tylko stałe ruchy rewolucyjne. W tych okolicznościach otworzenie wielkiego rynku rolniczego przez planowe współdziałanie gospodarcze dwóch zasadniczych typów wytwórczości, stworzy możliwość rozwiązań jedynych w swoim rodzaju.

Dynamizm sił rolniczych świata może uratować wolność, zlikwidować bezrobocie, napełnić nową treścią zamierające pojęcia demokratyczne. Ten dynamizm może stworzyć społeczne podstawy braterstwa wszystkich ludów a przede wszystkim położyć fundamenty przyszłego związku robotniczego świata pracy ze światem pracy wsi.

GUSTAW GAZDA

OFENZYWA POLSKA

Wydaje się coraz pewniejszem, że sprzymierzeni a wraz z nimi Polska, wygrają wojnę. Mniej jest pewności co do tego czy wygrają pokój. Najmniej pewnie przedstawia się sprawa wygrania pokoju przez Polskę.

Wygranie wojny to pokonanie militarne państw osi a przede wszystkim Niemiec. Niema co do tego wątpliwości, jak również niewątpliwem jest że w tej płaszczyźnie interesy i dążenia wszystkich sprzymierzonych są identyczne.

Już nie tak jasno przedstawia się zagadnienie wygrania pokoju, to jest osiągnięcia wspólnych celów sprzymierzonych w dziedzinie organizacji świata powojennego. Czy można wogóle z dostateczną ścisłością mówić o wspólnych celach krajów o tak wielkiej rozpiętości i rozbieżności interesów? Możemy sobie pozwolić na pominięcie tego rodzaju niebezpiecznych i daleko idących rozważań z uwagi na autorytatywne ustalenie ogólnych celów wojny sprzymierzonych, zawarte w punktach karty atlantyckiej, do której wszakże i Rosja sowiecka przystąpiła.

Nieznane są dotychczas a przynajmniej nie zostały jeszcze opublikowane polskie cele wojny. W znacznej mierze pokrywają się one z powszechnym celem takiego urządzenia świata by podobna klęska, jak obecna, była ludzkości oszczędzona. Cechą szczególną, wyróżniającą cele wojny lub raczej program pokoju Polski od programu ogólnego sprzymierzonych musi być szczególniejsza troska o interes państwa polskiego, wynikająca z jego położenia geograficznego a także z nauk przeszłości. Położeni pomiędzy dwoma większymi od nas sąsiadami, niemal bez granic naturalnych, więcej od innych byliśmy i jesteśmy narażeni na agresję, więcej od innych cierpieliśmy i cierpimy od jej skutków. Musimy zatem dążyć do tego, aby nowy porządek rzeczy uwzględniał nasze położenie, zapewniał nam warunki trwałej egzystencji a przede wszystkim dawał maksimum bezpieczeństwa także i na ten wypadek, gdyby nowostworzony ład ogólno europejski raz jeszcze zawiódł, podobnie jak zawiodła próba stworzenia go po ostatniej wojnie. To dążenie, podyktowane instynktem samozachowawczym narodu, mieści już w sobie zarówno pełne odzyskanie niepodległości w granicach poprzednich, jak przesunięcie granicy na naszą korzyść na północy i zachodzie, jak wreszcie pełną odbudowę gospodarczą i doprzemysłowienie kraju.

Zdaję sobie sprawę z tego, że tak zwięzłe określenie polskiego programu pokojowego, nie stanowiące zresztą przedmiotu tego artykułu, może być uważane za niewystarczające. Wystarcza ono jednak niewątpliwie dla uświadomienia sobie jak daleko jeszcze jesteśmy od urzeczywistnienia tych nawet rudymentarnych postulatów.

Wygranie wojny i osiągnięcie ogólnych celów pokoju jest wspólnym dążeniem wszystkich narodów sprzymierzonych. Udział nasz w tych wysiłkach jest i musi być jak największy. Z konieczności jednak będzie on ograniczony naszą liczebnością i naszymi możliwościami.

Odpowiedzialność za osiągnięcie polskich zasadniczych celów pokoju ciąży na całym narodzie polskim, choć w nierównej mierze zależnej od jego faktycznej możności działania w danych warunkach.

Odpowiedzialność za pozyskanie dla tych celów opinji anglo — amerykańskiej ciąży wyłącznie na naszej emigracji i do tego zagadnienia pragnę zacieśnić moje rozważania.

W zeszycie 5 Nowej Polski („Próba bilansu") starałem się dać rzut oka na nasz polityczny stan posiadania w Zjednoczonym Królestwie, Obraz

ten należałoby uzupełnić przedstawieniem sytuacji po drugiej stronie oceanu a przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych.

Nie posiadając w tej mierze własnych spostrzeżeń zmuszeni jesteśmy opierać się na odnośnych głosach prasy oraz na świadectwie osób, które ostatnio miały sposobność bezpośredniego obserwowania opinji amerykańskiej. Z tego co dowiadujemy się wynika, że zrozumienie i poparcia dla naszych postulatów w Stanach jest jeszcze mniejsze niż w W. Brytanji, gdzie zresztą, jak wiemy, sytuacja nie przedstawia się pomyślnie.

Amerykanie, o ile można pozwolić sobie na takie uogólnienie, na Europę przez którą po raz drugi są w wojnie, patrzą krytycznie, a na sprawy państw położonych między Niemcami i Rosją, to jest na terenie na którym obie wojny się rozpoczęły, zgoła jak na jakąś złowrogą mgławicę. Przekonanie o konieczności takiego czy innego uporządkowania tej części Europy nie idzie przytem najczęściej w parze ze zrozumieniem czy chęcią zgłębienia tworzących ją elementów.

Chodzi tu oczywiście o szeroką opinję społeczeństwa, nie zaś o poglądy poszczególnych naukowców, polityków czy wyższych urzędników. Bez głębszej znajomości stosunków amerykańskich można jednak przyjąć za pewnik, że cokolwiek ta wielka demokracja postanowi uczynić na kontynencie europejskim, czy to przez posunięcia dyplomatyczne czy też przez utrzymywanie korpusów ekspedycyjnych lub pomoc materialną, będzie musiało mieć aprobatę a więc także zrozumienie szerokich mas obywateli.

Nie mamy powodów nie wierzyć informatorom, którzy mówią, że jeżeli w tych warunkach sprawa naszych dawnych granic na wschodzie przedstawia się amerykańskiej opinii wątpliwie, to już zupełnie niewątpliwie opinja ta jest niechętna nowym granicom Polski na zachodzie. Z tym ustosunkowaniem się do zagadnień terytorialnych idzie w parze ogólna skromna ocena przyszłej pozycji Polski w Europie. W Stanach, podobnie, lecz może wyraźniej jeszcze niż w W. Brytanji, uznanie dla bohaterstwa narodu i docenianie wysiłku zbrojnego, nawet pewna popularność osobista Polaków, nie idą w parze z większym zaufaniem do politycznej roli jaką Polska mogłaby spełniać.

Tak, w największym skrócie wydaje się przedstawiać nasze położenie. A położenie strony przeciwnej? Za nieprzyjaciół Polski w opinii amerykańskiej możnaby oczywiście uważać ignorancję lub brak zainteresowania dla spraw Europy. Poza tymi czynnikami, utrudniającymi jedynie pracę adwokatom spraw polskich, istnieją jednak bardzo konkretni i określeni nieprzyjaciele, przede wszystkim w osobach nader licznych działaczy politycznych i naukowców niemieckich, odgrywających często ukrytą, lecz zawsze dla nas zgubną rolę w życiu umysłowym Stanów i kształtowaniu ich opinii.

Jeden z dyplomatów polskich, w czasie swego pobytu w Stanach, obliczył, że samych profesorów niemieckich na uczelniach amerykańskich jest kilkuset, w tem kilkadziesiąt znanyh i uznanych autorytetów. Wszyscy ci Niemcy są prawdopodobnie nastawieni mniej lub więcej antyhitlerowsko, napewno jednak bez większych wyjątków są nastawieni antypolsko. Nie powinno co do tego być żadnych złudzeń. Antypolskość niemiecka nie zaczęła się od Hitlera i na nim się nie skończy. Pamiętamy, że kilkoletni propolski kurs polityki Hitlera, mimo jego powierzchowności i pozorności, znanej sferom wtajemniczonym Niemiec, stanowił w opinii publicznej tego kraju tak znaczne obciążenie, że właśnie tylko Hitler mógł sobie na nie pozwolić. Pamiętamy, że wedle słów jednego z niemieckich pisarzy emigracyjnych w Londynie, agresja na Polskę spotykała aprobatę nawet wśród tej opozycji antyhitlerowskiej która poza tym nie solidaryzowała się z polityką trzeciej Rzeszy i nawet dla Czechów, znajdywała wyrazy sympatii.

Gdybyśmy nawet nie posiadali licznych dowodów antypolskiej roboty emigrantów niemieckich w Stanach, to przecież wiemy czego z tej strony

możemy oczekiwać. Wpływy tych ludzi zaś są znaczne i wyrażają się przede wszystkim właśnie przez instytucje naukowe i wydawane przez nie prace naukowe, podręczniki, encyklopedie i czasopisma. Jasnem przy tem jest, że im jawniej dany osobnik stoi w opozycji do reżimu hitlerowskiego tym większe potencjalne niebezpieczeństwo może dla nas przedstawiać.

Tak więc w kraju sojuszniczym, którego opinia jest jeszcze dotychczas dla postulatów naszych, łagodnie mówiąc, nie zdobyta, działają ponadto liczne i wytrawne siły diametralnie nam przeciwne. Czy i co zrobiliśmy i robimy ze swej strony ?

Ktoś określił naszą akcję na Amerykę najciemniejszą kartę naszych poczynań emigracyjnych. Nie sądzę aby to określenie było trafne. Trudno bowiem nazywać ciemną kartę, która jest niemal całkowicie niezapisana, nie wypełniona żadną poważniejszą, stałą działalnością na większą skalę.

W chwili, gdy za rogiem obfitości lease and lend'u, w stronę już nietylko arsenału ale także głównego obozu wojskowego demokracyj przenosi się coraz wyraźniej i kompletniej środek ciężkości wszystkich decyzyj sojuszniczych, porównanie nasilenia naszej akcji propagandowo politycznej w W. Brytanji i Stanach przedstawia się wciąż jeszcze, w najlepszym razie, jak 100 do 1. W czwartym roku wojny i blisko w rok po otwartym przystąpieniu do niej Stanów, wciąż jeszcze czekamy na jakiegoś nowego Jana z Kolna, który by odkrył Amerykę na potrzeby polskie, nie pomni, że aby tym potrzebom służyć nie wystarczy Nowy Świat odkryć, ale trzeba go jeszcze zdobyć !

Gdy patrzymy na ilość placówek czy poprostu jednostek, które po drugiej stronie oceanu dla sprawy polskiej pracują, ogarniać nas musi przerażenie. Przecież gdyby to nawet byli nadludzie, praca ich byłaby tylko przysłowiową kroplą w morzu. Z tego zaś co wiemy o ich pracy a jeszcze bardziej współpracy, nadludzie to jednak nie są.

Czy należy zatem wzmocnić naszą reprezentację w Ameryce ? Niewątpliwie, tak. Należy umieścić jak najwięcej spośród uratowanych naukowców polskich na Uniwersytetach i w instytucjach naukowych amerykańskich. Należy powierzyć im natychmiastowe rozpoczęcie żmudnej pracy prostowania w słowie i piśmie głęboko zakorzenionych i stale na nowo zaszczepianych ujemnych zdań o Polsce. (Praca ta, nawiasem mówiąc, i po tej stronie wielkiej wody mogłaby być prowadzona nieco intensywniej.) Czy to jednak wystarczy ?

Wyznaję pogląd i do tego jeszcze powrócę, że nie bardzo licznym i — powiedzmy szczerze — nie tak znowu wyborowym materjałem ludzkim, jaki mamy na emigracji, gospodarujemy nieekonomicznie. Gdybyśmy jednak nawet przeprowadzili najściślejszą selekcję, a contra spem spero, że do tego jednak dojdzie, gdybyśmy rzeczywiście użyli wszystkich właściwych ludzi na właściwych miejscach, okazałoby się zapewne że do tego rodzaju mrówczej, drobiazgowej, analitycznej pracy mamy ludzi za mało. Niewątpliwie też mamy zamało czasu na odrobienie wieloletnich zaniedbań w ciągu niezbyt długiego — da Bóg — czasu dzielącego nas od końca wojny. Co więc pozostaje do zrobienia ?

Odpowiedź dają ogólne zasady prowadzenia walki, równie trafne w zastosowaniu do sportu, wojny czy polityki. Gdy czujemy się słabsi od przeciwnika w zainicjowanej przez niego taktyce, trzeba taktykę zmienić, przenieść rozgrywkę na płaszczyznę bardziej odpowiadającą naszym możliwościom. Z terenu, na którym możemy w najlepszym razie mniej lub więcej skutecznie się bronić, trzeba przejść na teren, na którym stać nas na natarcie. Dotychczas była mowa o potrzebach i drogach polskiej akcji obronnej. Jakie winny być drogi polskiej ofenzywy politycznej ?

Opinia amerykańska pragnie uporządkowania Europy. Odrzuca z niechęcią postulaty poszczególnych narodów, uważając je za partykularne

przejawy egoizmów narodowych. Brzydzi się poprawkami granicznymi jako objawem imperializmu. Oczekuje planów gospodarczych i politycznych, obejmujących wielkie, zwarte obszary. Od kogo te plany mają wyjść?

Francja, której tradycyjny autorytet w Stanach przetrwa być może okres obecnego poniżenia, leży powalona i niezdolna w tej chwili do żadnej inicjatywy.

Rosja, pochłonięta walką o utrzymanie swego istnienia, z tego a może także z innych powodów, nie odsłania kart przyszłości.

Wielka Brytanja, skrępowana względami na sojusznicze rządy w Londynie i Moskwie nie występuje, o ile wiadomo, z poważniejszą inicjatywą. Nie wiadomo pozatem, mimo wszystko, czy brytyjski bilet wizytowy byłby na rynku amerykańskim najlepszym wprowadzeniem recepty na urządzenie Europy.

Polska jest następnym z kolei z wielkich narodów sojuszniczych, Podobnie jak w latach poprzednich nie należy do koncertu największych, lecz jako pierwsza z pozostałych, predestynowana jest na ich przewodnika. Jest przy tym największym z państw Europy środkowo wschodniej to jest tego obszaru, który w opinii amerykańskiej a także brytyjskiej przede wszystkim wymaga uporządkowania. Polska posiada zatem objektywne dane aby wystąpić z inicjatywą nowego ładu powojennego, przynajmniej w odniesieniu do strefy z Polską sąsiadującej.

Wątpliwości mogą powstać co do tego czy Polska posiada także dane subjektywne t.zn. odpowiednią predyspozycję do podjęcia takiej inicjatywy. W okresie niepodległości ponadpaństwowe instytucje międzynarodowe nie cieszyły się w Polsce zbytnią popularnością ani zainteresowaniem. Kontakt z nimi ograniczał się przeważnie do oficjalnego udziału dyplomatów, którzy po największej części — poza okresem polityki Aleksandra Skrzyńskiego — nie odgrywali ani nie starali się odgrywać poważniejszej roli na forum międzynarodowym. Polska zdawała się nie rozumieć, że powodzenie prób zorganizowania bezpieczeństwa i porządku zbiorowego jest istotnym warunkiem jej pomyślnego rozwoju.

Ciasnota wielu naszych czołowych polityków, brak objektywnej oceny własnych warunków i możliwości, niewątpliwie odegrały tu zgubną rolę. Ale wszakże nie to było wyłączną przyczyną polskiego désinteressement w usiłowaniach zorganizowania ludzkości na nowych zasadach. Wszakże te same instytucje międzynarodowe, które tak często w stosunku do Polski występowały w charakterze sędziego czy policjanta od początku zawodziły ilekroć chodziło o zapewnienie poszanowania prawa ze strony mocniejszych. Wszakże niektóre z międzynarodowych zobowiązań, jak traktat o mniejszościach, były prawem wyjątkowym w stosunku do Polski, którą wiązały jednostronnie. Tego rodzaju dyskryminacja nie może wpływać zachęcająco na naród dumny ze świeżo odzyskanej suwerenności i na tym punkcie oczywiście i wybaczalnie przeczulony. Prawdą jest, że kiedy w Wielkiej Brytanii zwolennicy Ligi Narodów stanowili potężne stronnictwo, mające decydujący wpływ na wybory, to w Polsce przyznawanie się do sympatii proligowych było nieraz uważane za coś pośredniego między przyznaniem się do żydowskiego pochodzenia a przygotowaniem do zdrady stanu. Ale przecież Liga Narodów była w wysokim stopniu instrumentem polityki brytyjskiej, podczas gdy najwyższym sukcesem Polski na jej terenie bywało uniknięcie strofowania za takie czy inne incydenty w Gdańsku lub na Śląsku. W instytucjach, których stosunki z Polską pozbawione były momentu drażliwości, jak na przykład w humanitarnych działach Ligi Narodów czy w Międzynarodowej Organizacji Pracy, wkład i udział Polaków były znacznie bardziej pozytywne.

Nie zmienia to w niczym faktu, że trwały pokój potrzebny jest naszemu ciężko doświadczanemu krajowi bardziej jeszcze niż innym oraz, że nie

będzie takiego pokoju w Europie bez takiej czy innej ponadpaństwowej organizacji. W tej dziedzinie zachodzi pełna zbieżność między dążeniami podyktowanemi ideałami ogólno ludzkimi i miłością człowieka a dążeniami wynikającymi z troski o interes Polski.

„Między Niemcami a Rosją Sowiecką" — tak brzmiał tytuł studium Adolfa Bocheńskiego o polityce międzynarodowej, zawierającego wskazania jak Polska powinna lawirować aby utrzymać się na fali w towarzystwie dwóch kolosów. Ta sama sztuka ekwilibrystyki w polityce międzynarodowej jest treścią publikacji Mackiewicza. Gdy czytamy te rozważania na temat gdzie Beck zbłądził, jak powinien był tę czy ową sytuację rozegrać, jakie posunięcia w danej chwili wykonać, nie możemy oprzeć się uczuciu głębokiego smutku i pesymizmu. Czy rzeczywiście cała przyszłość i sama nawet egzystencja trzydziestomiljonowego narodu mają być stale w zawieszeniu, zależne tylko od szczęśliwej ręki gracza ?

Wierzę, jak wierzyłem zawsze, że Polska, za wielka aby zginąć, za mała aby żyć w systemie międzynarodowym opartym na zasadach rozboju, ma najwyższy interes w zapanowaniu takiego ładu, który by dał jej możliwość odbudowy, odrobienia zaległości i spokojnego rozwinięcia swych sił i zasobów. Możemy oczywiście także istnieć jako kraj pod bronią, stale czujni, stale zwarci w decyzji przyjęcia nierównej walki, nigdy właściwie nie gotowi by z niej wyjść zwycięsko. Możemy także nadal poświęcać lwią część naszego dochodu narodowego na zbrojenia: podczas gdy szerokie rzesze ludności będą niedożywione, niedouczone i niedomyte. Możemy niewątpliwie w przyszłości wznieść lepsze fortyfikacje na granicach zamiast budować nowe szkoły na kresach, ale ponieważ nie będzie nas stać na jedno i drugie więc prymitywny rozum polityczny każe dążyć do uniknięcia tej smutnej decyzji. Nie co innego jak właśnie fanatyczny patriotyzm Polaków zmusza do pozytywnej współpracy w stworzeniu trwałego ładu międzynarodowego.

Zorganizowanie mniejszych państw Europy środkowo-wschodniej w jeden zwarty blok polityczny i gospodarczy nie jest jeszcze rozwiązaniem tego zagadnienia, jest jednak poważnym etapem na drodze do jego rozwiązania i jest równocześnie najlepszą w danych warunkach asekuracją naszego kraju, na wypadek gdyby organizacja bezpieczeństwa ogólno europejskiego raz jeszcze miałą zawieść.

Program organizacji Europy środkowo wschodniej nie jest już dziś czymś nowym dla czytelnika polskiego na emigracji. Zaprząta on cały szereg polskich władz i placówek, jest dyskutowany publicznie. Wobec doskonałego omówienia tego problemu od strony gospodarczej, najbardziej dziś dojrzałej do planowania, przez Adama Ciołkosza w ostatnim numerze Nowej Polski, tym bardziej mogę zakładać, że zagadnienie to jest znane. Nie chodzi mi zresztą tutaj o szczegóły samego planu lecz o skupienie na nim naszego największego wysiłku.

Rzecz jasna, że plan ten wymaga prac przygotowawczych a przede wszystkim pewnego uzgodnienia i współpracy przedstawicieli pozostałych państw tego obszaru. Wymaga taktu i umiaru oraz współdziałania całego szeregu czynników dyplomatycznych, gospodarczych i propagandowych. Polska nie może narzucać się ze swoim przewodnictwem, może jednak i musi, siłą rzeczy, wziąść na siebie gros pracy przygotowawczej. Musi to uczynić przede wszystkim dlatego, iż w porównaniu z Czechami i Słowakami a tym bardziej w porównaniu z Jugosłowianami i Grekami posiadamy tutaj liczniejszą reprezentację, większą ekipę fachowców i specjalistów. Pierwszą naszą przysługą dla przyszłych wspólników bloku winno być wypożyczenie ich przedstawicielstwom sztabu personelu zdolnego do przeprowadzenia fachowego planowania.

Drugi etap, to ofensywa propagandowa w krajach anglosaskich. Padnie

ona na grunt najbardziej sprzyjający. W. Brytania i Stany z najwyższym zainteresowaniem, może nawet z ulgą przyjmą plan rozwiązania zagadnień obszaru, których istotę zaczynają odgadywać, choć jak się zdaje, nie bardzo czują się na siłach same je rozwiązać. Stałe zainteresowanie okazywane dla Konfederacji Czechosłowacji i Polski tu — i w Ameryce, jest tylko przykładem tego nastawienia.

Rola Polski będzie jasna i zrozumiała. Byliśmy pierwszymi w czynnej negacji nowego porządku opartego na hegemonii Niemiec, mamy prawo być pierwszymi w budowaniu porządku opartego na wolności wszystkich uczestników. Inicjatywa ta nawiąże do najszlachetniejszych, niezupełnie jeszcze zapomnianych, tradycji Polski. Wskrzesi pamięć Polski Bema, Pułaskiego, Kościuszki, zacierając widma pacyfikacyj i Berezy, jakże często przez nas samych samobójczo wywoływane. Zamknie usta małym kalumniatorom, zdezaktualizuje krecią robotę jawnych i ukrytych wrogów.

Misją dziejową naszej emigracji jest tę wielką inicjatywę podjąć i z całą umiejętnością, a także z całym nakładem środków na jakie nas stać, wysunąć przed forum świata.

Przed decyzją rozpoczęcia akcji politycznej tych rozmiarów pozostają dwie kwestje do wyjaśnienia : *a*) czy posiadamy mandat do podjęcia takiej akcji imieniem Polski, *b*) czy posiadamy dostateczne środki a przede wszystkim materjał ludzki do przeprowadzenia jej z należytym naciskiem i natężeniem.

Pierwsze pytanie jest aż nadto zrozumiałe i staje przed nami w obliczu każdej większej decyzji, pociągającej za sobą przyszłe zobowiązania kraju. Są to wątpliwości natury raczej moralno — niż prawno — politycznej.

Pod względem prawnym sytuacja nasza jest znakomicie jasna. Konstytucja nasza mimo wielu braków i błędów miała na szczęście pewne przewidujące postanowienia, dzięki którym Prezydent nasz jest legalnym prezydentem, rząd nasz legalnym rządem. Nie jesteśmy „wolnymi Polakami" z jakimś komitetem na czele, ale prawdziwą i bezsporną reprezentacją kraju, przy czym brak jakichkolwiek, choćby najbardziej samozwańczych rządów konkurencyjnych w Polsce, czy gdzie indziej, wybitnie przyczynia się do wzmocnienia stanowiska międzynarodowego naszych władz.

Mogą jednak powstać wątpliwości w jakim stopniu i zakresie jesteśmy moralnie uprawnieni do zaciągania imieniem Polski daleko idących zobowiązań. Z tego punktu widzenia nie można uważać sytuacji polskich władz naczelnych za łatwą. Władze te, pozbawione normalnych trosk rządzenia, z dnia na dzień jednak stają wobec niezmiernie odpowiedzialnych zagadnień, które w braku właściwego przedstawicielstwa w sumieniu swym muszą rozstrzygać. Są trochę jak zastępcy prawni, którzy otrzymali pełnomocnictwa pełne i niewątpliwe, stale przy tym milcząco, lecz jakże strasznie wymownie potwierdzane przez mandanta ; mandant ten jednakże nie może mówić ani woli swej w poszczególnych sprawach przejawiać, nie ma nawet warunków do samodzielnej, swobodnej oceny sytuacji. Nieraz słyszy się głosy, że w tych warunkach wskazany jest największy umiar i samoograniczenie, wskazane jest pozostawienie możliwie wielu zagadnień otwartych dla późniejszego zajęcia stanowiska przez ogół obywateli polskich. Szanuję te poglądy ale ich nie podzielam, jeżeli chodzi o decyzje, które nie mogą lub nie powinny czekać.

Społeczeństwo polskie, wzamian za wszystko co cierpi i znosi, oczekuje od swego przedstawicielstwa w tych tragicznych latach nie tylko normalnego strzeżenia interesów polskich, oczekuje nade wszystko i ponad wszystko sukcesu. Sukcesu na polu zabezpieczenia spraw polskich począwszy do pierwszej chwili zwycięstwa sprzymierzonych. I dlatego, jeżeli sukces ten wymaga powzięcia decyzji i zaciągnięcia zobowiązań nawet najbardziej dalekosiężnych, nie wolno się wahać. Małoduszność w chwilach podob-

nego napięcia historycznego byłaby równą zbrodnią jak zła wola. Chłodna i trzeźwa analiza sytuacji po stronie sprzymierzonych wykazuje, że sprawy polskie nie stoją tak dobrze jak byśmy tego pragnęli i jak kraj tego oczekuje. Jeżeli potrzeba wielkiej i śmiałej akcji aby stan ten zmienić, nie wolno zwlekać ani chwili.

Druga kwestia łączy się z oceną naszych realnych możliwości w tym składzie w jakim znaleźliśmy się poza zasięgiem panowania osi.

Wszyscy prawdopodobnie jesteśmy zgodni co do tego, że skład ten nie jest wspaniały. W wyniku kilkakrotnych ewakuacji i związanej z tym selekcji, którą w najlepszym razie można uważać za przypadkową, poziom naszej przeciętnej emigracji leży zapewne poniżej przeciętnej poziomu polskiego. Wierzę jednak w zdolności indywidualne Polaków i naszą umiejętność wykrzesania z siebie zdolności wymaganych okolicznościami. Działalność polska w W. Brytanji, nie pod każdym względem budująca, dostarcza sporo dowodów na potwierdzenie tej wiary. W przyjaznym klimacie duchowym wolnego i gościnnego kraju rozwinął się szereg nowych talentów. Gdy propaganda polska potrzebowała artystów, znaleźli się artyści, gdy było potrzeba pisarzy lub mówców, znaleźli się i tacy. Niejeden się podciągnął, niejeden zaczął od nowa. Znam młodych chłopców, którzy przyjechali tu nie mówiąc słowa po angielsku, dziś zaś przodują na wyższych uczelniach ; dzieci polskie na ogół dzierżą prym wśród swoich rówieśników.

Oczywiście powstaje problem należytej gospodarki całym tym materiałem ludzkim. Wydaje mi się, że popełniono tu sporo błędów. Zrozumiała chęć utrzymania pewnej liczby jednostek wojskowych w możliwie pełnych składach, doprowadziła do nieco absurdalnej sytuacji, w której najlepszą legitymacją do pracy w urzędach państwowych jest wiek lub zły stan zdrowia. Nie wydaje mi się, by chwila zasługiwała na powierzanie odpowiedzialniejszych zadań starcom i emerytom.

Stworzenie poważnej liczby polskich jednostek wojskowych na Bliskim Wschodzie odejmuje oddziałom w Szkocji ciężar wyłącznej reprezentacji polskich sił lądowych i powinno, zdaniem moim, pociągnąć za sobą wyłuskanie z szeregów jak najwięcej młodego elementu, który mógłby być użyty do niezmiernie doniosłej pracy. Zresztą nie zawsze musi to iść w parze ze zmniejszaniem stanów liczebnych. Może w niejednym wypadku wystarczyłaby po prostu wymiana między Szkocją a Londynem.

Na zakończenie tych sugestji — wnioski praktyczne. Przedstawiają mi się one następująco :

1) Odświeżenie naszej ekipy londyńskiej przez dopływ młodych talentów. Wielokrotne wznocnienie ekipy amerykańskiej. Przeprowadzenie podziału jej zadań ; zapewnienie jej jednolitego kierownictwa.

2) Najżywszy udział Polaków we wszelkich pracach i działalnościach dotyczących zorganizowania współpracy światowej i europejskiej państw.

3) Szybkie przygotowanie programu politycznej a przede wszystkim gospodarczej organizacji Europy środkowo wschodniej, w oparciu o liczne, choć rozproszone, prace na ten temat i w porozumieniu z przedstawicielami innych krajów zaintesowanych.

4) Wystąpienie z inicjatywą polską „nowego ładu" i poparcie jej wielką ofenzywą propagandową w krajach sprzymierzonych.

KWIATY POLSKIE
(FRAGMENT)

Wierszu mój z żalu, jak stół z drzewa,
Wierszu z tęsknoty, jak dom z cegieł !
Syrena nad wiślanym brzegiem
Cichutko, jednostajnie śpiewa,
Że Wisła płynie . . . Wisła płynie
I co ma przetrwać — trwa w głębinie . . .
Wierszu mój, ścisły jak zaploty
Srebrnostrunnego jej warkocza !
Z twardej wybiłeś się tęsknoty,
Jak źródło z kamienistej ziemi . . .
O, wierszu z gruzów i kamieni
Ojczyzny mojej i młodości !
Płyń, wzbieraj, nurcie namiętności,
Łzami grający tęczowemi !
Wydłużaj się, wyciągaj, sięgnij
Dnia-Tam, Dnia-Domu, Dnia w krainie,
Gdzie (słuchaj ! słuchaj !) Wisła płynie !
Z płynącą Wisłą bieg swój sprzęgnij,
Rozchyl spragnione wargi rymów
I pij — i chłoń — i czule wymów
Te dwa wyrazy, godne księgi,
Że WISŁA PŁYNIE . . .
Wierszu, rodzona moja mowo !
Polsko, matczyne moje słowo !
Matko, dla której żadnych nigdy
Słów nie znalazłem prócz modlitwy !
Matko, co swemu niemowlęciu
Śliczności wśpiewywałaś tkliwe
Do dziś szumiące w głowie siwej,
A chłopcu mazurkowe zwrotki,
Gdzie dźwięk z oddźwiękiem się sprzymierzał,
Wprawiając serce w podziw słodki,
I nauczyłaś go pacierza,
A potem „ty jesteś jak zdrowie,“ —
— A wszystko było w jednej mowie,
W tej samej, którą dziś, struchlały,
Nadziei pełen i rozpaczy,
Śpiewam dwusłowy hymn prostaczy,
Jakby to był poemat cały :
Że Wisła płynie . . . Wisła płynie . . .
Matko i wierszu i ojczyzno,
Umiłowani trój-jedynie !
Płonę i dzwonię : „Wisła płynie :“

Poszum jej gonię : „Wisła płynie!“
I przed Poezją zasłuchaną
Zeznaję, jak przed trybunałem :
Że ja, co mowy tej caliznę
Do dna miłością przeorałem,
I znam jej żwir i piasek złoty,
Czarnoziem, węgiel i klejnoty ;
Ja, wdany w żywot jej korzeni,
Pnia i gałęzi i zieleni,
Jak pszczoła w plastry barci leśnej,
Ja, co jej prawdę chwytam bystrzej,
Niż usta świeży miąższ czereśni, —
Ja radośniejszej i srebrzystszej
W polszczyźnie nie słyszałem pieśni !

JÓZEF ŁOBODOWSKI

PANI SALOMEA

Suchy szelest jedwabiu w staroświeckich skrzyniach,
Smukłe dłonie na sukni, i lekkość niezwykła,
Jakby tylko w przejeździe na dworach Wołynia
U stóp jej siną wstążką wiązała się Ikwa ;
I kwiaty zasuszone na żółtych literach,
Gdy je pisał śród obcych, bardzo tęsknić musiał,
Pewnie ujrzał, jak oczy zdumione przeciera,
Srebrnym snem nawiedzona i drżąca Salusia.

Tchną zatrutą słodyczą azaljowe gaje,
Po deszczu cały ogród świeżością odurza,
Drzewo biegnie ku drzewu, ramiona podaje,
A zmierzch po winogronach, po sztamowych różach
Spływa ku sinym klombom i zwolna się kładzie
Na rzęsach, na robótce, na kwiatowych wieńcach,—
To obłok, wędrujący z dalekiej Arkadji,
Zatrzymał się nad ciszą białego Krzemieńca.

Czasami za bramą domu pijany bałaguła
Trzaśnie z bicza i pieśnią odezwie się dziką,
Ku nutom odłożonym sięgnie ręka czuła
I drżący ze wzruszenia otworzy klawikord.
Smukłe palce zamyślą się chwilę, a wtedy
Cały ogród jest pełen kwitnącej rezedy,
Srebro dzwoni w gardziołkach wołyńskim słowikom ;
I, jeśli ta muzyka do nieba nie trafi,
Aniołów nie przywiedzie do łez nieuchronnie,
Jakiż tu ukraiński nadleci serafin,
Zwiastować dobrą sprawę szlacheckiej Madonnie ?

Więc zcichnie pieśń—i oczy otworzone w zgrozie,
I strach, jak ciemny motyl, ku jedwabnym rzęsom
Ruszył, idzie od wschodu stepowy czarnoziem,
Z korzeniami wyrwane topole się trzęsą,
Podolskie woły, z ciężkich uwolnione jarzem,
Upadły na kolana przy pierwszym powiewie—
I z wichrem kołysane bizantyjskie twarze
Wdzierają się w ponurym i żałosnym śpiewie.

Ach, on się takich twarzy i śpiewów nie uląkł,
A ty się, pani najsmuklejsza, lękasz!
Ku chustom wyszywanym i białym koszulom
Już bidermayerowska ulata sukienka,
Już się w chłopskiej gromadzie zgubiła szlachcianka,
Za ręce ją pochwycą, na obłoki porwą—
I na winem obrosłych krzemienieckich gankach
Zapachniało ajerem, brzoskwinią i morwą.

I porwali, i znikli, i ślad po nich ginie,—
Zatracili się w mroku, na stepach i lasach,—
Tylko pożar daleki w bujnej Ukrainie
Pełza nisko przy ziemi i wolno dogasa,
Tylko jeszcze dzwonami Poczajowska Ławra
Zawołuje mi głośno, jakgdyby na stypie,
I ślad po cwałujących ognistych centaurach
Na niebie zmierzchającem gwiazdami się sypie.

Więc jakże? . . . Nic już więcej po nich nie zostało!
Wiotkie echo, gdy piosnkę najczulszą się dogra,
Zapach róż, co przekwitły, rak wysmukłych białość,
Na starych kolumienkach więdnący winograd . . .
Po latach niespokojnych i zdarzeniach wielu
Jakież z cichego domu nawiedzą nas wieści?
—Ach, to tylko na ławce rzucony kapelusz
Wyblakłemi wstążkami na wietrze szeleści . . .

Zmierzch brodzi śniadą stopą po zielonych wodach,
Każde drzewo—jak widmo, a krzew—jak rusałka,
Rozlewa się stęskniona stepowa woda
Po leśnych uroczyskach, rozłogach i bagnach,
Dzwonią kosy w łąkach—i w południe letnie
Faun scytyjski przykłada do ust rzewną fletnię,
A piosnka jego dzika
Zcisza się coraz słodziej, kiedy łąką przechodzi
Może nimfa, a może Nauzyka.

Przystanęły za siołem dzieci ukraińskie,
Spoglądają w zdumieniu po ziemi wołyńskiej,—
Czemu tak śpiewna i dzwonna—
I patrzą, i nie wiedzą, że polną wędruje miedzą
Uśmiechnięta szlachecka Madonna.

MARJA KUNCEWICZOWA

W ZAMKU BIAŁEJ DAMY

PROBLEMY

W Walter Scott'owskim zamku Białej Damy był szpital. Na twarzach chorych leżały zielone i szafirowe smugi, kornety sióstr wyglądały zmiennie, jak skrzydła papug, bo światło wchodziło do sal przez witraże. W korytarzach nosze nieraz zaczepiały o nagolenniki zbroic, wtedy puści w środku rycerze brzęczeli. Ozdrowieńcy we flanelowych chałatach bardzo byli niestosowni w tym heroicznym lokalu. Ale i ci, którzy zalegali łóżka, obmyci niedawno z własnej krwi i gnoju, wyciągnięci ze strzaskanych samolotów, odczepieni siłą od belek, których dopieroco kurczowo się w morzu trzymali, ci także nieruchomi w gipsowych bandażach — wszyscy obrażali zagrobową wytworność Damy — sojuszniczki rycerzy.

Np. mat maszynista E. kłócił się ze starszym marynarzem F.

„Nie szukałeś — mówił — ja wiem że nie szukałeś. A ja już drugi raz w życiu takiej Leici nie kupię".

„Jak mi Bóg miły, czterech nas szukało, z bakistyśmy wszystko wyrzucili, pazurami drzewo darłem naokoło, każdy wie, żeśty chytrus, że ten aparat napewno był w jakąś sekretną dziuplę schowany".

„Ale ! Aparat w bakiście był i te zdjęcia z tą rudą".

„Słuchaj, stary, ja ci mówię odwal się. Jakeś mi upadł pod nogi z tą ręką, co na jednym pasku wisiała, z gębą obdartą ze skóry i zacząłeś skamłać „aparat", to mi się chciało ten aparat choć z własnego brzucha wyjąć. Ale teraz to mam dość. Nawet to jest świństwo, żeś ty w takiej chwili żadnego innego pomyślenia nie miał, tylko aparat".

„Bracie, tyś z byka spadł ! O czym miałem myśleć ? Ja takiej Leici drugiej w życiu nie kupię".

„Nie kupisz ? Aleś ty nie kupować wtedy miał, tylko zdychać ! Przecież żeby Anglik pod nas prędko nie podszedł, to by cię ryby jadły ! A przez twoje skamłanie, to nas wtedy czterech chłopa mogło zdechnąć. Coś ty ? Zapomniał jak było ? Przecie okręt już wody nabierał, przez dziurę w burcie woda na pomieszczenie się lała, jak cholera, i ja już tę rękę miałem złamaną, a my — zamiast lecieć i tratwy spuszczać — tośmy aparatu szukali".

„Djabłaście szukali! Aparat zara na lewo z brzega leżał".

„Jak leżał, to i tobie było, chorobo, na pomieszczeniu leżeć! Rozkaz był: w czasie alarmu po pokładzie się nie szwendać! Po jaką cholerę do działa polazłeś?"

„Po jaką cholerę? A po taką, że gatki w maszynie prałem, potem wychodzę, a tu kucharz co pociski przy 75-ce podaje, krzywi się jak nieszczęście i pada. To co? Miałem na pomieszczenie wrócić gatki suszyć? A ogień zaporowy niech diabli biorą. Czy tak miałem zrobić? Żeby kochane kolegi prędzej ratować się mogli? no nie?"

Pilot M. kłócił się z siostrą.

„Proszę siostry, jak siostra będzie mi ten opatrunek na rękę tak zakładała, żebym ja nie mógł palcami ruszać, to ja bandaż rozetnę".

„Oj, panie poruczniku, proszę nie rozcinać, opatrunek jest założony dobrze. Prawda, że nie bardzo bolało? A jak nerwy przedramienia porwane, to miało prawo bardzo boleć".

„Ja o boleniu nie mówię, tylko że palcami nie mogę ruszać."

„Dobrze, dobrze, panie poruczniku, elektryzację się potem zastosuje".

„Potem mnie nie obchodzi. Ja teraz odrazu muszę palce gimnastykować, ja wcale uchwytu nie mam".

„Oj, panie poruczniku, po co panu zaraz uchwyt? Przede wszystkim trzeba do reszty pierś wygoić. I tak cud że kula koło serca przeszła i spokojnie wyszła z drugiej strony".

„Więc wyszła i ona mnie więcej nie interesuje. A to jest prawa ręka i ja nie mam uchwytu".

„Na Boga, panie poruczniku, co pan chce tak na gwałt chwytać? Niemca czy ładną sroczkę za ogon?"

„Proszę siostry, złapać kobietę można nie podnosząc palca. Ale teraz nie jest czas miłości. W czasie wojny człowiek bez uchwytu, to jak kot bez pazurów — ofiara".

„Już, już, bandażuję na nowo. Będzie pan gimnastykował te swoje pazury. Pewnie, że to nie jest czas miłości . . . Nie będzie pan żadną ofiarą. Ale skąd takie słowa na sztandarze: miłość żąda ofiary?"

Plutonowy ledwie dosłyszalnym głosem kłócił się sam ze sobą.

„Poco *mnie* się było zgadzać? Gangrenę wypędzili, kość by się zrosła, a żeby noga krótka była, tak cóż? Inwalida także samo człowiek . . . Ja nie wiem poco *ja* się na te krajania, na te sztuki godził?"

Leżał płasko, jednocześnie ciemny i zielony na twarzy. Ciemny, bo jeszcze go się trzymała opalenizna afrykańska, zielony z powodu witraża, a także z powodu wielkich bólów jakie cierpiał. Patrzył prosto w gotyckie sklepienie i mówił

jak gdyby do siebie samego unoszącego się gdzieś w górze, ponad tą kukłą, która już nie była nim samym. Mówił z żalem do dezertera, który opuścił jego ciało w złej chwili, by unosić się nad nim w okolicy zwornika, udając duszę, czy beztroską muchę. „Mnie“, „ja“ brzmiało objektywnie, jak np. „Józefowi“, czy „Józef“. Tylko że ów Józef, powziąwszy ciężkie co do swego ciała decyzje, porzucił je nagle dla niepoważnych igraszek w powietrzu.

„Żeby *ja* się nie zgodził, tak *jaby* w ta pora po parku spacerował. Pocoż *mnie* się było godzić ?“

Wytężając wzrok, czekał na odpowiedź ode „Mnie“, która powinna była spaść z sufitu. Ale “Ja“ najwyraźniej nie odczuwało żadnych bólów i nie interesowało się już zarzutami ciała. Od strony sklepienia bzyk ani szept eteryczny nie nadchodził. Natomiast twarz plutonowego, poprzez opaleniznę libijską i poprzez witrażową zieleń, coraz głębiej zachodziła martwicą.

„Doktora, pana doktora, siostro“ — ktoś zawołał — „plutonowemu gorzej !“

Wszedł doktór w kitlu, uśmiechnięty.

Ten uśmiech znałam. Ten uśmiech bardzo mnie już kiedyś zadziwił. Było to w dużym pokoju pełnym kwiatów i wesołych ludzi. Przez otwarte drzwi balkonu płynął zapach Łazienek i hałas warszawskiego popołudnia. Z kapeluszy kobiet, pijących herbatę, na darmo zrywały się skrzydła uplątane w woalki, mężczyźni patrzyli na te ptaszki sponad filiżanek, jak sępy na bezbronne skowronki. Wtedy właśnie ten uśmiech pojawił się we drzwiach, taki ironiczny i taki jednak pełen uwielbienia. „Sławny ginekolog“ — szepnięto — Cudotwórca. Z martwej żaby robi żywe dziecko“.

Doktór podszedł do plutonowego. Ujął go za zdrową kiść i nasłuchiwał pulsu. W miarę jak słuchał, ironia i uwielbienie znikały z jego uśmiechu. Wreszcie znikł cały uśmiech, zostały tylko usta zaciśnięte w gniewie. Siostra stała obok.

„Zastrzyk, panie doktorze ?“

Złożył rękę plutonowego na kocu ostrożnie, jak cudzy, kosztowny przedmiot. Wzruszył ramionami, skwapliwie szedł do wyjścia. W progu stanął.

„Poco ? — zapienił się z irytacji — poco mnie siostra wzywała ? Tam wszystko było w absolutnym porządku ! Ten człowiek umarł bez najmniejszej racji . . .”

Machnął ręką.

„Nonsens. Co ja tu robię w tem wszystkiem ? ”

Plutonowy patrzył w górę martwymi już teraz oczami, ciągle czekając, by dusza przeprosiła za tortury, na które tak okrutnie naraziła ciało.

Doktór nie czekał. Odszedł ze swojem co ? i po co. Co znaczą tortury zdrowych męskich ciał ? Po co akuszer bywa

3

wzywany do łóżek, gdzie nie tylko rodzą się w bólu martwe dzieci, ale i nierozwiązalne, niezniszczalne problemy ?

PORTRETY

W sieni rycerskiej ozdrowieńcy opowiadali sobie przygody, wymieniali obserwacje, roztrząsali świat. Marynarz Tolek, który dwa miesące spędził w szpitalu w Rosji, gadał najwięcej.

— Rosjany nie są złe ludzie — mówił — grzecznie się odezwą. Inteligentni. „Polsza — powiadają — kulturę ma, Mickiewicza, Szopena". I nawet sanitarjusz do kazarmy dwa razy dziennie przychodzi sprawdzać czy ręce myją. Nieprawda, że przeklinają. Z głodu na ulicach zdychają, a nie klną. Prostytucji niema. Rozwód 30 rubli kosztuje. Bardzo dobre ludzie".

Podchorąży parsknął.

— Tak się o narodach nie mówi. Polityka dobroci, ani złości nie zna.

Na to powstał zamęt.

— Nie mówi się tak ? To źle ! Politykę ludzie robią. Jak ludzie źli, to polityka zła, to naród zły.

— Nieprawda ! Ludzie nie są winni, jeżeli rząd źle robi. Ludzie polityki nie robią, tylko rząd.

— A co ? w rządzie bogi siedzą ? albo diabły ?

— Cicho ! dajcie mi gadać ! Ja nie wiem kto w rządzie siedzi. Ja wiem com w Rosji widział. Rosjany są dobre ludzie, ale Stalina im ze ściany ruszyć nie wolno, nawet żeby miał komu drugiemu na łeb spaść ! To jest fakt — nie wolno.

— Z jakiej ściany ? Co znaczy nie wolno ?

— A z takiej samej jak tu : ze szpitalnej. Myśmy we dwuch z kapitanem leżeli w szpitalu pod portretem Stalina. Ramy miał ciężkie, szerokie na dłoń — obraz jak do kościoła. Jak się Niemcy wzięły bombardować, jak się ściany wzięły trząść, to ja patrzę hak pomaluśku obluźnia się w ścianie, a ten drut posuwa się i posuwa do przodu. Tak my z kapitanem w ryk. Jeszcze ja, to bym wrazie czego skiknął z łóżka, ale kapitan bez ręki, bez nogi. Przychodzi sanitar : „Czewo ?" — „A tego". — „Portretu Stalina zdjąć bez pozwolenia nie wolno".— „To leć o pozwolenie" — „Takie pozwolenie tylko Moskwa może dać" — „Ale portret nam by rozwali". — „Niczewo". ! — „Owszem, czewo. Niemcy nas poharatali, Stalin ma nas wykończyć ?" Rada w radę zatelefonowali z doktorem do Moskwy. Na szczęście nalot ustał zanim pozwolenie dostali.

— Tak . . . I see what you mean . . . U nas w Polsce przed wojną także portreciki wisiały. I także biada temu, kto na świętość narodową się targnął. Np. moja siostra nauczycielka miała zamiłowanie do muzyków. Aż tu pan inspektor : „Co ? Paderewski ? a Piłsudski gdzie ?" Panienka raz dwa z ładnej warszawskiej szkółki pojechała do Pikutkowa.

— Ta pewni, że portretów ruszać nie wolno! Ta gdzieby pluskwy siedziały? Poruszysz portret — poruszysz inspektora. Pluskwy najlepsza obrona świętości!

— Obrona, bo obrona, tylko że na pluskwę, choroba, to ty wszędzie, szara maso, nawet na ulicy natrafisz i możesz toto rozgnieść. Za to bogi same, to tak siedzą pozamykane w tych swoich kremlach, jak brylanty w safesie. I paciorek do bozi, to ci, towarzyszu, wolno tylko przed obrazkiem odmawiać!

— Nie jest tak źle! Czasem się panowie-bogi przecież objawiają ludowi. Na ołtarzu. Takie nabożeństwo różnie się nazywa . . . W Polsce się nazywa defilada. U Szkopów to jest Parteitag. U Ruskich — Krasnaja Płoszczad. Ale ołtarz wszędzie ten sam: trybuna. I komunia wszędzie ta sama: wojna.

— Oj, Feluś, Feluś, frajerze! Tobie się zdaje, że tylko kamerady ołtarzyk ustawią i już Adolfek we własnej swojej osobie przypruje z Berchtesgaden. Diabła tam! Strohmanów mają. W klatkach ich trzymają, ananasami ich pasą. Żeby tylko wąsik był taki sam i żeby ta — w razie czego — bomba, czy kula, ciało ludzkie, nie boskie obraziła.

— Wiadomo, co drugi facet konfident, co dziesiąty dwójkarz.

— Oj, mamo! Ty konfident, czy ja?

— Idź, głupi! W ogólności się mówi. Ja wam mówię, nic dobrego nie może być na takim świecie. Moja siostra była w obowiązku. To te jej klempy zawsze wszystko miały pod kluczem. Jak — powiada — przyszła sprzątać do pokoju — zupełnie pustynia. Każda jedna sztuka schowana, czego się tkniesz, to zamknięte. To w niej się tak wątroba zapiekła, bo dziewuszyna była uczciwa, że w miesiąc już pełen kufer miała kradzionego. I nie przymkli jej, tylko że sama prędko za służbę dziękowała. Aż natrafiła na jedną. Idzie sprzątać, . . . łyżeczek do wyboru. Kredens, komoda — wszystkie szuflady otwarte. Myśli: chcesz mnie złapać, małpo, nic z tego. Niczego nie tkła. A później to się tak wzwyczaiła, że nie brała z życzliwości, bo ta osoba była porządna i wcale nie chciała tej mojej siostry złapać. Więc to ja właśnie mówię, że te Belwedery, te portrety, te dwójkarze, te klucze — to na nic! Jedni swoje łyżeczki zamykają, drudzy dokumenta urzędowe. A cóż to ja złodziej dobra publicznego jestem? Jakiem prawem te bogi złodziei z porządnych ludzi robią? Jakiem prawem? Jakiem?

— Ba! prawem . . . Ty, bracie, o prawie mówisz. Prawo jest rzecz grymaśna. Jakeś ty np. szedł na wojnę ginąć, to się ciebie nikt o prawo nie pytał; ale jak po wojnie zechcesz po ludzku żyć, to się o prawo spytają.

— I see what you mean. Ale kto są, psia kość, ci „oni“, którzy o prawo pytają? Ja tego jestem ciekaw!

— Jakto kto? No przecie portrety! Panowie-bogi. Brelanty.

Śmiech poszedł po sieni. Zabrzękli blaszani rycerze. Ktoś westchnął.

— Oj, panowie . . . To narazie jest śmieszne. My tu między niebem a ziemią zawieszeni. Na „miejscu postoju“, na wyspie. Ale jeżeli ja wrócę do Polski obudzę się i zobaczę, że nade mną wisi nowy portret i że on przy pierwszym wstrząsie ma mi się zwalić na łeb . . . Oj, panowie! Wolejbym ja tu zaraz na miejscu ten wredny łeb postradał.

DUCHY

Wieczorem prześliczne światło napełniło dolinę, gdzie stoi zamek Białej Damy. Prześliczne światło księżyca niepodległe wojennym black out'om, tak samo srebrne, jedwabiste, poufne, jak przed tą wojną i przed wszystkimi wojnami. Noc nabrała swego boskiego sensu: życie usnęło. To znaczy mózgi, nerwy, mięśnie przestały szturmować świat, ciepło skupiło się w sercach, oddech zastąpił okrzyki, ziemie i wody nakryła tajemnica. Nawet ci, których ból dzienny nie opuścił, zapadli w odrętwienie, a ci, którzy mieli umrzeć przed ranem, zgodzili się ze śmiercią.

Na trawniku, oparci plecami o zamczyste mury, stali dwaj ozdrowieńcy. Dwie białe plamy — dwie zbandażowane głowy i dwie iskry na ich tle — papierosy.

— Jak cię siostra zobaczy, będzie sądny dzień.

— Nie będzie. Siostra musi też nieraz uciec z sali. W nocy Tolek niemożliwie śmierdzi, ropa mu się zastała pod gipsem.

— To jest dziwna rzecz, jak w nocy smród człowieka razi.

— U nas przed chałupą było takie drobne ziele . . . Maciejka. W nocy bardzo ładnie pachło.

— Tak . . . W nocy jeżeli spać nie można, to człowiek by chciał chociaż o świecie zapomnąć.

— Tylko że albo smród, albo duchy nie dają.

— Duchy? Ja się duchów nie boję. One się ludzi boją, dlatego w nocy chodzą.

— Może to być. Ale duch, żeby nie wiem jak się bojał, jeżeli czuwającego natrafi, to go się zara spyta: człowieku, coś ty z życiem zrobił?

Otóż światło księżyca było piękne i świat, o którym żołnierze chcieli zapomnieć, był niezmiernie piękny. Niepiękna była tylko wojna. Jak żywa, stanęła mi w pamięci wielka czarna „patronne“ w restauracyjce na rue Daguerre, z fartuchem przy twarzy patrząca ze zgrozą na sierżanta, który kroi befsztyk nazajutrz po flandryjskiej rzeźni. Teraz w ciszy górskiej słyszałam znowu krzyk dawno przebrzmiały: „Nie mogę, messieurs

dames, nie mogę, mdli mnie!" Słyszałam ten krzyk między srebrnymi mgłami i nie wiedziałam kto krzyczy: patronka z rue Daguerre, czy Biała Dama z wieży — obie były widmami — uciekłam, bałam się, że czuwających spytają: „Człowieku, coś ty z życiem zrobił?"

BO I TU I TAM ZA MORZEM I WSZĘDZIE

W polskiej messie oficerskiej odbył się obiad dla cywilnych gości. Barszcz, pieczeń, kapusta kiszona, maliny ze śmietaną, wódeczność i toasty. Na stole stały róże czerwone i białe. Gdy powstano, panowie wyjmowali z wazonów róże czerwone i wręczali je damom ze spojrzeniem, które wróży ślub i czworo dzieci. Po czym całowali ręce dam, chyląc głowy jak przed ołtarzami. Z sali wyszliśmy polonezowym krokiem, przejedzeni, rzewni . . . Ostrogi brzęczały.

To wszystko nie było ani złe, ani dobre. Podniosłe, ani śmieszne. Przyjemne, ani przykre. Było swoje. Wiadome, nierozpoznawalne, jak rodzinny dom. Ale zaraz za progiem pokazało się, że ów polski dom rodzinny jest domem — strzygą, chatą na kurzej łapie, przywianą przez wicher magiczny do kraju za siódmą górą i za siódmą rzeką.

Miasteczko za progiem nie było żadną Białą ani Bielskiem. Miało nazwę celtycką. Gęsi, prosięta nie porywały się ze środka jezdni na głos samochodu, melancholijny rebe nie wyglądał na ulicę zza czerwonej firanki, Pan Jezus frasobliwy nie siedział na rozstaju.

W rynku całkowicie pozbawionym błota stał town hall, nie magistrat. Hotel nazywał się Royal zamiast Bristol czy Metropol. Na rogu, zamiast kwasu i bajgełów, sprzedawano fish and chips. Grzecznie powtarzając „sorry" szliśmy przez High Street krokiem coraz mniej polonezowym, aż wsiedliśmy w auto i pojechali w stronę morza. Pułkownik zatrzymał auto na szczycie wzgórza przed urwiskiem, skąd otwierał się widok na doliny, na plaże piaszczyste wygięte w półkole i na sfalowany łagodnie wodny przestwór. Wszędzie w stromych ścianach wzgórz widniały otwory, a w tych otworach uszy. Ruch królików po okolicy był tak różnostronny, że każda płaszczyzna zdawała się pokryta zygzakami. Te królicze szały kładły kres złudzeniu: nie, nie byliśmy w Polsce.

Pułkownik westchnął. Mgiełka przesłoniła wypukłe niebieskie oczy. Zrobił z dłoni daszek nad czołem, drugą ręką wskazał kierunek przez morze.

— Tam — rzekł — Stamtąd przyszliśmy, tam, da Bóg, wrócimy.

Wszyscy naokoło zamilkli, wpatrzeni w horyzont, zbici w w gromadę, niebaczni na frenezję królików. Chwila darzyła się „osobliwa", niektórzy zaczęli chrząkać i nabierać tchu w piersi, jak przed zaintonowaniem hymnu. Kobiety mrugały.

Więc „tam“. . . Tam, za tą obcą zbałwanioną przestrzenią, „za morzem“, dokąd ledwie „myśl biedna“ doleci, było to miejsce, na które magiczny wicher miał odstawić spowrotem, poprzez siedem gór i siedem rzek, chatę na kurzej łapie, dom — czarę, pełną barszczu, brzęku ostróg, pełną Chochołowego grania.

NARWANY GOŚĆ

Do Angus trzeba mi było jechać ciężarówką wojskową. Zanim ruszyliśmy, przyplątał się żołnierz z orzełkiem. Szarmancko zaszurał butami, ucałował w rękę.

— No, jak, proszę pani ? Jak z tą wojną ? — przystąpił odrazu do rzeczy, ale nie czekał na odpowiedź : spieszył się do spraw ważniejszych. — Pani pewnie z Londynu ? tam to lepsi goście się zebrali, co ? Ja nie do pani, bo cóż kobita-wiadomo. Ale te faceci, co papierki piszą, co ich nic nie obchodzi, nie ? Ich by tak na przećwiczenie, trochę ich przeganiać, co ? Żeby im się kałduny utrzęsły. Bo za bardzo goście u tego żłobu tyją, nie ?

— Czy ja wiem ? Zawsze tak jest, że jedni tyją, drudzy chudną.

Oczy mu się zaświeciy.

— Właśnie ! Zawsze choroba niesprawiedliwość na świecie. Ale dawniej to się miało stosunki, forsę się miało, człek mógł żyć. Ja, proszę pani, przed wojną, to w Polsce takie plecy miałem, że gdziebym nie poszedł, to wszędzie przez czekania. Tu się karteczkie podetkło, tu karteczkie — i po fakcie. I człek takżesamo inaczej ubrany był . . . Cóż ! Wiliję się miało na Kamiennej Górze, maszynkę ostatni model . . . Chamów nade mną żadnych do rozkazywania nie było.

Splunął.

— Ale zaprzepaścili nam Polskę, cholera, przepili naszą krwawicę !

Nie mogłam się połapać w orientacji politycznej tego żołnierza.

— No dobrze, zaprzepaścili, a mówi pan, że z nimi lepiej było, że pan miał między nimi stosunki.

Zerknął spodełba.

— Się wi, że miałem. Wujka miałem w samem cywilnem gabinecie. A co ? Za frajera miałem odstawiać ? Jak ze złem złością nie można, to się robi na lewo.

— Ale pan mówi, że oni Polskę przepili ! To znaczy, że wujek pański przepił. I pan też, jeżeli pan za jego plecami robił na lewo.

Rzucił papierosa na ziemię.

— Mój wujek ? Chce pani wiedzieć prawdę ? Dobrze ! Ja powiem prawdę ! Mój wujek był w cywilnym gabinecie, ale tylko że o to się rozchodzi *czem* on tam był. Więc on był

woźnem! Starem woźnem, kropli alkoholu do gęby nie biorącem! Ojcem ośmiorga dzieci, a wujenka natenczas szósty rok w betach na paraliż leżała. Dwoje kuzyni do gimnazjum chodzili, jeden prawo studiował, to u praczki kątem za korepetycje mieszkał. Ale wujek się drugiego pokoju za dwadzieścia lat służby doprosić jeszcze nie mógł. Pan derektor mu na koniec powiedział, żeby namolnem nie był, bo i tak posadę otrzymał przez protekcję spowodu legjonista. A tak! Stary na warjata kiedyś do tych ichnich legjonów poleciał, bez to od fabryki się odbił i nogę stracił i dopieroż tem woźnem z wielkiej łaski został. To on właśnie te Polske przepił, on!

Patrzył na mnie jak rozjuszony żbik. Ale kiedy otworzyłam usta, żeby się bronić, wzruszył ramionami.

— Szkoda każde słowo. Ja przepiłem! Nie powiem, i owszem, nieraz się wpadło na jednego. A cóż to? Stać mnie było na „Podróż w Nieznane“? Może na Halkie miałem chodzić? Owszem, maszynę tak jest, miałem. Taksówkie. To mnie raty zżerały. A jeśli się rozchodzi o wiliję, to właśnie że raz klijenta z Warszawy aż do samej Gdyni zawiozłem. Bogaty gość był! Jeszcze mi „Riwierę“ na jednę noc postawił. To sobie tam wtenczas obejrzałem to polskie morze. I na tę Górę Kamienną wyszedłem . . .

Rozdeptał papierosa, zniżył głos.

— Upatrzyłem sobie jedno takie miejsce . . .— roześmiał sie — Nawet . . . człowiek do starości jest głupi . . . Dziesięć złociszów pod drzewem takiem wielkiem sobie zakopałem, że niby za dziesięć lat, jak dobrze pójdzie, to sobie tam chałupę wystawię.

— No, widzi pan. No to po cóż pan gada, że na lewo?

— Po co? — Krzyknął — a poto, że jak jabym się wziął tylko na prawo chodzić, to by mnie prędzej włosy tu wyrosły (kuł czarnym palcem jednej dłoni w drugą), niżbym ja w Polsce w dziesięć lat z szoferki chałupę pobudował nad morzem!

— Tak,— rzekłam — Tak. W Polsce była bieda. Ale i w Anglii bodaj szoferzy domów w dziesięć lat nie stawiali.

— Czy ja mówię, że stawiali? Cały ten świat był parszywy, tyle że jedne narody miały lepsze szczęście, a drugie miały gorsze — tak samo, jak ludzie.

Szofer ciężarówki się niecierpliwił, trzeba było rozmowę kończyć. Chciałam ją skończyć polubownie.

— Nie taki znów świat parszywy, jeżeli np. pana wydał.

Poruszył się, jak zraniony.

— Co? mnie?

Scisnął szczęki.

— No dobrze — powiedział wreszcie — My się już pewnie nigdy nie zobaczem. To ja się krępować nie potrzebuję. Takich ludzi, jak ja, to ja mam gdzieś! Pani mnie rozumie?

Gdzieś! I taki świat, jak był przed wojną. Czy ja tu przez tyle lądu, tyle morza, po to przyszedłem, żeby dalej żyć na starym świecie? Jakbym ja chciał na starym świecie żyć, toja bym w Polsce u Niemców niezgorzej mógł zarabiać. I u bolszewików też. Zarobić to ja wszędzie potrafie i rabiną ocyganić też potrafię. Tylko że mnie się, proszę pani, nie spodobało! Ja z Polski uciekłem dopiero na wiosnę. I nie z bidy. Ja uciekłem, bo myślałem, że tu się nowy świat szykuje. Jakiś tam uczciwy, czy co tam, *lepszy* świat.

Popatrzył na mnie bystro i złośliwie.

— Tak . . . Teraz ja już żadnego wujka fagasem przy rządzie nie mam, to sam się z pokłonem nie dopcham. Ale pani niech się tam kłania w Londynie komu trzeba. Niech im tam pani powie, że ani prawem, ani lewem oni nas już do starej bidy spowrotem nie zagonią.

Odszedł parę kroków i czym prędzej wrócił.

— Niech pani powie, że myśmy tu z Polski przyszli zginąć. Ale ci, co przyszli się ocalić, to także zginąć mogą!

Ruszyliśmy i dłuższy czas milczeli.

— Narwany gość — powiedział szofer.

STEFANJA ZAHORSKA.

PIERWSZY DZIEŃ

(*Fragment powieści—por. „Nowa Polska" zeszyt Nr 1-szy i Nr 6-ty.*)

Wyszedłszy z domu Gustaw ogarnął wzrokiem swoją ulicę. Żył z nią dotąd w niezgodzie, pełnej drobiazgowych sporów, była mu snobistyczna, pretensionalna i właściwie brzydka. Teraz rozpoznał w tej Alei Ujazdowskiej swą miłość niemal pierwszą, tak oczywistą, że zapoznaną. Trwała jeszcze od czasów, kiedy jeździły nią sławne warszawskie doróżki na gumach wożąc zbogaconych kupczyków, „aktrice z szantanów" w kapeluszach z pleureusami, rosyjskich oficerów i złotą młodzież. Ta aleja niewoli z tamtych czasów wydawała się teraz drogą do wolności, u wstępu koło placu Aleksandra stał wówczas żandarm rosyjski na koniu, jak żywy pomnik ucisku, a on młody i rewolucyjny rozpoczynał od niego swą wędrówkę, rozpłomienioną pragnieniem walki. Życiodajna nienawiść wryła się w domy, pełne secesyjnych ozdób, złoconych floresów, teraz czuł jak mu są bliskie. Nie patrzał na piękną ścianę parków po drugiej stronie ulicy, patrzył na brzydkie domy, symbole społecznego ucisku i narodowego upodlenia, jak się wtedy mówiło, odkrywał postarzały wyraz ich oczu, rysy na murach, niemodne azury balkonów. Idąc tak z głową zadartą do góry oznajmiał tym starym wrogom — przyjaciołom, że jest wojna, raz jeszcze wojna.

Autobusy i tramwaje jeździły jak zawsze, błyszczały w słońcu czerwono, ale dzwonki i syreny zdawały się krótsze i jakby przytępione. Stanął na przystanku tylko poto, by uczynić dziś to samo co uczynił wczoraj, czekało jeszcze kilku ludzi i spojrzał im w twarze. Zdawały się skupione i znieruchomiałe. Nadjechał tramwaj, ludzie wsiedli, konduktor nachylił się, by pomóc starszej kobiecie, w tym zwykłym i codziennym geście było dziś coś nowego. Kobieta spojrzała na niego poważnie, jak stroskane matki patrzą na

synów. Gustaw często jeździł tramwajami tylko dlatego, by nasycić się widokiem przygodnego zbiorowiska, by stwierdzić—o czym teoretycznie zawsze wiedział — że wystarczy skupić ludzi na kilka minut, a już powstają między nimi niechętne prądy, gotowość sporu i walki o byle co, o miejsce, o to, że ktoś kogoś dotknął ramieniem, o to, że ktoś jest inny i o to, że ktoś jest taki sam, o to, że jest wogóle ktoś drugi — potencjalny wróg. Warszawski tramwaj zdawał się Gustawowi zawsze symbolem społeczeństwa, w którym za mało jest sił skupiających, w którym wrogość i nieufość jest naturalnym stanem. Teraz patrzył uważnie w twarze ludzi, jakby chciał z nich wyczytać pierwsze zmiany w tym pierwszym wojennym dniu. Ale ludzie byli milczący, nie było zwykłych rozmów. Na placu Aleksandra zapełniło się i mężczyzni stali pośrodku. Człowiek, który wyglądał na robociarza był pierwszym, który się uśmiechnął. Wyciągając pieniądze z kieszeni, powiedział do konduktora: Do komendy jadę. Wtedy wstała jakaś młoda dziewczyna, „Niech pan siada" — rzekła. Wyszła na platformę. Nikt się nie zdziwił i jeszcze jakaś kobieta wstała. — Wszyscy jadą na miejsce swego przeznaczenia — pomyślał Gustaw i zdawało mu się, że ten wóz zapchany ludźmi jest jak kopalniana winda, wioząca coraz głębiej w dół. Lecz na rogu Jerozolimskiej Aleji coś się zmieniło. Wsiadł młody człowiek i jeszcze stojąc na schodach coś drugiemu powiedział. Słowa przebiegały od człowieka do człowieka, ludzie nachylali się ku sobie, mówili coraz głośniej, potem doleciało do ucha Gustawa zdanie krótkie, radosne: 7 niemieckich samolotów zestrzelono. — Zestrzelono — szło dalej, motorniczy się odwrócił i błysnął rozjaśnioną twarzą, dzwonek zadzwonił głośno, tramwaj przebiegł poprzeczną ulicę—zestrzelono—oznajmiono ludziom, którzy wsiedli na następnym przystanku.

Gustaw wysiadł koło Wareckiej. Na narożnym słupie rozlepione były wielkie ogłoszenia mobilizacyjne i pełno ludzi stało przed nim. Sami młodzi mężczyzni. Wczytywali się milcząco w zawiły system przynależności, ci którzy stali blisko wodzili palcem po kategorjach, jak po mapie nowego kraju. Wyjmowali karty powołania, sprawdzali, radzili sobie wzajem. Jakiś młody człowiek atletycznej budowy przepychał się ku słupowi, wymachując swoją kartą. — Czego się pan pcha? Każdemu spieszno — strofował go ktoś. —Panie— wołał młodzieniec — niech pan patrzy: kategorja A. — uderzył się zwycięsko po szerokich piersiach — i nie powołali. Dlaczego? Co ja mam teraz robić? Gdzie ja się będę pętał? — Ci którzy odnalezli się na mapie, wycofywali się uspokojeni, jak ludzie, których życie znalazło już swoją drogę. Koło atletycznego młodzieńca skupiło się kilku innych, gestykulowali niespokojnie. Kategoria A, niepowołana. Widocznie postanowili działać razem, bo poszli gromadą, pod przewodnictwem tego wysokiego.

Nad ulicą Nowego Świata słał się pas nieba jednolicie szafirowy, Gustaw szedł słoneczną stroną chodnika, wtapiał się w szereg przechodniów, mijali się wzajem, ale zdawało się, że rytm ich kroków jest wspólny. Odczuł nagle jakieś tragiczne, jakby przedśmiertne szczęście tego chodzenia po ulicy Warszawy, razem z wieloma nieznanymi ludzmi. Było to uczucie nowe, a równocześnie bardzo dawne. — Jestem przecież na Nowym Świecie — powiedział sobie i zawrócił nagle, jakby właściwy kierunek chodzenia po Nowym Świecie był odwrotny. Szedł szybko i znalazł się wkrótce na rogu ulicy Foksal.

Nr 18. Wtedy przed laty — w 1905 — był w tym miejscu „Hurtowy skład papieru" pod firmą Tomaszewski. Wystawa zasłonięta była firanką z zielonego sukna. W sklepie na podłodze stały wielkie bele papieru i skrzynie, wokół ścian były oszklone szafy. Siedząca za biurkiem panienka pytała: Pan życzy? Schodziło się potem kręconymi schodami w dół, do suteryny. Zastawiona była pakami, spiętrzonymi pod sufit. Jedną tylko maszynę można było spostrzec, to był „legalny" nóż do cięcia papieru.

Pamiętał, że kiedy był tam po raz pierwszy, rozglądał się zdumiony: gdzie jest drukarnia? — Poszukajcie towarzyszu . . . Szukał chyba z pół godziny. Opukiwał skrzynie, czepiał się szpar. Fortel był taki prosty: właśnie za ścianą ze skrzyń. Tam stała maszyna, duma partii, pietnastotysięczny nakład nielegalnego „Robotnika" wychodził z niej. Drukarnia była bez okna, bez wentylacji, towarzysze drukarze byli bladzi, przemęczeni. Przy maszynie stał towarzysz „Marcin" — Cyprjan Reszko. Najpiękniejszy człowiek. Najbliższy. Brat Anny. Dziś — wróg. Annę ujrzał wtedy po raz pierwszy — panienka sklepowa. Drobna, jasna, o delikatnych rysach. Pokazywała mu dzwonek alarmowy, który miała pod biurkiem. Jeden dzwonek oznaczał: ktoś przyszedł, możecie pracować dalej. Dwa dzwonki: sytuacja niepewna, wyjdźcie z pokoju maszynowego. Trzy dzwonki: niebezpieczni goście, przygotujcie się na ich przyjęcie. Opowiadała, ze te wielkie skrzynie pełne „bibuły" transportowane są do składu za Żelazną Bramą przez towarzysza Kaspra, tego bez nogi i towarzysza Siwka — znacie towarzysza Siwka? — Nie, nie znam. — To nasz partyjny koń. — śmiała się Ania. Kiedy ujrzał ją na Syberii, już na zesłaniu, stwierdził, że nic się nie zmieniła. Jej drobna twarzyczka była i wtedy pełna uroczystego napięcia. Ta dziewczyna dziś w tramwaju, która ustąpiła miejsca, była może trochę podobna do Ani z tamtych czasów.

Ponieważ zecernia mieściła się w owych czasach na Pięknej pod 64 — nigdy nie zapomni tych adresów — więc i teraz skierował się bezwiednie w tamtą stronę. Lecz zaledwie uszedł kilkanaście kroków, zabrzmiały syreny alarmowe. Ludzie przystanęli na ulicy i patrzyli w niebo, szukając widomego znaku niebezpieczeństwa. Nie widząc nic na szafirowym tle stali niezdecydowani. Ktoś powiedział: Trzeba wejść do bramy. Ktoś wzruszył ramionami: Po co? Na ulicy tworzyły się grupki, jak piana na wodzie i znikały. Zdawały się bezcelowe. Gruba kobieta w białym fartuchu wyszła ze sklepu spożywczego i pogroziła pięścią ku niebu. Podniosło się kilka pięści. Ktoś powiedział gniewnie: Nie będziemy przed Niemcami uciekać. Jęk syreny jeszcze chwiał się w powietrzu. Gustawowi drżała przestrzelona ręka. Wiedział, że gdyby ktoś teraz stanął na środku ulicy i krzyknął: Formować pochód! — wszyscy ci ludzie rzuciliby się ku niemu, szliby środkiem ulicy, nie wiedząc dlaczego i po co, wygrażając pięściami ku samolotom — tymczasem nadszedł policjant i perswadował spokojnie: proszę schronić się do bram. Ulica pustoszała. Zamykano okna, przymykano otwarte bramy, jakby domy skupiały się w sobie. Kobieta w białym fartuchu chwytała teraz pośpiesznie koszyki z owocami, stojące przed sklepem i wsuwała je do środka. Przystanęły tramwaje i autobusy, wysypali się z nich ludzie i znikli, czerwone wozy stały martwo na pustej ulicy, przemknęło jeszcze kilka taksówek i zrobiła się cisza. Tak miasto nieobeznane jeszcze z techniką nalotów skulało się w sobie i martwiało, czekając ciosów. Gustaw stanął pod ścianą domu, jakby zawstydzony. Wzruszył ramionami i wszedł do najbliższej bramy, przebłysła mu głupia myśl, że i Ania i towarzysze drukarze zrobiliby teraz to samo — Ania mieszka w Warszawie — starsza pani, może i Reszko zamyka teraz pośpiesznie okna.

W bramie było ciemnawo. Kobiety będą się modlić — pomyślał Gustaw — a potem znajdzie się ktoś, kto będzie brawurował. Zaczął terkotać karabin maszynowy, niewiadomo niemiecki, czy polski, z utajoną satysfakcją Gustaw zanotował, że ciemne sylwetki, które przechadzały się po sieni przystanęły, jakby chwycone nagłym skurczem. Tuż obok siebie ujrzał twarz kobiecą, zwróciła się ku niemu z szeroko otwartymi oczyma, poruszyła ustami jakby chciała coś powiedzieć, lecz nie wyrzekła słowa. W ciemnej postaci, która stała przed nim, Gustaw rozpoznał Żyda Kleinsingera, antykwariusza ze Świętokrzyskiej u którego kupował książki, dotknął jego ramienia. Kleinsinger zwrócił ku niemu twarz brodatą i bladą

i tonem dalekim od służalczej uprzejmości, z którą traktował go zwykle w swym sklepie, oznajmił teraz głośno: Moi trzej synowie są w wojsku. Potem ktoś uchylił drzwi bramy i wyjrzał. Do sieni wpadł słup słonecznego światła, zdawał się przedziurawiony terkotem karabinu.

Gustaw czuł się nieswojo i po chwili odczuł właściwą przyczynę. Pomyślał, że to jest może po raz pierwszy w życiu, że sień jakiegoś domu jest miejscem postoju, nieruchomego czekania na to co będzie. Sienie — w owym czasie — to było miejsce walki, do sieni wpadało się, gdy szpicle chodzili po piętach i trzeba było zmylić ślady. Trzeba było tylko wiedzieć, jaka sień się do tego nadaje. Tę tu znał dobrze: zakręca się na prawo, tam jest przejście wiodące na drugie podwórze, a potem wyjście na ulicę Chmielną. To jest właśnie sień doskonała. Do sieni wpadało się, kiedy była obława na ulicy. Biegło się schodami w górę, ewentualnie wpadało się do czyjegoś mieszkania. Potem schodziło się na dół spokojnie, jak lokator, jak gość lokatora. Nieraz trzeba było zostawić gdzieś ważną paczkę. Brama to było miejsce kluczenia, z bramy ludzie szli do więzienia, na Sybir, na stryczek — albo do dalszej roboty. Nieraz brama była miejscem spotkania wręcz. W bramie Reszko schwycił za gardło żandarma — z Reszką to była dziwna sprawa, zawsze się spotykali w chwilach niebezpieczeństwa. Tam na Pięknej przeprowadził go raz przez bramę, niemal otarli się rękawami o szpicli. Lecz prototypem wszystkich bram była brama na placu Grzybowskim, tego jednego numeru nie znał, to była brama nie nadająca się do dalszego użytku, nieprzechodnia. W tej bramie stał ze Staruchem i z kilku robociarzami ze „swojej" dzielnicy, z Woli. To był listopad. Rok 1904. Naprzeciwko, u stóp schodów kościoła, jeszcze trwała walka. Bili się metalowcy od Lilpoppa, cała „Praga", kolejarze. Przez szparę w drzwiach widać było czerwony sztandar. Ania stała obok. Na placu leżały trupy. Strzelanina, niemal jak teraz.

— Niech pan zamknie bramę — mówi ktoś stojący blisko drzwi — przecież siecze po ulicy. — Zamknąć! Zamknąć! — odzywają się trwożne głosy. Gustaw teraz dopiero zdał sobie sprawę, że ten pierwszy karabin maszynowy strzelał z nieruchomej pozycji, a zatem był polski, teraz sieką dwa przelatujące, zatem niemieckie. Wezbrała w nim nagle niepohamowana złość: w biały dzień, w pierwszy dzień, lecą sobie bezkarnie, zniżają się nad ulicę tak bardo, że kule odbijają się o bruk i o mury. Uświadomił sobie równocześnie, że nie słychać było wybuchów, zatem nawet nie bombowce lecą, lecz po prostu myśliwce, zapewnie rekonesansowe i strzelają od tak tylko dla zabawy, urządzają sobie poprostu polowanie. Działa przeciwlotnicze walą na peryfer ach, tam zaś pewno też nasze myśliwce — ile ich jest? Teraz stało się jasne, że ta cała romantyka rewolucyjna, ta bania ze wspomnieniami, która się nieoczekiwanie rozbiła, to jest właściwie ucieczka od teraźniejszości, to jest wał ochronny od myśli, które kołaczą się i które starannie usuwa, by nie zalały go rozpaczliwym zalewem. Ostatecznie tyle lat walczyli wtedy z całą potęgą caratu. — W jakich formacjach służą pańscy synowie? — zapytał nagle Kleinsingera. — Jeden jest w artyler.i, bo on jest inżynier, dwa inne w piechocie . . . — mówił głośno, jakby chciał żeby wszyscy brali udział w jego dumie. Młody człowiek, który stał, odwrócił się i zaczął, jakby się usprawiedliwiał: — Ja proszę pana już drugi raz idę do komendy na Długą, bo tam podobno ochotników przyjmują. O dziewiątej taki był ogon, że nie mogłem się doczekać, więc pobiegłem do biura, a teraz masz, czekaj tu człowieku. — Jeszcze się pan dostanie — uspakajał Kleinsinger dobrotliwie. Przecież to pierwszy dzień! — Spojrzał porozumiewawczo na Gustawa. Ale młody człowiek był niepocieszony: — Cholera ich wie, u nas zawsze nieporządki. Będą człowieka ciągnąć. A ja już jestem bez zajęcia. Powiedziałem w biurze, że szlus, koniec, więcej nie przyjdę. Co ja będą się tłukł jak ten cywil? Jak wojna, to trzeba iść do wojska i już.

— Słusznie — powiedział Gustaw i zrobiło mu się nagle lekko. Bardzo mu się ten młody jegomość podobał. Toby było bardzo śmieszne, gdyby to był na przykład syn Starucha. Bo Staruch, który był przedwodniczącym koła na fabryce ,,Wola" mawiał zawsze : Bo rozumiecie towarzysze, idea przede wszystkim. A jego syn nie wypowiada żadnych idei. Mówi po prostu : Jak wojna, to trzeba iść do wojska i już. To nie jest brak idei. Ten chłopak będzie się dobrze bił — Gustaw oceniał go wojskowym okiem : był krępy, mocno zbudowany, miał mordę głupią i dobrotliwe niebieskie oczy, dobry materjał na żołnierza — dla niego ,,idea" ma już swoje formy ustalone, wojsko. Tak powinno być. Tak powinno być.

Czuło się zresztą już koniec nalotu. Młodzieniec otworzył bramę i wyszedł. Za nim wysunęli się inni. Zabrzmiała długa syrena, jakby krzyczała pełną piersią : kooniec. Zdawało się, że ulica odetchnęła. Ludzie wysypali się z bram, otwierano okna i bramy, ruszały tramwaje, jakby przewaliła się zmora, jakby nie było już wojny. W Alei Jerozolimskiej drzewa powiewały gałęziami. Był zator. Od strony Wisły ciągnęły długim sznurem oddziały wojskowe, dudniły polowe armaty. Ludzie przystawali na chodnikach, wlepiali oczy w żołnierzy. Nagle ktoś krzyknął : Niech żyją ! I cała ulica huczy : Niech żyją ! Szalona radość ogarnia ludzi. Oddziały płyną od strony Wisły, oliwkowe jak ona, jakby wyniosła je nabrzmiała pierś rzeki, jakby zebrała je z kraju, który przepływa i który ogarnia ramionami swych dopływów. Żołnierze krokami skandują twardy rytm. Ocienione hełmami, zaokrąglone od kuli, wszystkie głowy wydają się jednakowe, jakby wielka maszyna wymodelowała je do jednego formatu, dla jednego celu. — Niech żyje zwycięstwo ! — wołają żołnierze.

— Tak powinno być. Wojsko, wojsko.

Czuł, że powinien natychmiast pójść do Komendy i załatwić swoją sprawę. Ale skierował się w odwrotnym kierunku.

Szedł Alejami, potem zakręcił w Bracką, przystanął na rogu Złotej. Widać było dom pod numerem 10. W tym domu nocował raz w mieszkaniu krawca, zdaje się Tołłoczko się nazywał. Drugie piętro, numer mieszkania 52. Nocował ze swą przyjaciółką, z którą od tygodnia nie mógł się rozstać. Na każdą noc trzeba ją było przenosić do innego mieszkania, blaszane pudełko. Tołłoczko na tę noc wyniósł się z rodziną z mieszkania, niby wyjechał na wieś. Przedtem powiedział : Uważajcie towarzyszu, bo już się trochę kręcą przed domem. Idiota. Nie powiedział wcześniej. Bomby miały prawo ,,pierwszej nocy" przebywały w mieszkaniach bezwzględnie czystych. Ale już było za pózno, by szukać innego noclegu, może się uda. Tymczasem przyszli. Miał tylko tyle czasu, by wysunąć na środek pokoju wielki fotel i umieścić pod nim walizkę. Otworzył drzwi jak człowiek zaspany — o co chodzi ? rewizja ? Proszę bardzo, ale to chyba omyłka, dziś przyjechałem do Warszawy, kuzynka wychodzi za mąż, jutro ślub, pełno gości, krawiec zaofiarował nocleg, można przecież raz i u krawca nocować, czy nie ? Gadał bez przerwy — był w Empirze, zabawił się trochę, trzeba przeciez użyć Warszawy, proszę niech pan spocznie panie rotmistrzu . . . i tu właśnie cała sztuka : zaofiarować ten fotel żandarmowi, nie natarczywie, ot po przyjacielsku, niedbale, jak ktoś z dobrego domu, z lekka zagazowany . . . Usiadł. Przeszukali wszystko, nawet materace dziurawili, krzątali się, tylko naczalstwo siedziało godnie, nieruchomo. I udało się. Bomba spełniła swoje zadanie, zaledwie parę dni później. Tu niedaleko. Na rogu Swiętokrzyskiej i Marszałkowskiej. Szulman rzucił. Na Konstantynowa. O kilkadziesiąt kroków stąd była zresztą druga bomba. Na rogu Marszałkowskiej i ulicy Widok. Na patrol kozacki.

Wracał Bracką z dziwacznym uczuciem, że czegoś zapomniał. Przypomniał sobie, kiedy mijał dom pod numerem 18. Naprzeciwko było wówczas jakieś tajne biuro Ochrany. Właśnie dlatego dom pod 18

nadawał się na partyjne zebrania. Wielka kamienica o kilkuset lokatorach, szpicle stali po drugiej stronie ulicy, patrzyli na siedem wylotów, ale oczywiście nie na ten dom. Nielegalnicy wchodzili z miną obywateli ziemskich. Na drugim piętrze okna były otwarte, jasno oświetlone, niby wielkie przyjęcie, w pokoju od frontu nakryty stół, kilka osób przy kolacji. Reszta delegatów siedziała w ciemnym pokoju obok — nikomu wtedy przez myśl nie przeszło, że cały ten kawał pachnie katorgą. Osobiście nie lubił zresztą konferencyj, nie lubił ortodoksji marxistowskiej. Nie mógł znieść „determinizmu", „konieczności dziejowych" . . . Ale ilekroć myślał o Bojówce z tego okresu robiło mu się jasno na duszy. Raz tylko jeden opadły go jakieś wątpliwości. To było dwa lata temu, owej paskudnej nocy. Przebrzmiałe sprawy.

Środkiem ulicy szedł oddział ludzi z łopatami. Wyrostki, niemal dzieci, starzy. Usiłowali maszerować żołnierskim krokiem, szli nierówno, śmiesznie, zadzierali tylko głowy do góry, wymachiwali ramionami, oparłszy łopaty na barku. Idą kopać rowy. Niewiadomo kto to hasło rzucił, było dziś w rannej gazecie, radio też podawało. „Wszycy do kopania rowów". Dobre hasło. Absolutnie bezcelowe i dające upust ogólnemu pragnieniu robienia czegoś. Niby schrony przed nalotami — niech szlak trafi. Szedł jeden oddział za drugim, nawet Żydzi w chałatach, niemal podskakiwali, żeby dorównać młodym. Szkoda, że nie śpiewają żołnierskich pieśni.

Na rogu Jerozolimskiej Alei i Marszałkowskiej zwrócił głowę na prawo i znowu podsunęło się wspomnienie. Tam dalej, naprzeciwko przejazdu nad dworcem towarowym. Dziś są tam nowe wielkie domy, wówczas były tylko parkany. Pod tymi parkanami leżało sporo trupów po tej demonstracji majowej w 1905. Pamiętał jak wtedy przesadził ten parkan jednym susem. Inni robili to samo. Do szpitala. Bardzo ich dobrze tam przyjęto, zaraz chałaty szpitalne dano, karty chorobowe wystawiono.

Warszawa dzisiejsza w porównaniu z tamtą dawną wydawała się jakaś zmartwiała. Trudno było wyczytać cokolwiek — chwilami zdawało się, że nic się w mieście nie zmieniło. Tylko jakaś powaga i troska leżała na twarzach ludzi. Wszedł do sklepu, by kupić czarny papier na zasłony do okien. Tę noc spędzi zapewne jeszcze w domu. Kozłowska wybiegła za nim i powtarzała wielokrotnie ; Niech pan minister nie zapomni kupić. W sklepie pełno było ludzi. Dwie panienki nachylały się nad wielką żałobną rolką czarnego papieru. Były blade, widocznie zapomniały się uróżować. Odmierzały starannie i dawały ludziom rady i wskazówki. Popychadełka — dziś zdawały się na ważnym posterunku. — Najlepiej przybić do deseczki i zwinąć — pokazywała jedna. — Zapasy w spiżarni muszą być owinięte celofanem—wyjaśniała druga. Były przejęte ważnością swego zadania dowódcy na froncie papieru, celofanu i kleju. — Przed zachodem słońca proszę wypróbować, czy niema szpar . . . — panienka patrzała mu w oczy z jakimś odcieniem dumy i mówiła o tym ; jak daleko widać światło przenikające z za szpary i jak lotnicy niemieccy mogą się w ten sposób orjentować.

Po drugiej stronie Marszałkowskiej był długi ogon czekających. Same kobiety. Na bramie domu, do której prowadził ogon widniał pisany niebieskim ołówkiem afisz : Biuro werbunkowe wojennego pogotowia kobiet. Stały starsze paniusie i panie, dziewczyny wyglądające na służące, na stenotypistki, na studentki. Stały spokojnie, poważnie, małomówne, tylko z tym jakimś wyrazem dumy i determinacji na twarzach. Zagadnął z głupia frant jakąś przysadzistą dziewczynę i spojrzała na niego zdumionym wzrokiem : Jak to, po co stoimy ? Żeby dostać przydział wojenny ! Poruszyły się wszystkie i patrzały na niego jak na intruza. Dopiero jakaś starsza kobieta powiedziała dobrotliwie : — Ja się na front nie nadaję, ale do kuchni to owszem. Mogę gotować dla żołnierzy, albo w szpitalu

albo gdzie każą . . . — ja na pielęgniarkę do szpitala — powiedziała inna. Ale ta mała przysadzista rzuciła dumnie : ja chcę iść na front. Ja jestem mocna. Będą bataliony kobiece.

Mijając Wspólną rzucił jeszcze okiem na lewo : tu niedaleko, na rogu Wspólnej i Kruczej. Doskonale pamięta. To był piątek, zima 22 lutego 1907. Napad na urząd pocztowy. Prowadził „Stanisław", jakieś 6,000 rubli odwoziła Ania do konspiracyjnego mieszkania. I zaledwie 300 lub 500 kroków dalej, na Mokotowskiej pod 23. Na dachu szarej, zwykłej warszawskiej kamienicy, gdzie od frontu mieszkają poważne rodziny, awokaci, lekarze, kupcy, fabrykanci, w oficynach mieści się małomieszczaństwo, w bramie czuwa stróż, anioł — stróż policji — na dachu tej wysokiej kamienicy podniebne bohaterstwo Montwiłł — Mireckiego. Co myślą i czują ludzie, którzy dziś mieszkają pod tym samym dachem ? Gustaw wzruszył ramionami : na pewno nie o tym myślą. Po prostu dlatego, że nic nie wiedzą. Kto dziś w Warszawie pamięta tamte sprawy ? Wsiąkły w bruk, w kamienice, w dachy, na których wtedy walczyli Mireccy. Koniec końcem obszedł tylko kawałek jednej dzielnicy. Tak mógłby iść ulicami wzdłuż i wszerz miasta. Tam dalej na peryferiach jeszcze więcej tych zapomnianych „nagrobków". Chwyciła go nagle szalona ochota by pojechać dziś właśnie na Wolę, do „swojej" dzielnicy. Tam na ulicy Bema w tkalni rozpoczynał swą pracę. Pamiętał jak dziś podwórze fabryczne, wąskie przejście za kotłownią. Czy jeszcze żyje ten rudy szwajcar, sukinsyn, policyjny pies ? Z tej właśnie tkalni wyszła jego najlepsza bojowa szóstka. Oczywiście nie pojedzie na Wolę. Nonsensowy pomysł. Niema już tamtych ludzi. Gdyby byli, wyrzuciliby go. Minister. Faszysta. Zdrajca. Tylko rudy szwajcar przyjąłby go godnie. Dopiero dziś po raz pierwszy odczuł dziwaczność tego swojego przeskoku na stronę rządzących. Nie, nie po raz pierwszy. Wówczas, tamtej nocy.

Teraz dopiero połączył sobie widziane dziś obrazy w jakąś jedną całość. Przecież to jasne : mianownikiem wszystkich dążeń jest dziś wojsko. „Jak wojna to trzeba iść do wojska" — to wszystko. Pragnienie obrony, pragnienie zwycięstwa — to wojsko. Zdawało się, że w tym pierwszym wojennym dniu skupiła się cała logika dawnych wydarzeń. Pamiętny rozłam w 1906 to już była w zalążku idea wojska. Przegrana rewolucyjna uwypukliła jeszcze wyraźniej tę myśl : trzeba wytworzyć narzędzie walki — wojsko. I to była jedyna droga. Od Bojówki, do Związku Walki czynnej, do Strzelca, do Legionów, do wojska. Myślał o tym idąc szybko i rozważając jednocześnie, że musi wrócić do domu, bo przecież idąc by załatwić swe sprawy wojskowe nie wziął ze sobą swych papierów. Musi po nie wrócić. Wojsko to jedyna i oczywista droga dla niego osobiście. Wyzbyć się całego balastu myśli. Być w szeregach. Być członem na drodze rozkazów idących od góry, na drodze wykonań. To jest jak gdyby kwintesencja służby wojskowej. Chyba nic innego. Tylko . . . tylko dlaczego nazwali go faszystą ? Dlaczego pisali o nim, że zdradził ? Dziś wydawało mu się to mniej zrozumiałe, aniżeli dwa lata temu. Ludzie są głupi, nie rozumieją logiki rozwoju. Gdzieś u spodu świadomości kołata się myśl, że omyłką było nie to, co robił przez cały czas swego udziału w rządzeniu państwem, tylko właśnie owo załamanie, właśnie owa noc. Zdawało mu się, że odżywa po dwuletnim letargu. Szedł krokiem mocnym, sprężystym. Jak pułkownik. Jeśli wojsko jest sprawą najważniejszą, niemal jedyną, to wszystko inne co się mieściło w jego koncepcji państwa i rządzenia jest już tylko konsekwencją. Już niedaleko swego domu przystanął nagle na środku chodnika : — właściwie dlaczego ja do siebie strzelałem ?

Kozłowska wybiegła do przedpokoju na jego spotkanie — jak to dobrze, że pan minister wrócił. Bo ja właśnie . . .

— Co właśnie Kozłowska? — zapytał wesoło. Spojrzała na niego zdziwiona.

— Co, co się stało?

— Nic się nie stało. Wojna jest. Niech mi Kozłowska przyniesie tę małą wojskową walizeczkę.

— Tę małą? Bo ja właśnie pakuję. Bo ja już porozumiałam się telfonicznie z panią generałową. Będzie przyczepka do samochodu i możemy zabrać dwa duże kufry i dwie walizy . . . pan generał sam nas odwiezie . . . możliwe nawet, że będzie samochód ciężarowy, to byśmy mogli dywany też załadować, pani generałowa radziła, żeby wszystko zapakować co ma wartość, pani generałowa nawet obrazy zabiera. Nie wiadomo przecież co może być.

— No . . . niewiadomo, oczywiście . . . a kto będzie ciężarówkę prowadził? Czy też pan generał?

— Nie, skądżeż. Że też pan minister o takie rzeczy pyta, dość jest szoferów.

Zostawił zdumioną Kozłowską na środku przedpokoju, zamiast wejść na lewo do gabinetu, wszedł na prawo do swojej ongiś sypialni. Niewiadomo dlaczego. Może dlatego, że tam mundur zostawił.

Mundur leżał na łóżku. Usiadł obok.

— Widziś Ziuku, nowego raportu dla ciebie nie mam. Tak tylko chodziłem po mieście, żeby wywąchać. Sytuacja zresztą niezmieniona. Ale chciałem ci powiedzieć . . . nasz żołnierz dobry, o tym wiesz. Ale . . . kierownictwo. No i armia może po prostu nie wytrzymać naporu. To wówczas co? . . . powiedz mi, kto Polskę podtrzyma? Kto wytrwa?

FERDYNAND ZWEIG.

PRZEOBRAŻENIA GOSPODARCZE W CZASIE WOJNY

To co uderza nas przede wszystkim, gdy śledzimy publicystkę gospodarczą w krajach anglo-saskich, to dominująca przewaga planów i projektów nad analizą faktów i procesów. Wszyscy snują projekty i plany, natomiast mało kto zastanawia się nad zasadniczymi przeobrażeniami struktury społeczno — gospodarczej, które nastąpiły już w czasie wojny. Łatwo tę przewagę planów nad analizą wytłumaczyć rewolucyjnością epoki, w której żyjemy. W takim okresie wyobraźnia, odwaga myśli i wizja mają wyjątkowe szanse, bo wszystko jest płynne i plastyczne, a z tej plastycznej masy ulepić można różne bryły.

Jednakże brak rzetelnej analizy faktów może okazać się fatalną przeszkodą w realizacji naszych p'anów. Choćbyśmy nie wiem jak woluntarystyczny obrali pogląd na świat i życie, to jednak plany nasze muszą nawiązać bezpośrednio do zmian, które zachodzą i które będą poważnym czynnikiem odchyleń, zaburzeń i przekształceń w realizacji naszych projektów.

Zazwyczaj zajmuje się dość lekkomyślnie stanowisko w stosunku do przemian wojennych. Określa się je, jako stadium „nienormalne", czysto przejściowe, które zniknie bez śladu przy przejściu do czasów pokojowych.

Stanowisko to jest nieuzasadnione, gdyż i wojna poprzednia, jakkolwiek nie totalna i nie światowa, mimo jej nazwy, przyniosła przeobrażenia trwałe, których nie dało się odrobić i które fatalnie zaciążyły na całym okresie 20-to lecia. Przeobrażenia gospodarcze okresu 1919 — 1939 mają swe źródła w wojnie 1914 — 1918 i są dalszym ich ciągiem. Dotyczy to w równym stopniu przeobrażeń społeczno — gospodarczych, jak i polityczno — gospodarczych, techniczno—gospodarczych i psychologiczno —

gospodarczych, bo wszystkie te działy pozostają ze sobą w ścisłym związku. Rozważania dalsze poświęcone będą szkicowemu ujęciu przemian dokonywających się w czasie wojny, przyczem zamiarem mym będzie raczej wskazanie problematyki łączącej się z tymi przemianami, niż przedstawienie jakichś gotowych formuł.

BLOKI GOSPODARCZE.

Najbardziej zasadniczą przemianą polityczno — gospodarczą jest tworzenie się wielkich bloków gospodarczych. Liczba samodzielnych obszarów gospodarczych zredukowana została bardzo wybitnie. Świat podzielił się na kilka wielkich jednostek polityczno — gospodarczych. Są nimi:

Imperium Brytyjskie, względnie wszystkie te obszary, które kontrolowane są przez Londyn. Objęło ono poważną część kolonii francuskich, kolonii Belgijskich, Duńskich, ponadto Iran, Irak, Egipt, drobną część kolonii Holenderskich (wolną od inwazji japońskiej), natomiast straciło Malaje, Burmę i inne terytoria kolonialne na Pacyfiku. Obszar ten obejmuje szacunkowo 500 — 550 milionów ludności.

Imperium Japońskie objęło ludnościowo niemal połowę Chin, Indochiny, Malaje, Burmę, Indie Holenderskie, Filipiny, Tymorkę, Nową Gwineę, a etc. Jest to Imperium liczące dziś 350 — 400 milionów ludności.

Europa, okupowana przez Hitlera, względnie znajdująca się w jego orbicie wpływów, liczy około 300 — 330 milionów ludzi. Włochy i Francja mają w niej pozycje poniekąd uprzywilejowane, ale w istocie włączone zostały w obszar gospodarki niemieckiej i poddane eksploatacji niemieckiej. Małe państwa nie włączone w ten obszar, jak Hiszpania, Portugalia, Szwajcarja i Szwecja, znajdują się w stanie faktycznej zależności gospodarczej, uzależnione są bowiem od dostaw surowców i materjałów niemieckich, oraz od niemieckiego rynku zbytu.

St. Zjednoczone z grupą państw środkowo — amerykańskich, a także z rosnącą grupą państw południowo — amerykańskich, reprezentuje blok gospodarczy ok. 200 milionów ludności. Zależność republik amerykańskich od St. Zjednoczonych rośnie w miarę trwania blokady i gromadzenia się wielkich rezerw surowcowych i żywnościowych, których państwa te nie mogą ulokować gdzieindziej.

Pozostają wreszcie dwa mniejsze bloki gospodarcze, których obszar w w czasie tej wojny uległ poważnej redukcji:

Obszar sowiecki, liczący dziś nie więcej niż 120 do 130 milionów ludności, który utracił w czasie wojny 40% powierzchni uprawnej, ok. 39% linii kolejowych, ok. 55% węgla, ok. 60% żelaza i stali i 30% przemysłu maszynowego.

Wreszcie Chiny reprezentujące dziś ok. 200 milionów ludności, ale pozbawione dostępu do morza i najludniejszych i najbardziej uprzemysłowionych obszarów.

Jak widzimy świat podzielił się w istocie na 6 wielkich obszarów polity czno — gospodarczych. Bloki te dążą do jaknajwiększej samowystarczalności w swym obrębie. Starają się one tak kształtować swój aparat wytwórczy, by poszczególne części w obrębie bloku były jak najbardziej od siebie uzależnione, ale całość niezależna od reszty świata. Stany Zjednoczone budują fabryki gumy syntetycznej, W. Brytania rozwija swe rolnictwo, Europa okupowana przez Niemcy przechodzi najbardziej rewolucyjną przemianę w dyslokacji przemysłu i rolnictwa. Im dłużej trwa wojna, tym przemiany te będą większe i tym trudniej będzie potem, przejść nad nimi do porządku dziennego. Usunięcie tych przemian w wielu wypadkach wymagać będzie ogromnego wysiłku i równej bezwzględności, z jaką są obecnie dokonywane.

Z tych 6-ciu bloków gospodarczych ściślejszą współpracę wykazują

tylko blok brytyjski i amerykański i właściwie możnaby mówić o jednym bloku *brytyjsko — amerykańskim.* Natomiast inne bloki są mniej lub więcej izolowane.

Pierwszy wielki problem, który wyłania się w tym związku, to zdanie sobie sprawy, w jakim stopniu tendencja do tworzenia wielkich bloków gospodarczych jest tendencją o charakterze trwalszym i głębszym, i w jakim stopniu ma oni tylko przejściowe, czysto wojenne znaczenie.

Oczywiście wiemy, że wszystkie t. zw. ,,Nowe Porządki" nie utrzymają się, a zwycięstwo wyłoni nowe ugrupowanie państw, i nowy układ sił polityczno-gospodarczych, zupełnie odmienny od obecnego.

Nie wszystkie bloki gospodarcze, które wymieniliśmy mają tę samą siłę kostruktywną i integracyjną. Niektóre z nich mają charakter czysto destrukcyjny, oparte są na dominacji, a swą łączność terytorjalną zawdzięczają jeno brutalnej sile. Władza organizacyjna jest tu władzą wyzysku, eksplotacji i eksterminacji, nie dając ludności nic pozytywnego. Do takich bloków należy zarówno ,,Nowy Porządek" hitlerowski jak i sfera imperializmu japońskiego (,,Co-prosperity Zone").

Integracja obszaru europejskiego w ,,Nowym Porządku" jest pozorna, w istocie bowiem obszary europejskie zostały gospodarczo rozdarte w relacjach wzajemnych pomiędzy sobą, w stopniu daleko wyższym niż poprzednio. Np. obroty pomiędzy Polską a Czechosłowacją, Polską a Węgrami, czy Rumunią, Francją, Belgią itd., są dziś daleko mniejsze niż kiedykolwiek przedtym, a to samo dotyczy innych krajów okupowanych w ich obrotach wzajemnych. Najeźdzca niemiecki rozerwał poprzednio istniejące kontakty gospodarcze pomiędzy państwami europejskimi, natomiast zacieśnił obroty wszystkich tych okupacyj wyłącznie tylko z Niemcami, starając się w ten sposób zwiększyć zależność ich od Berlina i poddać jednostronnej dominacji i eksploatacji.

Myliłby się ten, kto by przypuszczał, że po zwycięstwie wystarczy zostawić aparat kontroli europejskiej stworzony przez hitleryzm i użyć go tylko dla innych celów np. dla jakiejś Paneuropy gospodarczej. Integracja gospodarstwa europejskiego pod ,,Nowym Porządkiem" jest zgoła fałszywą legendą, przeciwnie nastąpiła dezintegracja większa niż kiedykolwiek bądź przedtym. Dość przypomnieć, na ileż to obszarów gospodarczych rozbita została Jugosławia, Grecja, a nawet Francja.

Niemniej rozpatrując problem obszarów polityczno — gospodarczych po wojnie, nie będziemy mogli przejść do porządku dziennego nad faktem, że nowoczesna technika komunikacyjna, przemysłowa i propagandowa umożliwiła powstanie wielkich obszarów gospodarczych i że tendencje rozwojowe łączeniu się obszarów w większe całości. Planowanie gospodarcze zachęca do gospodarowania na wielkich obszarach, a te same tendencje wyłania również i współczesna technika militarna.

Pytanie tylko, jak wielka jest ta skala, na jaką obszary gospodarcze mogą być z pożytkiem scalone ? Przyjęcie tezy, że im obszar jest większy, tym lepiej, — jest oczywiście zgoła pozbawione sensu. Po przekroczeniu pewnej skali, blok gospodarczy stałby się formacją zbyt ciężką, a siły odśrodkowe ujawniłyby wkrótce swe działanie.

Oczywiście na każdym obszarze geograficznym, skala na jaką z pożytkiem dany blok może operować, musi być różna. Uwzględnić tu należy tradycje kulturalne i cywilizacyjne ludności, jej chęć współpracy i zdolność współdziałania w danym bloku, warunki komunikacyjne i geograficzne, ogólną kulturę gospodarczą itd. Jednakże to co możemy z pewnością powiedzieć już teraz o skali bloków gospodarczych na terenie Europy, to to, że skala ,,Nowego Porządku" jest megalomańska i zgoła niepraktyczna.

Także kwestia zasad organizacyjnych bloku musi ulec nowemu rozwiązaniu. Blok niemiecki czy japoński są blokami rabunkowego imperjalizmu, nastawionego na czystą eksploatację. Należy odrzucić ideę bloku

imperjalistycznego, dominowanego przez wielkie mocarstwo dla jego egoistycznych celów, natomiast przyjąć zasadę ścisłej kooperacji polityczno — gospodarczej na zasadach dobrowolnej współpracy. Potrzebne są obszary dobrowolnej integracji gospodarczej, które możnaby nazwać „*regionami kooperatywnej współpracy*".

I tu przejdę do problemu najbardziej nas praktycznie obchodzącego, do problemu Europy Środkowo — wschodniej.

Panuje niemal jednozgodna opinia wśród ekspertów zagadnienia środkowo — europejskiego, że teren leżący pomiędzy Niemcami, Rosją a Włochami musi ulec, po zwycięstwie, nowej organizacji polityczno—gospodarczej. Tragedia Europy rodzi się stale ze słabości gospodarczej i politycznej tego terenu, który jest najsłabszą stroną kontynentu europejskiego. Bez wzmocnienia tego terenu nie ma mowy o stabilizacji politycznej nowej Europy.

Narody środkowo-europejskie nie chciałyby należeć do żadnego bloku gospodarczego, kierowanego czy to z Berlina czy z Moskwy, czy z Rzymu. Mają one odrębną kulturę i cywilizację gospodarczą. Wykazują one prawdziwą szachownicę pod względem etnicznym i rasowym. Cenią one nade wszystko swą wolność, a swój rozwój gospodarczy zaniedbany od wieków, chciałyby ująć we własne dłonie. Rozumieją jednak, że obszar ten leżący w trójkącie trzech mórz, Bałtyku, Morza Czarnego i Adriatyku, nie może być spulweryzowany i zanarchizowany, ni politycznie ni gospodarczo, gdyż stałby on się łatwym żerem dla imperializmu germańskiego. Teren ten musi być rozwinięty gospodarczo i komunikacyjnie, uprzemysłowiony i uzdrowiony pod względem społecznym, a jego zagospodarowanie inwestycyjne traktowane jako całość.

Obszar ten obejmujący ok. 18-tu większych grup technicznych nadaje się specjalnie do zastosowania zasady federacyjnej, która zresztą miała zastosowanie na tym terenie już od wieków. I te państwa, które poprzednio istniały w tym rejonie, jak dawna Rzeczpospolita Polska albo Austro-Węgry, a nawet Czechosłowacja, Jugosławia, były w istocie federacjami, które łączyły kilka narodów.

Blok sciślejszej współpracy gospodarczej, jaki mógłby powstać na tym terenie, objąłby około 110 milonów ludności i kontrolowałby cenne, różnolite surowce, a nade wszystko teren ogromnych możliwości komunikacyjnych. Blok ten nie zagrażałby nikomu, gdyż jako złożony z tylu grup etnicznych, byłby niezdolny do jakiegoś imperializmu, a byłby tylko gwarancją pokoju i czynnikiem stabilizacji w Europie.

A teraz zastanówmy się nad tym, w jaki sposób możnaby przeciwdziałać tendencji do tworzenia wielkich obszarów polityczno — gospodarczych, która w gruncie rzeczy jest tendencją niebezpieczną, nie tylko dla małych narodów, ale dla świata jako całości. Tendencja ta bowiem zawiera potencjalne możliwości zaostrzonego konfliktu w świecie, opanowanym przez kilka wielkich mocarstw.

Gdyby po zwycięstwie przyjęty został pod egidą brytyjsko — amerykańską plan ścislejszej współpracy pokojowej, zarówno politycznej jak i gospodarczej, któryby objął całą kulę ziemską, plan zagwarantowania pokoju przez przyjęcie międzynarodowej organizacji wojskowej, politycznej i gospodarczej, to w ramach takiego planu tendencje do tworzenia oddzielnych wielkich bloków gospodarczych osłabłyby. Im ścislejsza będzie współpraca międzynarodowa w zakresie wymiany dóbr, kapitału i ludzi, im pewniejszy będzie pokój, tym słabiej działać będzie potrzeba tworzenia wielkich obszarów ścislejszej współpracy polityczno — gospodarczej.

Planowanie międzynarodowe dla zabezpieczenia pokoju politycznego i gospodarczego zastąpiłoby do pewnego stopnia planowanie wielkich obszarów gospodarczych.

Mówię: „do pewnego stopnia", dlatego, ponieważ z doświadczenia wiemy, jak trudne i skomplikowane jest zadanie takiego planowania gospodarczego na skalę międzynarodową, że dzieło takie, choć rozpoczęte z maksymum dobrej woli i optymum wiedzy, może po pewnym czasie ulec deformacji i spaczeniu. Dlatego mimo wszystko należy liczyć się z tendencją rzeczywistą w kierunku tworzenia większych obszarów ścislejszej współpracy gospodarczej, jakkolwiek nie na skalę megalomańską Nowego Porządku, ale na skalę skromniejszą odpowiadającą warunkom danego układu geograficznego.

PLANOWANIE GOSPODARCZE.

Od czasu obecnej wojny gospodarka planowa objęła całą niemal kulę ziemską. Przed rokiem 1939 gospodarka planowa prowadzona była w Sowietach, w Niemczech hitlerowskich, w Japonii, do pewnego stopnia we Włoszech faszystowskich i Portugalii. Natomiast obecna gospodarka planowa objęła i Imperium Brytyjskie i Stany Zjednoczone i wszystkie kraje okupowane przez Niemcy i Japonię. Planowa gospodarka prowadzona jest dla celów wojny, a w niektórych krajach ponadto dla eksploatacji i eksterminacji („Nowy Porządek").

I tu powstaje ten sam problem: jak traktować rozprzestrzenianie się planowania gospodarczego, czy jako proces przejściowy, który zniknie, gdy wojna się skończy, czy też jako proces głębszy i trwalszy, który w tej czy innej formie przejdzie do okresu powojennego. Wiele argumentów przemawia za tą ostatnią koncepcją.

Wojna wykazała, że nie sposób prowadzić wojny nowoczesnej bez planowania gospodarczego, że jednakże planowanie gospodarcze, by było skuteczne, musi rozpocząć się znacznie wcześniej, że kraje, które miały aparat planowania jeszcze przed rozpoczęciem wojny, mają przewagę nad krajami, które improwizują planowanie gospodarcze dopiero po jej wybuchu.

Wiemy, że okres rekonstrukcji, który będzie i długi i trudny, wymagać będzie również planowania gospodarczego, zarówno międzynarodowego, jak i państwowego i lokalnego, jakkolwiek cel, treść i być może formy planowania, będą różne od planowania wojennego.

Wiemy również; że cel stabilizowania i zabezpieczenia pokoju zarówno politycznego jak i gospodarczego, wymagać będzie również jakiegoś planowania w skali międzynarodowej.

Wiemy również, że cel stabilizowania i zabezpieczenia pokoju zarówno politycznego jak i gospodarczego, wymagać będzie również jakiegoś planowania w skali międzynarodowej.

Niezależnie od tego, za planowaniem gospodarczym przemawia wiele tendencji społecznych, psychologicznych, technicznych i gospodarczych. Demokracja ulega nowemu sformułowaniu, jako demokracja społeczna, a zadaniem jej jest zabezpieczenie nowych wolności, nie tylko osobistych i politycznych, ale i gospodarczych. „Bezpieczeństwo społeczne" określone zostało, w „Czterech Wolnościach" Karty Atlantyckiej, jako „Wolność od niedostatku". Nigdy poprzednio w kołach demokratycznych bezpieczeństwo społeczne nie zostało określone, j ko wolność, choć w gruncie rzeczy jest ono w istocie wolnością, i to podstawową wolnością, która umożliwia jednostce prawdziwe korzystanie z innych wolności.

Ale bezpieczeństwo społeczne, oparte na pełnym zatrudnieniu przy słusznej płacy, pozwalającej na godziwe utrzymanie rodziny, może być realizowane tylko przy planowaniu gospodarczym zorjentowanym dla osiągnięcia tego celu.

Tak więc wszystko przemawia za tym, że okres gospodarki wolnej skończył się, a wchodzimy w okres gospodarki planowanej, choć ta planowość może być dawkowa w różnych stopniach i rozmiarach.

Gospodarka planowana stwarza nowy typ cywilizacji i nowy typ ustro-

jowy, oddziaływujący na wszystkie dziedziny życia zbiorowego. Ożywiają ją nowe idee robocze, nowe instytucje państwowe i socjalne wchodzą w jej skład, poszczególne procesy gospodarcze zyskują nowe funkcje i nową rangę ważności.

Niektórzy uważają, że w związku z przejściem na typ gospodarki planowanej, oczekuje nas nowa era szczęśliwości. Niestety żaden typ gospodarki, dotychczas nam znany, nie był równoznaczny z erą szczęśliwości. Każdy typ gospodarowania posiada swoje jasne i ciemne strony, swoje trudności i przeszkody, które należy łamać w codziennej twardej walce.

Nie należy wyobrażać sobie również, że gospodarka planowana przedstawia jeden ściśle określony typ, i że typ ten należy przyjąć albo odrzucić w całości. Tak wcale nie jest. Gospodarka planowana przedstawia mozaikę typów i wzorów. Wszystko w niej może być kształtowane w sposób bardzo różnolity, począwszy od celów, którym planowanie służy, ducha, którym jest ożywione, instytucji i form, które je wypełniają.

Planowanie może odbywać się dla celów wojny lub pokoju, dla eksploatacji, względnie dominacji klasowej, narodowej czy rasowej lub dla celów sprawiedliwości społecznej, dla uprzemysłowienia kraju, lub jego agraryzacji, dla dobrobytu społecznego lub samowystarczalności. Wszystkie te cele przytem można realizować w różnym stopniu. Miara planowania gospodarczego może być różna zależnie od tego, jak szybko zamierza się osiągnąć dane cele.

Nie należy również wyobrażać sobie, że planowanie gospodarcze oznacza kontrolę wszystkiego. Niektóre działy nie nadają się do planowania i muszą być pozostawione mniej lub więcej wolne.

Dla planowania ogromnie ważne jest zastosowanie *zasady minimum*, to zn., że tylko tyle kontroli należy stosować, ile jest niezbędnie konieczne dla osiągnięcia pewnych celów. Wszystko co wkracza poza tę miarę jest kontrolą doktrynerską i zbędną.

Planowanie gospodarcze zmusza nas do rewizji pojęć w obszernym promieniu zagadnień społeczno — gospodarczych. Stopień i zakres tej rewizji jest nam jeszcze nie znany.

To co możemy z pewnością w tej materji powiedzieć już dziś, to to, że konieczna jest rewizja naszych pojęć ekonomicznych. T. zw. prawa gospodarcze, których uczyliśmy się w podręcznikach ekonomii muszą ulec przedefiniowaniu, to jest muszą być zbadane, w jakim stopniu obowiązują one w okresie gospodarki planowej, a w jakim stopniu odpowiadają one tylko minionej rzeczywistości liberalno — gospodarczej. Weźmy np. zagadnienie inflacji środków pieniężno-kredytowych. Zagadnienie to, przedstawia się zgoła inaczej w gospodarce liberalnej, a zgoła inaczej, jak to widzimy dziś, w gospodarce planowej, gdy polityka ekspansji kredytowo — pieniężnej chroniona jest całym systemem kontroli w zakresie wytwórczości i obrotów. Rola pieniądza i ceny rynkowej przedstawiają się również zgoła inaczej w gospodarce planowej. Stopa procentowa spełnia inne funkcje w systemie gospodarki planowej niż w systemie gospodarki wolnej. Handel zagraniczny przy systemie gospodarki planowej musi przyjąć inne formy i rozwinąć inne instytucje.

Gospodarka planowana wymaga również i redefinicji praw obywatelskich. Jedne z tych praw musiałyby ulec uszczupleniu, inne rozszerzeniu. Weźmy np. zagadnienie związków zawodowych. Rola tych związków w gospodarce planowej jest inna niż w gospodarce wolnej. Rola związków zawodowych w okresie gospodarki planowanej polega przede wszystkim na zadaniach współpracy z władzami prowadzącymi planowanie.

W równym stopniu planowanie gospodarcze dotyka prawa własności nad środkami produkcji. Planowanie nie oznacza koniecznie socjalizacji, jednakże pociąga za sobą konieczność redefinicji prawa własności. W okresie gospodarki planowej, prawo własności w rozumieniu prawa rzym-

skiego traci swe funkcje i rację bytu. Gospodarka planowa rozwija nowe formy własności ograniczonej w różnych stopniach, t. j. kontrolowanej przez władze planowania.

Planowanie gospodarcze, pozbawiając obywateli wielu zasadniczych wolności gospodarczych, wymaga rekompensaty we formie współudziału szerokich mas w aparaturze planowania. Doświadczenie wykazuje, że planowanie gospodarcze może tylko wówczas liczyć na powodzenie, gdy jest w pełni zrozumiane przez szerokie masy i gdy te masy ochotnie współpracują w realizacji celów planowania. Innymi słowy, planowanie wymaga zastosowania w wysokiej mierze zasady *samorządu ludowego*. Jest to zagadnienie niezwykle trudne, gdyż chodzi o praktyczne rozwiązanie konfliktu pomiędzy zasadą centralizmu, zawartego we wszelkim planowaniu, a zasadą samorządu koniecznego dla udostępnienia szerokim masom celów, jakim planowanie ma służyć i współpracy tych szerokich mas dla osiągnięcia tych celów.

A teraz weźmy naczelne zagadnienie ustrojowo — polityczne, w bardzo dużej mierze dotknięte faktem gospodarki planowej.

Gospodarka planowa wymaga silnego rządu o dużym autorytecie moralnym, o dłuższym okresie stabilizacji i w mniejszej mierze podległego fluktuacji partyj politycznych. Doświadczenie wykazało (dość wskazać tu na przyklad eksperymentu Bluma w latach 1937—37 lub New Deal Prez. Roosevelta, a nawet na trudności obecnego planowania wojennego w Stanach Zjednoczonych), że planowanie wprowadzone przez rząd słaby, o niewielkim autorytecie moralnym, lub ważkich pełnomocnictwach, jest nieskuteczne i szybko załamuje się. Aparat kontrolny w rękach rządu słabego nie działa. Kontrole wykonywane przez rząd nie korzystający z dużego autorytetu moralnego będą zawsze przyjęte z niedowierzaniem i niestosowane lub obchodzone.

Gospodarka planowana wymaga również większego okresu stabilizacji, niż może jej dać rząd parlamentarny, zmieniający się przy każdej nowej kombinacji partyjnej. Nie może ona co parę lat, a tym mniej co parę miesięcy ulegać zasadniczym przeobrażeniom, które mogą nastąpić przy zmianie rządu.

Z drugiej strony gospodarka planowa stwarza nowe potężne centrum władzy gospodarczej, które skoncentrowane z władzą polityczną, wywołuje niebezpieczeństwo *Państwa — Lewiatana*, a więc wszystko obejmującego państwa totalnego.

Demokracja starego typu funkcjonowała sprawnie w okresie gospodarki liberalnej, gdy obok centrum władzy politycznej nie istniało żadne centrum władzy gospodarczej. W tych krajach gdzie istniały takie centra gospodarcze w postaci władzy monopolistów lub plutokratów, demokracja liberalna szybko degenerowała się.

Obecnie gdy planowanie gospodarcze stwarza nowe potężne centrum władzy gospodarczej, zachodzi niewątpliwie potrzeba redefinicji ustroju demokratycznego, tak by z jednej strony demokracja mogła unieść cały ciężar nowej gospodarki planowej, z drugiej by gospodarka planowa nie zgniotła swym ciężarem żywej treści demokracji. I ten konflikt może być rozwiązany tylko drogą praktycznych prób ustrojowych, ożywionych duchem wolności i tolerancji.

Powiedziałbym, iż duch ożywiający dane społeczeństwo jest najważniejszym czynnikiem decydującym o funkcjonowaniu ustroju, a okres, w który wchodzimy wymaga wybitnego wzmocnienia mitu wolności, tolerancji i braterstwa ludzi.

Zadania stojące przed demokracją są dziś daleko większe, odpowiedzialniejsze i trudniejsze niż dawniej i dla tych zadań trzeba stworzyć nowy silniejszy aparat, niż ten jaki funkcjonował w wieku XIX.

Gospodarka planowa jest instrumentem daleko potężniejszym i zawiera-

jącym potencjalnie daleko większe niebezpieczeństwa, niż dawniejsza gospodarka liberalna, podobnie jak tank jest bronią daleko niebezpieczniejszą niż karabin. Technika daje nam w ręce coraz potężniejsze środki, stąd autokontrola nasza musi być coraz większa, by środki te nie użyte zostały jako instrumenty samozniszczenia.

KONCENTRACJA PRODUKCJI.

Proces koncentracji produkcji rozwijał się już od dziesiątków lat. Wojna jednakże proces ten ogromnie przyśpieszyła. Koncentracja produkcji następuje na skalę coraz to wyższą we wszystkich krajach prowadzących wojnę jako też w krajach okupowanych.

Wojenna koncentracja produkcji różni się tym od koncentracji przedwojennej, że dokonywana jest świadomie, programowo, z pewnym celem, gdy poprzedni proces był procesem automatycznym, który swój przebieg zawdzięczał postępowi techniki i przesunięciom sił w walce konkurencyjnej.

Rozmiary obecnego procesu trudno uchwycić statystycznie ale wiemy, że jego skala wciąż wzrasta w miarę przebiegu wojny, i to nie tylko w przemyśle ściśle wojennym, ale i w przemyśle konsumpcyjnym, a nawet i w dystrybucji.

Celem koncentracji wojennej jest uzyskanie oszczędności zarówno w potencjale przemysłowym, jak i w sile roboczej, a to drogą maksymalnego wyzyskania warsztatów najbardziej nowoczesnych kosztem warsztatów bardziej zacofanych, które albo się zamyka, albo przeznacza na co innego. Istotnym czynnikiem jest to przede wszystkim chęć zaoszczędzenia siły roboczej, której brak przez mobilizację odczuwa się wszędzie bardzo silnie. Procesowi koncentracji towarzyszy proces specjalizacji produkcji, t. zn., że produkcja, skoncentrowana w pewnym zakładzie, oparta jest na specjalizacji danego zakładu na stosunkowo wąskim programie produkcyjnym.

Oczywiście rezultaty wojennej koncentracji produkcji nie dadzą się odrobić i zostaną one po wojnie w bardzo wielkiej mierze. Przed wojną wielu ekonomistów wyrażało nadzieję, że nowy postęp techniczny oparty na motorze elektrycznym i silniku spalinowym łącznie z dobrymi drogami i tanim samochodem, umożliwi dyspersję produkcji, to jest dekoncentrację przemysłu, który będzie mógł wywędrować z wielkich centrów miejskich na wieś. Łącznie z tym spodziewano się pewnego zwrotu do małego i średniego warsztatu i związanej z tym regeneracji stanu średniego.

Te nadzieje wojna w bardzo wielkiej mierze oddaliła, jeśli nie wprost przekreśliła. Stan średni zanika w zastraszającym tempie na skutek przyśpieszonych procesów koncentracyjnych, które mają miejsce w czasie wojny.

Rzecz charakterystyczna stan średni znika również w handlu i rzemiośle. Dla zaoszczędzenia siły roboczej wielka ilość sklepów i warsztatów rzemieślniczych ulega przymusowej likwidacji, zresztą brak towarów i surowców jest tu dodatkowym czynnikiem, sprzyjającym dobrowolnej likwidacji.

Dalsze zanikanie klasy średniej jest jednym z wielu następstw socjalnych procesu koncentracyjnego, który posiada jednak bardzo szeroki wachlarz skutków. Koncentracja produkcji wzmacnia siły zdążające do planowanej gospodarki, jest bowien jasne, że produkcja skoncentrowana staje się produkcją monopolistyczną wymagającą kontroli publicznej.

ZUNIFORMOWANIE PROCESU ROZWOJOWEGO W GOSPODARSTWIE ŚWIATOWYM.

Przed wojną wielu pisarzy wypowiadało pogląd, iż trendy rozwojowe w gospodarstwie światowym rozbiegają się, przyjmując różne kierunki w różnych regionach i państwach. Cały wiek XIX-ty był okresem jednolitego trendu rozwojowego we wszystkich niemal państwach.

Gospodarstwa narodowe, jedne w większym, drugie w mniejszym stopniu, rozwijały się gospodarczo, zdążając do wzoru ustrojowego Wielkiej

Brytanii i Stanów Zjednoczonych, który uważały za wzór godny do naśladownia i za pewien etap, do którego proces rozwojowy automatycznie zresztą prowadzi.

Już po pierwszej wojnie światowej to zuniformowanie trendów rozwojowych odpadło, a narody poczęły obierać każdy swoją drogę, przy bardzo wielkiej rozbieżności kierunków. A więc Sowiety wybrały swój własny wzór ustrojowy, przy tym całkowicie izolując się od reszty świata. Także i Niemcy i Włochy obrały swoją specyficzną drogę rozwojową, odrębną od innych narodów. Japonia obrała swoje specyficzne metody uprzemysłowienia, przypominające wczesny merkantylizm. Natomiast kraje atlantyckie trwały przy swoich tradycyjnych formach rozwojowych.

Nastąpił więc pewien rozkład kierunków rozwojowych, daleko idąca dyferencjacja ustrojów społeczno-gospodarczych o różnej strukturze własności, praw robotniczych, kontroli produkcji, celów gospodarowania i zasadniczych instytucji społeczno — gospodarczych.

W czasie wojny widzimy ponowne podjęcie tendencji w kierunku ujednolicenia form ustrojowych poprzednio rozbieżnych. Formy ustrojowe gospodarki wojennej (przynajmniej zewnętrznie biorąc, a nie o ile chodzi o *duch* ożywiający te formy),w krajach anglosaskich zbliżają się w coraz wyższej mierze do form stosowanych w Niemczech i Włoszech, te znów zbliżają się do form Sowieckich. Instytucje planowej gospodarki wojennej wykazały na całym świecie daleko idące zbieżności i analogie, narzucone przez naczelny cel, jakim jest prowadzenie wojny.

Równocześnie w związku ze zmniejszeniem się izolacji gospodarczej Rosji i jej coraz większym nastawianiem się na pomoc, a więc tym samym na współpracę gospodarczą ze strony mocarstw anglo—saskich, następuje pewna ewolucja form ustrojowych gospodarstwa sowieckiego. Jeszcze dziś nie możemy sobie zdać sprawy ze stopnia, czy też kresu tej ewolucji, ale istnienie tej ewolucji zwłaszcza po zwycięstwie, jest więcej niż prawdopodobne, gdyż rekonstrukcja ogromnych a całkowicie zniszczonych obszarów rosyjskich wydaje się trudna do pomyślenia bez pomocy innych państw.

ZMIANY W LOKALIZACJI PRZEMYSLU — ROZWÓJ TERENÓW GOSPODARCZYCH ZANIEDBANYCH.

Lokalizacja przemysłu światowego przed wojną była rezultatem procesu automatycznego, opartego na kryterjach kalkulacynych, na lokalizacji źródeł surowcowych, głównych centrów zbytu i szlaków transportowych. W czasie wojny inne kryteria, w szczególności kryteria bezpieczeństwa, dochodzą do głosu. A ponadto działa konieczność zaoszczędzenia transportu w związku z przeciążeniem linii komunikacyjnych, znajdujących się przy tym pod stałym ostrzałem nieprzyjacielskim.

Ogólną tendencja, którą się da tu zaobserwować, jest ewakuacja całych ośrodków przemysłowych do terenów dotychczas przemysłowo zaniedbanych i systematyczny rozwój przemysłowy terenów zamorskich w związku z utrudnieniem żeglugi.

Parę przykładów najlepiej zilustruje te tendencje.

Największym może procesem historycznym o ogromnym znaczeniu polityczno-gospodarczym jest ewakuacja przemysłu sowieckiego za Ural. Nie jest to tendencja nowa. Sowiety proces przenoszenia przemysłu, względnie uprzemysłowienia Uralu, rozwoju gospodarczego terenów arktycznych, środkowo rosyjskich (drugie Baku), Turkiestanu i środkowej Azji, prowadzą od lat niemal 20-tu. Niemniej obecna praktyka spalonej ziemi na terenach okupowanych przez Niemcy, proces ten ogromnie wzmocniła i przyśpieszyła. Na szerokim pasie Ukrainy, Białorusi oraz Rosji zachodniej powstaje gospodarcza pustka, podczas gdy w Azji powstają

coraz silniejsze ośrodki nowoczesnego przemysłu, rozbudowa rolnictwa, górnictwa i transportu.

Pociąga to za sobą stałe przesuwanie się punktu ciężkości siły Sowietów na wschód, mówiąc ściślej do Azji. Komunizm nadał Rosji bardziej azjatycki charakter, przez co rozumiem nie co innego jeno proces lokalizacji przemysłu, a proces ten obecnie zostaje tylko przyśpieszony. Rosja gospodarczo przenosi się z Europy środkowej dalej na wschód i to jest procesem, który także częściowo da się odrobić po wojnie. Nie mam potrzeby podkreślać znaczenia tego procesu w ocenie powojennej roli Sowietów w Europie środkowo-wschodniej.

W Chinach obserwujemy proces do pewnego stopnia analogiczny. Tereny, które znajdują się obecnie pod kontrolą gen. Tschan-kaj-szeka były zgoła nie rozwinięte gospodarczo. Przy pomocy inżynierów amerykańskich następuje dość daleko idące uprzemysłowienie tych terenów. Na tych terenach podobno czynne są obecnie 44 elektrownie, 380 fabryk chemicznych, 373 fabryki włókiennicze, 133 fabryki maszyn, 17 papierni, 42 rafinerii, kilkaset kopalń węgla i żelaza itd.

A teraz weźmy Niemcy. Tu następuje proces systematycznej destrukcji przemysłu nadreńskiego przez R.A.F., a zarazem systematyczny transfer przemysłu do wschodnich okręgów Rzeszy. Siła ciężkości przemysłu niemieckiego, nadmiernie skoncentrowana nad Renem, przenosi się nad Odrę i Dunaj. Przemysł niemiecki po wojnie będzie słabszy na zachodzie, ale tym silniej będzie ciążył nad Europą środkową.

Proces ten jednak nie ogranicza się do Niemiec, ale obejmuje cała Europę okupowaną dziś przez Niemcy. Wiemy, że ten sam proces zachodzi we Francji, która przeżywa okres gwałtownego odprzemysłowienia, prowadzony z jednej strony przez R.A.F., z drugiej przez Niemcy, którzy transferują urządzenia, a ostatnio i robotników kwalifikowanych do Niemiec.

Niemcy ostatnio bardzo znacznie rozbudowują lokalne przemysły na całym terenie Europy środkowej, który uchodzi za najbezpieczniejszy z punktu widzenia nalotów i który pozwala na duże oszczędności w transporcie surowców przerabianych na miejscu.

Możemy ogólnie powiedzieć, że Europa zachodnia ulega w tej wojnie procesowi odprzemysłowienia, a Europa środkowa raczej procesowi częściowego uprzemysłowienia, natomiast wschodnia Europa, to jest rosyjska, uległa destrukcji na wielką skalę.

I te procesy w dużej mierze pozostaną, a proces uprzemysłowienia Europy środkowej, traktowany jako całość, powinien ulec dalszemu kontynuowaniu na skalę coraz większą z punktu widzenia integracji polityczno — gospodarczej tego terenu.

Także na wyspach Brytyjskich następuje znaczne przesunięcie w lokalizacji przemysłu. Poważna część przemysłu przesunięta została z okręgu londyńskiego i Midlands do Szkocji i Walii, to jest do okręgów mniej dostępnych dla bombardowania nieprzyjacielskiego. Rozwijają się zgoła nowe centra przemysłu wojennego.

W St. Zjednoczonych następują również zmiany w lokalizacji przemysłu. Poważnemu uprzemysłowieniu ulega dolina Tennessey, która jeszcze w poprzedniej wojnie była centrum przemysłu wojennego, następnie całkowicie zaniedbanego. Ponadto rozwija się gospodarczo wybrzeże Pacyfiku. Gdy mowa o Pacyfiku trzeba dodać, że wszystkie regiony Pacyfiku, uwzględniając Kanadę, Australję, Nową Zelandię, Argentynę, Japonię itd., rozwijają się w gwałtownym tempie, tak iż przepowiednia zarówno Teodora Roosevelta jak i Karola Haushofera, twórcy " Geo-polityki," iż wchodzimy w ,, Wiek Pacyfiku," wydaje się sprawdzać.

W krajach zamorskich powstają zupełnie nowe, bardzo wielkie centra przemysłu wojennego. Dość tu wskazać na Dolinę Gangesu w Indiach,

Południową Afrykę, Freetown w Afryce Zachodniej, Egipt, Palestynę, Persję itd.

Zdaje się, że rezultatem tej wojny będzie ogólna tendencja do rozwoju gospodarczego terenów zacofanych przemysłowo. Tendencja ta wynika z potrzeb wojny, a wyniknie również z potrzeb ugruntowania i stabilizacji pokoju. Do pewnego stopnia będzie ona prostym następstwem rozprzestrzeniania się gospodarki planowej.

Świat przekonał się, że u podstawy zaburzeń socjalnych i międzynarodowych leży nierównomierny, wadliwy rozwój przemysłowy, zbyt skoncentrowany na jednych terenach i u jednych narodów, a zbyt zaniedbany u innych.

Ogromny dysparytet w rozwoju gospodarczym, w uprzemysłowieniu, w akumulacji kapitałów i bogactw pomiędzy krajami jest czynnikiem grożącym powstaniem *feudalizmu przemysłowego*, który mógłby zredukować całe narody do roli służebnej, do roli ,, nosi-wody " i drwala narodów bardziej zaawansowanych. Tendencji tej będzie musiało przeciwstawić się nowe ,, planowanie międzynarodowe," o ile świat ma uzyskać trwalsze podstawy pokoju.

Przedstawiłem tu tylko parę zagadnień, które powstają na tle przeobrażeń wojennych, zdając sobie sprawę, że temat ten jest bardzo trudny, skomplikowany i obszerny.

Przeobrażenia obecne, dodam, charakteryzują się tym, że mają kształt bryłowaty, to jest obejmują wszystkie wymiary życia nowoczesnego. Przeobrażenia te : ekonomiczne, psychologiczne, polityczne, społeczne wreszcie techniczne, idą łącznie, wzmacniając się i przenikając wzajemnie.

To, co epoka nasza uzmysłowiła nam może najpełniej, to uniwersalizm przeobrażeń gospodarczych, czy, jakby to można modnie określić, ich totalizm. Idee, technika, polityka, ekonomika, zmieniają się i poruszają łącznie; i nie wolno, chyba tylko prowizorycznie dla celów analizy, wyodrębniać jednego z nich przy rozpatrywaniu zagadnień przyszłości.

Izolując te przeobrażenia i traktując je w odrębności musimy wciąż pamiętać, że izolacja ta może wprowadzić nas w błąd, o ile traktować to będziemy, jako materjał dla zastosowań praktycznych.

Uniwersalizm i historycyzm w traktowaniu problemów gospodarczych oto, prawdy, które epoka współczesna uzmysławia nam ze szczególną siłą.

HENRYK STRASBURGER.

BAŁTYK A BEZPIECZEŃSTWO EUROPY

,,Niskie wybrzeża, nagłe burze . . . niezliczone ławice piaskowe i wyspy, długie przerwy nawigacyjne spowodowane zamarzaniem, ubóstwo rybne i obfitość bursztynu . . . dziwaczne laguny za wydmami piaskowymi na wybrzeżu południowo — wschodnim-stanowią jego cechy charakterystyczne."

— . . . oto w jaki sposób charakteryzuje Morze Bałtyckie brytyjski pisarz W. F. Reddaway w swej książce ,,Problem of the Baltic".

Być może, że pod względem znaczenia gospodarczego i komunikacyjnego ustępuje Bałtyk miejsca wielu innym morzom i oceanom światowym. Dzieli on państwa, ale nie rozdziela całych kontynentów na wzór Morza Sródziemnego albo Morza Czerwonego. Jest ono wielką zatoką z wąskim dostępem z jednej tylko strony, a nie szeroką drogą komunikacyjną.

Dlatego zapewne Imperium Brytyjskie, które zapewniło sobie wpływy na dalekich oceanach, które zabezpieczyło sobie najważniejsze punkty strategiczne, jak Gibraltar, Malta i Suez na Morzu Sródziemnym, które trzyma w swoim ręku dojście do Morza Czerwonego, które otoczyło niemal

półkolem swoich posiadłości Ocean Indyjski, jednocześnie okazało niewielkie względnie zainteresowanie Morzem Bałtyckim, aczkolwiek leży ono tuż pod jego bokiem. A może właśnie dzieje się to dlatego, że Bałtyk nie przyciągał uwagi swoją odległością i egzotycznością. Bałtyk nie jest bardziej odległy od Londynu niż Aberdeen.

Jednakże znaczenie polityczne Bałtyku w Europie wydaje się być ogromne. Jest on najbliższą drogą, łączącą północ i wschód z zachodem, a w czasie wojny stać się może przedłużeniem osi, dzielącej wojenny front wschodni i zachodni. Nad brzegami jego leżało przed wojną 10 państw (wliczając Norwegię), a wśród nich dwóch wielkich partnerów wojny ostatniej i wojny obecnej — Rosja i Niemcy. Niemcy są w pierwszej linii związane z Morzem Północnym, mającym łatwy dostęp do Oceanu, i w tym kierunku zdążają najważniejsze niemieckie linie komunikacyjne. Norwegia i Szwecja przez swoje południowo zachodnie wybrzeże związane są z Morzem Północnym; Finlandia przez Petsamo miała wyjście na Morze Lodowate. Dania też związana jest z Morzem Północnym od zachodu.

Państwami wyłącznie bałtyckimi były Polska, Litwa, Łotwa i Estonia, przy czym trzy ostatnie państwa, posiadając dostęp do morza, nie miały własnego zaplecza, któreby ten dostęp obsługiwało. Natomiast polski dostęp do Bałtyku był jedynym połączeniem z morzem rozległego 35-milionowego państwa. Na przestrzeni dziejów różne państwa przybrzeżne dążyły do utworzenia przynajmniej na części Morza Bałtyckiego ,,mare nostro" — morza narodowego — przez poddanie swej władzy rozległych, a możliwie przeciwległych wybrzeży. Ale ich panowanie nigdy nie zdołało utrwalić się na stałe.

W XIII wieku Dania, która wtedy nie wynalazła jeszcze była swojego znakomitego sposobu obrony przez całkowite własne rozbrojenie, zdołała zawładnąć całym brzegiem południowym od południa Szwecji aż do Estonii. Imperialistyczne tendencje nad Bałtykiem wykazywał w XIII do XVI wieku Związek Miast Hanzeatyckich, który po pokoju w Stralsundzie (1370 r.) stał się pierwszą potęgą Północy, posiadając własną flotę wojenną i wpływał na obsadę tronów Danii i Szwecji. Obok niego rozwijał się inny związek niemiecki o podobnych tendencjach kolonialnych, a mianowicie Zakon Krzyżacki. Od r. 1658 do 1710 należą do Szwecji oprócz własnych brzegów także Finlandia, Karelia, Liworia i Estonia, Pomorze, Wismark, Pilawa i Elbląg. Od XVIII wieku Rosja próbowała utrwalić się na obu brzegach Zatoki Fińskiej, ale wysunięta już w III wieku po Chrystusie przez rzymskiego jurystę Ulpiana zasada ,,mare omnibus patet"— morze jest dla wszystkich otwarte — jak gdyby automatycznie broniła się przed pogwałceniem.

Natomiast jedno z najpotężniejszych w XVI i XVII wieku państw nad Bałtykiem i jednocześnie najbardziej od Bałtyku zależne — Polska — która zajmowała ogromne przestrzenie i parokrotnie dochodziła aż do Moskwy — nietylko nigdy nie prowadziła imperialistycznej polityki nad Bałtykiem, ale nawet, nie potrafiła sobie zabezpieczyć w dostateczny sposób swojego bezpośredniego wybrzeża morskiego. Nowożytni historycy polscy, a za nimi polska opinia publiczna upatrują w tym fakcie główną przyczynę upadku państwa polskiego w XVIII wieku.

Historia odepchnięcia Polski od morza przez Niemcy przedstawia się w paru głównych datach w sposób następujący: w roku 1229 w okolicach dzisiejszych Prus Wschodnich osiada niemiecki związek Krzyżowców dla nawrócenia zamieszkałych tę dzielnicę pogańskich Prusów — (szczep związany z Litwinami). Związek ten rozszerza swoje posiadłości, zajmuje nawet w r. 1308 polski Gdańsk, mordując tam całą ludność polską i dostarczając w ten sposób wcale niezłych argumentów, które mogłyby być wykorzystane przez Lorda Roberta Vansittarta. Następuje zwycięstwo polskie pod Tannenbergiem w 1410 r. Gdańsk i dzisiejsze polskie Pomorze, a

więc rozszerzone terytorium t.zw. przez Niemców ,,korytarza“ wracają w r. 1466 na przeciąg przeszło 3-ch wieków do Polski, ale Prusy Wschodnie pozostają w ręku Krzyżaków, którzy stają się wasalami królów polskich. W r. 1525 Prusy Wschodnie z duchownego związku rycerzy krzyżowych zostają zamienione na księstwo świeckie, a na czele tego księstwa staje ostatni z wyboru komtur krzyżacki, ktorym jest — przypadkiem, czy może nie przypadkiem — Hohenzollern z młodszej linii tych samych Hohenzollernów, którzy panują w Brandenburgii czyli w Berlinie. W r. 1618 panujący w Prusach Wschodnich Hohenzollern umiera bezdzietnie i księstwo przechodzi na Hohenzollerna berlińskiego. W r. 1720 Hohenzollernowie uzyskali od Szwecji Pomorze zachodnie czyli Szczecin i wtedy powstaje to zjawisko, które w Europie powersalskiej wywoływało takie oburzenie Niemców i ich przyjaciół — posiadłości niemieckie rozdarte zostały na dwie części przez państwo polskie czyli polskie Pomorze. Zapomina się, że to nie państwo polskie rozdarło posiadłości niemieckie, ale Niemcy usadowiły się z drugiej strony Polski. W tym czasie Hohenzollern brandenburski przyjmuje tytuł królewski — nie z racji głównej swej posiadłości Brandenburgii, ale z tytułu niedawno uzyskanych ziem pruskich, chociaż Prusowie Niemcami nigdy nie byli. Rozłączenie tych ziem zostało zlikwidowane przez likwidację państwa polskiego w końcu XVIII wieku. W ciągu półtora wieku niewoli trzy potężne mocarstwa rozbiorcze nie zdołały wynarodowić narodu polskiego i oto w roku 1918 zjawia się znowu Polska niepodległa. Odzyskuje ona swe dawne ziemie pomorskie, których ludność jest polska, oraz uzyskuje suwerenne prawa u ujścia swej rzeki Wisły w Gdańsku, o ludności przeważnie niemieckiej, i oto znowu Prusy Wschodnie okazują się oddzielone od Niemiec.

Zobaczmy, co o dostępie do morza wogóle, a o walce Polski o dostęp do morza w szczególności, mówią hitlerowscy geopolitycy niemieccy. Sięgam do Henniga i Körholza: ,,Einführung in die Geopolitik — Berlin 1938“ — ,,Naród kulturalnie rozwinięty bez zupełnie zabezpieczonego wybrzeża morskiego jest stałym zarzewiem niepokoju politycznego. Parcie do pełnego morza jest w dzisiejszym świecie cywilizowanym jednym z najbezwzględniejszych motorów geopolitycznych, w dzisiejszej gospodarce światowej więcej niż kiedykolwiek“ (str. 58). ,,Można sobie — mówią dalej ci sami uczeni — wyobrazić głupotę twórców Traktatu Wersalskiego, który powiększył liczbę państw czysto lądowych z czterech w r. 1914 — (Szwajcaria, Lichtenstein, Luksemburg, Serbia) do sześciu (Szwajcaria, Lichtenstein, Luksemburg, Austria, Węgry, Czechosłowacja), a który poza tym udzielił dwom dalszym państwom (Polsce i Jugosławii) niewątpliwie tylko niedostateczne i wąskie wybrzeże morskie, tak że powyższe państwa są dziś w tym samym położeniu, jak Brandenburgia Wielkiego Elektora w XVIII wieku“. Zaś o odcięciu Polski od morza przez Zakon Krzyżacki mówią ci sami autorzy co następuje: ,,Oddzielenie od morza przez powstanie państwa przybrzeżnego prowadzi w nowych czasach zawsze albo do przebicia się odciętego państwa lądowego do wybrzeża morskiego, albo do jego wchłonięcia przez państwo nadbrzeżne. Niemiecki związek krzyżacki był typowym państwem nadbrzeżnym, które odcięło od morza zarówno Polskę jak Litwę“ — mówią dalej Hennig i Körnholz.

Istotnie stan polityczny, stworzony na Bałtyku po Wielkiej Wojnie, nie miał charakteru pełnego, ostatecznego, opartego na twardej podstawie. Był on raczej wynikiem kompromisu niż jednej świadomej myśli politycznej. Traktaty pokojowe, zawarte z Niemcami i Rosją, przywracały względnie dawały niepodległość kilku narodom na południowym i wschodnim wybrzeżu Bałtyku: Polsce, Litwie, Łotwie, Estonii i Finlandii. Traktaty, tworzące nowy stan rzeczy, oparte były raczej na słabości największych partnerów na Bałtyku — Niemiec i Rosji, względnie na ich przeciwstawności, ale nie dawały może nowym państwom bałtyckim

dostatecznie silnej podstawy. Największe z tych państw — Polska — uzyskała terytorialnie i strategicznie słabe tylko oparcie o Bałtyk. Polskę łączy z Bałtykiem wąski pas polskiego Pomorza, szerokości około 100 klm. w części południowej, a 35 klm. na północy (nie wliczając w to mierzei Helu). Własny brzeg morski polski wynosi 71 klm. Jednocześnie Polska otrzymała szereg praw gospodarczych i politycznych na terenie Wolnego Miasta Gdańska, w szczególności włączenie Gdańska do polskiego terytorium celnego, zarząd kolejami, wspólny zarząd portu, prowadzenie spraw zagranicznych Gdańska itd. Brzeg morski Gdańska wynosi około 100 klm. Próbowano w tym rozwiązaniu pogodzić wymogi gospodarcze i geopolityczne Polski ze względami narodowościowymi ludności Gdańska, która jest w przeważającej liczbie niemiecka. Dlatego odłączono Gdańsk od Niemiec, ale nie przyłączono go do Polski.

Można stwierdzić dzisiaj, że to rozwiązanie nie wytrzymało próby życia pomimo usilnych starań ze strony Polski. Przyczynę tego stanu rzeczy upatruję w tej okoliczności, że Niemcy potrafiły przez swą propagandę wywołać w Gdańsku przekonanie, że rozwiązanie traktatu wersalskiego nie jest ostateczne, i że musi nastąpić zmiana statutu Wolnego Miasta. Nie można powiedzieć, żeby nie istniała w Gdańsku świadomość gospodarczej wspólnoty interesów z Polską. Żyła też jeszcze pewna tradycja z czasów łączności Gdańska z Polską przedrozbiorową. Możnaby może powiedzieć, że Gdańszczanie nie bardzo lubili Polaków, ale lubili interesy gospodarcze z Polską. Jest bezsporną prawdą, że rozkwit gospodarczy Gdańska uzależniony jest całkowicie od łączności z niepodległą Polską. Włączony do Rzeszy, Gdańsk traci swe stosunki i obroty gospodarcze. Poczucie wspólnoty z Polską rozwijałoby się niewątpliwie z biegiem czasu przez krzepnięcie stanu politycznego na Bałtyku. Ale coraz bardziej rozwijająca się agitacja niemiecka podtrzymywała stale stan wrzenia. Spokój w Gdańsku był sprzeczny z rewizjonistyczną polityką niemiecką. Opór Gdańska skłonił Polskę do budowy portu — Gdyni — na swym własnym wybrzeżu. Oba porty mogły się — moim zdaniem — uzupełniać znakomicie, a właściwie stanowiły tylko dwie części jednego i tego samego portu. Bardzo silnym argumentem agitacyjnym Niemiec, zarówno w Gdańsku jak i w Rzeszy, jak wreszcie i na całym świecie, był fakt terytorialnego rozdziału Prus Wschodnich od Niemiec. Rozpowszechniona była w Rzeszy opinia, że albo nastąpi połączenie terytorialne Rzeszy z Prusami, co pociąga za sobą odcięcie Polski od morza i upadek niepodległości państwa polskiego, albo też Rzesza utraci Prusy Wschodnie, to jest nastąpi powrót do stanu politycznego Brandenburgii z XVII wieku.

Na wschód i północ od polskiego wybrzeża rozciągają się obszary, na których zachodzą podobne, jak u polskiego dostępu do morza, różnice narodowościowe pomiędzy wybrzeżem a zapleczem. Istnieje pewna rozbieżność między narodowymi interesami państw bałtyckich — Litwy, Łotwy, Estonii i Finlandii, a gospodarczymi i geopolitycznymi interesami obszarów odsuniętych od morza, w szczególności państwa rosyjskiego. Jednakże przy bliższym badaniu zachodzi duża różnica. Narody bałtyckie są małymi państwami, znacznie słabszymi od państwa — zaplecza; nie posiadają one żadnych innych ośrodków swojej narodowości, skąd wychodził by irredenta i chęć tworzenia trudności. Państwa te istotnie pragnęły, jak wielokrotnie stwierdzały to słowami i czynami, służyć jako pomosty Rosji do Morza Bałtyckiego. Dlatego porównać je można raczej z Holandią i Belgią, aniżeli z Prusami Wschodnimi i Gdańskiem. Zdawałoby się zatem, że można być przyjacielem państw bałtyckich i wielkiego państwa rosyjskiego jednocześnie.

W duchu przyjaźni zawarte też zostały traktaty pokojowe w roku 1920 między Rosją a tymi nowopowstającymi państwami. W roku 1932 podpisano pakty o nieagresji między państwami bałtyckimi a Rosją (pakt z

Litwą zaś już w roku 1926). Jednakże wypadki, jakie zaszły w r. 1939 i 1940, t.j. inkorporacja Litwy, Łotwy i Estonii i wojna z Finlandią, dowiodły, że nie było istotnej zgody między Rosją a krajami bałtyckimi.

Nie udało się w okresie między obu wojnami dojść do ściślejszego związku między państwami bałtyckimi, względnie między nimi a Polską. Odbył się szereg konferencji bałtyckich, poczynając od roku 1920, w Helsinkach, Rydze — Balduri, Warszawie, bez większego rezultatu. Doszło jedynie w roku 1923 do przymierza i teoretycznej proklamacji unii celnej między Estonią a Łotwą oraz do „traktatu dobrej woli i współpracy" (Treaty of Good Will and Cooperation) między Estonią, Łotwą i Litwą w dniu 12 września 1934. Gdyby było doszło do zawarcia federacji między państwami bałtyckimi, wzmocniłoby to je politycznie i prestiżowo, ale trudno przypuścić, że zmieniłoby to los ostateczny tych państw wobec porozumienia rosyjsko — niemieckiego z r. 1939.

Państwa skandynawskie nie miały tych wszystkich trudności, przez jakie przechodziły południowe państwa bałtyckie. Jedynie może spór o Wyspy Alandzkie — Maltę północnego Bałtyku — między Finlandią a Szwecją na początku lat dwudziestych, poruszył głębiej opinię publiczną w tej części Morza Bałtyckiego. Wynikł on, podobnie jak inne trudności na Bałtyku, również ze sprzeczności między interesami narodowościowymi szwedzkiej ludności wysp a geopolitycznymi interesami Finlandii. Znaleziono rozwiązanie tego sporu, starając się pogodzić oba te motywy. Niekorzystnym objawem politycznym wśród państw skandynawskich była chęć uchylania się od odpowiedzialności za własne losy i za statut Bałtycki w przypuszczeniu, że w ten sposób ocalić można swoje interesy. Nad losem wszystkich państw bałtyckich wisiała też jak miecz Damoklesa możliwość zamknięcia Kanału i cieśnin bałtyckich przez Niemcy, w szczególności od 16 listopada 1936 r., kiedy Niemcy oficjalnie zrzuciły z siebie wszelkie ograniczenia, wynikające z traktatu wersalskiego.

W ten sposób uznać można statut polityczny Morza Bałtyckiego, ustalony po Wielkiej Wojnia, za chybiony za względu na brak gwarancji i zabezpiecznie pokoju. Natomiast rozwój stosunków gospodarczych na Bałtyku w tym samym okresie przedstawiał się niewątpliwie lepiej.

Uzyskanie niepodległości dało impuls w krajach bałtyckich do wzmożenia produkcji eksportu w wielu dziedzinach, w szczególności produkcji rolnej. Zwiększyła się znakomicie produkcja pszenicy, lnu, mleka i masła, nierogacizny (bekonów), jaj, jęczmienia browarnego, kartofli. Także rozwinął się przemysł rolniczy i leśny: celuloza, forniery, papier, zapałki; przemysł garbarski i kuśnierski. Państwa bałtyckie weszły do pewnego stopnia na tory Danii, rozwijając szczególnie rolnictwo i przemysł rolny i wywożąc do krajów zachodnich produkty rolnicze wysokiej wartości i standaryzowane. Znacznie zwiększyła się liczba kooperatyw i liczba samodzielnych gospodarstw rolnych na skutek przeprowadzonej tam na szeroką skalę reformy agrarnej. W Polsce zwraca uwagę wielki rozwój portu Gdańsk— Gdynia na skutek przestawienia handlu zagranicznego z lądowego na morski. We wszystkich państwach południowo — bałtyckich, łącznie z Polską, zaznacza się stały wzrost stosunków gospodarczych z Wielką Brytanią, przy jednoczesnym spadku obrotów handlowych z Niemcami. Podczas kiedy w ostatnich kilkunastu latach Niemcy w krajach bałkańskich wypierają Wielką Brytanię, to na południowym Bałtyku stosunki handlowe z Wielką Brytanią wzrastają.

Zwraca uwagę niezmiernie nikły udział Rosji w handlu i przeładunku portowym na Bałtyku. Potrzeby rozszerzenia rosyjskiego dostępu na Bałtyk — cyfry handlu i przeładunku właściwie nie uzasadniają, w przeciwieństwie do parcia polskiego obrotu towarowego na Bałtyk. Niestety statystyki nie wykazują za ten okres także zacieśnienia wzajemnych obowiązków ekonomicznych między państwami położonymi nad Bałtykiem.

Gospodarcza wspólnota średnich i mniejszych państw bałtyckich nie była jeszcze na drodze do realizacji. Sądzę, że byłoby możliwe zwiększenie wymiany towarowej między państwami skandynawskimi a krajami południowego Bałtyku.

Z rozważań o przyszłym ustroju gospod rczym i politycznym świata, które zajmują tak wiele uwagi na obu półkulach, trudno byłoby wyłączyć sprawy Morza Bałtyckiego. Jeżeli w tej chwili mniej się o nich mówi, to tłumaczy się to względami taktycznymi, chęcią nie poruszania w tej chwili jeszcze zagadnień, w których opinie Aliantów mogłyby się różnić. Jednakże waga tych rozstrzygnięć nie jest mniejsza, zaś dla Polski — i może Wielkiej Brytanii — większa, aniżeli głośna dzisiaj federacja centralno — europejska. Celem nowego statutu bałtyckiego musi być — tak samo jak i w innych częściach świata, przede wszystkim utrwalenie pokoju i wzmocnienie jego sankcji. Już Francis Bacon w XVII wieku powiedział:

„To jedno jest pewne: ten, kto panuje na morzu ma wszelką swobodę w nadaniu wojnie rozmiarów jakie zechce“.

Dlatego panowanie nad Bałtykiem powinno być udziałem tych, którzy pragną pokoju, a nie tych, którzy dążą do wojny.

Narodom przybrzeżnym Morza Bałtyckiego, w szczególności zaś tym, które innego wyjścia na świat nie posiadają, powinien być zabezpieczony wolny, pewny, bezpośredni dostęp do morza. Obce enklawy, będące wynikiem imperializmu i mające charakter kolonii politycznych na obcych terytoriach, powinny być — jakby się zdawało — usunięte. Powinny też być uznane za uprawnione dążenia państw przybrzeżnych do posiadania portów niezamarzających, czynnych w ciągu całego roku. Dotyczy to także Rosji, aczkolwiek po iadanie przez nią niezamarzającego portu w Murmańsku, z otwartym wyjście n na ocean, żądanie to — jakby się zd ıwało — łagodzi. Nie jest może jeszcze czas do rozważań, jak możnaby pogodzić interesy małych narodów bałtyckich z zabezpieczeniem dla Rosji pełnego dostępu do Morza Bałtyckiego. W każdym razie interes Rosji nie sięga poza Libawę i nie rozciąga się na Litwę, posiadającą tylko mało dogodny port w Kłajpedzie.

Hilaire Belloc w swej książce „Places“, która niedawno się ukazała, z wielkim uznaniem wyraża się o roli małych narodów:

„Stało się modnym czcić coś co się nazywało „potęgą“ czy „mocarstwem“ — aczkolwiek nie było zgoła „potęgą“ a jedynie, liczbą: gdyż nie ma innej prawdziwej potęgi, wśród ludzi jak tylko potęga tworzenia i w tym właśnie wyraża się stworzenie człowieka na podobieństwo Boga. Te wielke, przerosłe, brutalne państwa nowoczesne nie były wytworem dojrzałego czasu który jest jedynym prawdziwym twórcą państw lecz są wszystkie tylko doraźnym naśladownictwem. Rodzi się z nich nieustannie zło.

Wolny dostęp do morza jest dla państw bałtyckich najważniejszym warunkiem wykonania artykułu 4-go Karty Atlantyckiej. Dla Polski konieczność posi dania dostępu do morza nie jest tylko teorią, ale praktyką potwierdzoną gorzkim doświ dczeniem. Pragnąc postawić Polskę w położenie bez wyjścia, Niemcy w roku 1926 wypowiedziały wojnę celną Polsce, która uratowała się w tej sytuacji jedynie przez przestawienie całego handlu z kierunku zachodniego na północ, a lądowego na morski.

Sądzę, że nie tylko przybrzeżne państwa bałtyckie, ale i inne kraje mają zainteresowanie na Bałtyku. Moim zdaniem, jednym z warunków utrzymania równowagi sił na Bałtyku jest mocniejsze związanie go z Wielką Brytanią, udział Wielkiej Brytanii w ochronie cieśnin i kanałów bałtyckich i niektórych punktów węzłowych na Bałtyku. Ob zary, ciążące gospodarcz) do Bałtyku, przedstawiały się w roku 1939 w sposób następujący: Rzeczpospolita Polska z Gdańskiem 35,5 milionów; Kraje Skandynawskie i Bałtyckie (oprócz Norwegii) 20 milionów; Czechosłowacja (bez Rusi

Podkarpackiej) — 14,5 milionów ; Prusy Wschodnie i północno — wschodnie, część Rzeszy, około 20 milionów; północno—zachodnia część Z.S.S.R. około 25 milionów — łącznie 115 milionów. Z tego około 45 milionów czyli 40% należy do państw, których nie można uważać ze zdecydowanych i trwałych obrońców idei pokojowych. Wejście nowego, potężnego czynnika z zewnątrz przyczyniłoby się do utrwalenia równowagi i pokoju.

Również interesy państw centralnej Europy, nie mających bezpośredniego dostępu do morza, powinny być brane w rachubę. Obszary Czechosłowacji i polski Górny Śląsk ciąży w pewnym stopniu do portu szczecińskiego, co może powinno znaleść takie czy inne uwzględnienie. Jednakże sądzę, że głównym północnym portem i ośrodkiem handlowym centralnej Europy powinien stać się polski port gdański. Odpowiadałyby mu może na południu Triest, Saloniki i Konstanca. Sądzę, że głównych ośrodków gospodarczych wielkich obszarów nie należałoby poszukiwać w centrach geograficznych, co jest słuszne tylko dla siedziby administracji państwa, lecz w punktach zetknięcia się z obrotem i handlem międzynarodowym.

Jednym z najważniejszych zagadnień jest otwarcie dróg, wiodących do Bałtyku i gwarancja wolnego wejścia i wyjścia w czasie wojny i pokoju dla jednostek morskich wszystkich państw przybrzeżnych. Niewłaściwe jest, jeżeli klucz od bramy domu, zamieszkałego przez wielu lokatorów, znajduje się w ręku jednego z nich, który rozporządza nim dowolnie. Od czasu pogłębienia Kanału Kilońskiego faktyczna władza nad wszystkimi drogami, prowadzącymi z Bałtyku, zarówno nad kanałami, jak i cieśninami naturalnymi — Sundem i Bełtami, znajduje się w rękach niemieckich. Dania — przez swoje rozbrojenie w roku 1925 — oficjalnie zrzekła się kontroli dróg bałtyckich. Zarówno w czasie Wielkiej Wojny, jak wojny obecnej, Niemcy od pierwszej chwili bez żadnych trudności zamknęły wszystkie drogi, zamieniając Bałtyk w jezioro niemieckie. Pogłębienie Kanału Kilońskiego miało znaczenie przede wszystkim wojskowe. Podwoiło ono siłę floty niemieckiej, która może być każdej chwili przerzucana między Bałtykiem a Morzem Północnym.

Szczegółowe rozpatrzenie sposobów zabezpieczenia wolności dróg bałtyckich przekraczałoby ramy mojego wywodu, chciałbym zatem tylko parę ogólnych myśli wypowiedzieć. Sądzę, że oba brzegi Kanału Kilońskiego powinny być odebrane z rąk niemieckich i przyłączone do terytorium Danii. Przewiduję konieczność zawarcia umowy między Danią a Wielką Brytanią, uwzględniając także Stany Zjednoczone, która umożliwiłaby ochronę wojskową tego terytorium na wzór Suezu. Sądzę, że może powinny być też zabezpieczone bazy morskie i lotnicze w najważniejszych punktach strategicznych na drogach, prowadzących do Bałtyku. Zachodzi pytanie, czy kontrola polityczna nad cieśninami nie powinna być oddana ciału międzynarodowemu z udziałem wszystkich państw bałtyckich (z pominięciem Niemiec w pierwszym okresie). Podobna międzynarodowa Komisja Bałtycka miałaby za zadanie czuwać nad środkami przeciwko pogwałceniu wolnych cieśnin. Mogłaby ona jednocześnie sprawować nadzór nad eksploatacją Kanału Kilońskiego i nad żeglugą na Kanale i cieśninach. Wzmocniłoby to może poczucie wspólnoty interesów wśród państw bałtyckich i dało początek szerszej współpracy na drodze do federacji. Nasuwa mi się pewna analogia z Radą Portu w Gdańsku, która ze wszystkich instytucji na terenie Wolnego Miasta w najlepszy sposób potrafiła zapewnić współpracę polsko — gdańską na praktycznym odcinku wspólnych interesów. Może i inne ważniejsze punkty strategiczne Morza Bałtyckiego, jak Rugia czy Wyspy Alandzkie, mogłyby być poddane pewnemu regime' owi międzynarodowemu. Zwolnienie dróg bałtyckich od hegemonii jednego państwa byłoby wykonaniem zapowiedzi art. 7 Karty Atlantyckiej.

Obawiam się, że wypowiedziane przeze mnie poglądy odbiegają dosyć daleko od wskazań, udzielanych Wielkiej Brytanii przez Lorda Chathama.

O ile wiem, w umyśle Williama Pitt'a, jedno zagadnienie dominowało nad wszystkimi innymi; utworzenie na rzecz Anglii imperium zaoceanicznego. Hanower, Prusy, Austria — to były zabawki kontynentalne, pożyteczne pionki dla ocalenia grubych figur: Indii i Ameryki. Jednakże sądzę, że dzisiaj czasy może się zmieniły — z małych spraw wynikły wielkie skutki.

Gdyby śledzono w XIX i XX wieku z większą uwagą za rozwojem małych Prus, świat nie stałby może dzisiaj na krawędzi katastrofy. Statut Bałtycki należy do spraw brzemiennych w następstwa.

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

MOWA WYGŁOSZONA NA UROCZYSTOŚCIACH MICKIEWICZOWSKICH WE LWOWIE W R. 1940.

Ilekroć przyjdzie się zastanowić nad drogą poetycką Adama Mickiewicza, zawsze budzi ona nowe zdumienie. Trwała ta droga krótko; jeżeli liczyć od wydania pierwszego tomu poezji, nie więcej niż dwanaście lat; urwała się na szczycie potęgi twórczej; poezja Mickiewicza nie zna schyłku. Obejmuje wszystkie rodzaje, jakby jakieś przeznaczenie kazało temu wielkiemu odnowicielowi przeorać do głębi wszystkie niwy mowy ojczystej. Po pierwszych klasycyzujących próbach, sięga nagle młody Mickiewicz do źródła natchnień ludowych w „Balladach i romansach"; w wileńskich „Dziadach" z misterium gminnych guseł wysnuwa poemat miłości i bólu; w „Farysie" odkrywa strefy jakiejś narkotycznej „czystej poezji". I znów, pod wpływem tragicznego wstrząsu, powraca do „Dziadów"; natchnioną „Improwizację" Konrada oprawia w sceny poetyckiego realizmu, barwiące się raz po raz sarkazmem pamfletu. I tuż po tym wybuchu bluźnierczej potęgi, jakim jest „Improwizacja", naraz, jakby czarami, uspokaja się to zwichrzone morze, aby się rozzwierciedlić gładką, spokojną falą w „Panu Tadeuszu".

I jakie wciąż bogactwo form, rytmów, nastrojów: od prostoty gadek ludowych, do nieskazitelnej zwartości sonetu lub kunsztownego heksametru; i wreszcie do tej symfonii barw i tonów, jaką jest „Pan Tadeusz", ten cud plastycznej pamięci zrodzonej z tęsknoty.

I w tej poezji Mickiewicza, mimo całej doskonałości artystycznego rzemiosła i świadomej uprawy formy, jest taka bezpośredniość, taka konieczność, że w pewnej chwili, gdy twórca uczuje inne nakazy, inne konieczności, odejdzie nagle od poezji, czy raczej poezja odejdzie od niego, zostawiając udręczonego człowieka-tułacza, szukającego w życiu rozwiązań i realizacyj, które wprzód dawała mu sztuka.

A wśród tego, w latach twórczego odpływu, poezja nawiedzi

jeszcze Mickiewicza na chwilę: w czasie pobytu jego w Lozannie w Szwajcarji; tu, jakby oderwany na moment od wszystkiego co było treścią i męką jego życia, w obliczu przyrody, poeta zatrzyma się i jak gdyby przystanie w swojej wędrówce, aby się zdziwić własnej doli. Jeden z tych małych poematów ma tylko pięć wierszy: to owe „Polały się łzy me . . .“, drugi to znów klejnot „czystej poezji“, zaczynający się od słów: „Nad wodą wielką i czystą“ . . .

To ta poezja, która pulsowała w jego krwi, ktora wzdymała jego serce miłością, dumą, buntem, szałem, która barwiła tęczowo jego wizje przeszłości, ta poezja nawiedza tu Mickiewicza po raz ostatni w postaci jakiejś bezcielesnej zadumy. I już nie wróci; człowiek pójdzie dalej sam.

Kończąc „Pana Tadeusza“, ostatni swój utwór poetycki, Mickiewicz miał 35 lat; droga jego życia miała trwać jeszcze lat 21. Zrozumiałe jest, że nas to życie, które można by nazwać twórczością niepisaną Mickiewicza, obchodzi na równi niemal z jego twórczością pisaną, którą poniekąd przedłuża i uzupełnia.

Ale podczas gdy tam gdzie idzie o poezję, zawsze się można odwołać do samego twórcy, o tyle życie jego, działanie, bywają zdane na jakieś narzucone im interpretacje. Stąd tyle rozbieżności w pojmowaniu osoby Mickiewicza.

Od chwili gdy Mickiewicz opuścił w roku 1924 więzienie wileńskie, losem jego miało być tułactwo. „Pielgrzym“ — to słowo powraca niby przeczucie w jego poezji od wczesnych lat. Druga część jego życia związana jest z Francją, pierwsza z imperjum rosyjskim.

Te dwa okresy jakże są odmienne. Oto właśnie Akademia Nauk otwarła we Lwowie w dawnym Ossolineum bogatą wystawę mickiewiczowska. Widzimy tam wiele portretów tej pięknej głowy; portrety te mają wymowę. Uderza nas kontrast dwóch epok. Jedną uzmysławia wspaniały młodzieniec, z dynastii wielkich romantyków, odziany w fałdzisty płaszcz wędrowca. Taki jest Mickiewicz jeszcze w Rzymie w roku 1830-ym. Kiedy w parę lat później odnajdziemy go w Paryżu, jakże będzie odmieniony! Strój, postawa, niemal głos. Dumny śpiewak „Farysa“, a twórca „Ksiąg pielgrzymstwa“, przemawiający głosem kaznodziei, czy to ten sam człowiek? Wyraz twarzy nad wiek poważny, surowy, smutny, jakby go gniotło ciężkie jakieś brzemię; rysy przeorane wewnętrznym bólem. A strój! To przemiana niemal podobna do tej, która przeobraziła bujnego Jacka Soplicę w księdza Robaka, resztę życia jego skazując na ekspiację.

Bo też w istocie w ciągu tych dwóch lat rozegrał się dramat. Dramat narodu i dramat człowieka, poety. Tragedia, wobec której jakże dziecinnieją owe romansowe przejścia Mickiewicza upoetyzowane w „Dziadach“. I nawet ów proces wileński,

więzienie w którym Mickiewicz — jak sam pisze — „odzyskał wesołość".

I to jest zrozumiałe. Tuż przed momentem, kiedy wytoczono proces młodym Filomatom wileńskim, Mickiewicz znalazł się duchowo niby w zaułku bez wyjścia. Romantyczna miłość młodzieńcza dała mu wszystko, co dać mogła — w poezji. Z niej wzięły natchnienie pierwsze utwory, ją udramatyzował poeta w „Dziadach". Ale w życiu? Ani tym żyć, ani od tego uciec; Kowno było za blisko i za daleko od majątku państwa Puttkamerów, a uwielbiana Maryla była już od dwóch lat hrabiną Puttkamerową. A wreszcie rola nauczyciela w małej wówczas mieścinie nie mogła dać zadowolenia poecie, który wysokością lotu mierzył się już z Goethem i z Byronem. Młody Mickiewicz dusi się tu. Brzydnie sam sobie, brzydną mu przyjaciele, dawni towarzysze. Pełno tego śladów, w jego listach. Proces, więzienie, wyrwały Mickiewicza z tego martwego punktu; przeczuwa, że odwraca się w jego życiu nowa karta.

I dopiero refleks klęski powstania roku 1831 rzuci w trzeciej części „Dziadów" swoje posępne tony na to więzienie z roku 1824. Poezja miewa takie genialne anachronizmy.

Na razie — zesłanie do Rosji. Żandarm wozi Mickiewicza z miejsca na miejsce po obszarach imperium, jakby je chciał sprezentować przyszłemu autorowi „Drogi do Rosji". Z Wilna do Petersburga, stamtąd do Odessy. Wycieczka na Krym wydaje jako plon wspaniałe „Sonety Krymskie". Moskwa i Petersburg dają Mickiewiczowi przyjaźń Puszkina i przyjaźń najszlachetniejszej rewolucyjnej młodzieży rosyjskiej. Tu Mickiewicz zyskuje poczucie swojej siły, samowiedzę geniuszu. W Wilnie koledzy cenzurowali mu wiersze, z Warszawy dochodziły młodego romantyka echa drwin i krytyk; tu w wysoce podówczas artystycznej atmosferze, najtęższi pisarze przyjmują go jak brata, witają jak mistrza. O caracie myślał Mickiewicz pisząc „Wallenroda", ale o tych rosyjskich czasach myślał pisząc jeden z najpiękniejszych wierszy „Do Przyjaciół Moskali".

Jakże smutno w porównaniu z tą epoką rozpoczną się lata paryskie Mickiewicza. Gnębi go i atmosfera emigracji, i i osobisty dramat wewnętrzny, związany z minionym rokiem. A sam Paryż? Ogromne miasto, zajęte sprawami i interesami, obce myślom i uczuciom tego pielgrzyma. Rośnie w poecie poczucie własnej samotności. Dla kogo pisać? Obcy nie znają jego języka; swoi daleko, i również często obcy . . .

Przy tym natura Mickiewicza, mimo iż w pewnych okresach narzucająca sobie pokorę, w istocie namiętna, władcza, łaknęła bezpośredniego działania i wpływu. „Daj mi rząd dusz!" woła do Boga w „Improwizacji" Konrad.

Mickiewicz zaczyna pragnąć czynu. Słowo mu nie wys-

tarcza. Ta gorączka działania owłada w owej epoce wielu poetów; to moment ich królowania. Byron formował nie tak dawno własne oddziały, aby walczyć o niepodległość Grecji; gdyby nie umarł, byłby może został królem greckim. Chateaubriand był ambasadorem, ministrem spraw zagranicznych; później Lamartine, najświetniejszy mówca parlamentu, miał w danej chwili zostać głową rządu. Ale wszyscy ci poeci mieli jakieś dźwignie, jakieś punkty oparcia; Mickiewicz-Konrad, tułacz bez ojczyzny, w pokoju drezdeńskiego hoteliku, gdzie powstała „Improwizacja", upomina się o „rząd dusz„. Nigdy dumniejszy, zuchwalszy manifest nie wyszedł z ust poety.

Ale moment nie sprzyja tej gorączce czynu. Lata między rokiem 1834 a 1848 to najciemniejszy moment ustabilizowanej reakcji w całej Europie; we Francji to owe „rządy pięciofrankówki", — jak je nazwał pogardliwie Balzac — raj dla francuskich groszorobów, trumna dla nadziei Polaków, w których mieszczaństwo francuskie widziało niewczesnych mącicieli porządku na najlepszym z burżuazyjnych światów.

Co robi w tych latach Mickiewicz? To, co może. Troska się o to jak wyżywić rodzinę. Gdy Paryż naokoło myśli jak się wzbogacić, wielkiemu poecie zagląda w oczy pytanie, jak wyżyć w obcym mieście — z pióra. Szuka pracy zarobkowej, próbuje pisać po francusku.

Ale równocześnie zbliża się Mickiewicz ze wszystkiem, co było we Francji postępowe, demokratyczne. Zbliża się z kołami saintsimonistów, m.in. z „socjalistą utopijnym" Piotrem Leroux; sam współpracuje w bliskim socjalizmowi „Pielgrzymie Polskim"— jeszcze wówczas, gdy równocześnie tworzył „Pana Tadeusza". Sprzeczność—tylko pozorna. Bo „Pan Tadeusz" — ta „historia szlachecka", jak mówi podtytuł, — to, jak go określił Worcell, „kamień grobowy, położony ręką geniuszu na starej Polsce naszej". A równocześnie oczy poety widzą już świat inny, nowy.

Uderzające jest, jak myśl Mickiewicza już w owej epoce płynie podwójnym nurtem — narodowym i międzynarodowym. Coraz bardziej umacnia się w Mickiewiczu świadomość, że sprawa wolności narodu, jego prawa do życia, to nie jakieś odosobnione zagadnienie, albo rozgrywka lokalna, ale że, przeciwnie, dola wszystkich ludów jest ściśle solidarna i że nie podobna jest ruszyć jej z miejsca, nie podważywszy całego porządku społecznego starej Europy, zbudowanej na przemocy i krzywdzie. I oto jak sprawa polska zawiedzie Mickiewicza do międzynarodowego socjalizmu i każe mu szukać zbliżenia z tymi, którzy w Europie reprezentują ideę socjalnego przewrotu. Ale — trzeba czekać chwili; a to czekanie, wlokące się przez całe lata, straszne jest dla tych namiętnych, płomiennych natur, do jakich należał Mickiewicz. I tym zmęczeniem,

tym przepaleniem się wewnętrznym, kontrastem między bezwładem otaczającego społeczeństwa a gorączkową żądzą ruszenia „z posad bryły świata“ — i „pchnięcia jej nowymi tory“, jak głosiła już „Oda do młodości“, — można sobie wytłumaczyć wpływ, jaki czasowo uzyskał na Mickiewicza prorok mętnej mistycznej sekty — Andrzej Towiański.

Ten wpływ, pod każdym względem opłakany, przypadł na chwilę, w której poecie otworzyło się właśnie nowe pole działania. Po krótkim okresie, przez który Mickiewicz zajmował katedrę literatury łacińskiej w uniwersytecie lozańskim w Szwajcarji, ofiarowano mu w Paryżu ważniejszą placówkę: katedrę literatur słowiańskich w „Collége de France” w Paryżu. Pierwszy zwłaszcza rok tych wykładów był olśniewający; później coraz bardziej ten kurs literatury wyradza się w propagandę mistycyzmu Towiańskiego; wreszcie — Mickiewicz — zmuszony jest ustąpić z katedry.

Tu parę lat dziwacznych, zasmucających — lat niewoli u „mistrza“. Ale wystarczyło tego drżenia ziemi, jakie się dało uczuć z rokiem 1848 — w momencie owej pamiętnej „wiosny ludów“, aby Mickiewicz zrzucił z siebie jarzmo, w którym trzymała go jedynie rozpacz bezczynu i beznadziei. Teraz Mickiewicz pali się jak płomień; Krasiński, który go w owym momencie widział w Rzymie, przerażony jest nim po prostu: w listach swoich, komicznie wystraszony, porównuje go do Dżingis-chana i do Pankracego z „Nieboskiej komedii“. Mickiewicz, wciąż wierny swoim pojęciem o solidarności sprawy ludów, tworzy legion polski, który pod polskim sztandarem ma walczyć przeciw Austrii za wolność Włoch. Pragnąc wyzyskać wszelkie szanse agitacjii, Mickiewicz stara się o pobłogosławienie sztandaru przez papieża; ale kiedy w czasie audiencji natrafia na trudności i obija się o gładką dyplomację Watykanu, w uniesieniu potrząsa gwałtownie papieża za rękę, krzycząc: „Wiedz, że duch boży jest dziś w bluzach paryskiego ludu“!

I po nowych rozczarowaniach roku 1848, Mickiewicz już nie wraca do dawnego jarzma. Zakłada w Paryżu w roku 1849 wielki francuski dziennik — pod znamiennym tytułem „Trybuna Ludów“. Przeobraża się w publicystę, daje codziennie artykuł, czasem dwa artykuły dziennie. Dowcip, sarkazm, grom oburzenia, — to znów trzeźwe logiczne rozumowanie — język treściwy i giętki — wszystko to znajduje do rozporządzenia poeta-publicysta.

Jeszcze w roku 1848 Mickiewicz nazwał w liście do Mazziniego swój legion włoski „armią republikańską i socjalistyczną“. „Skład zasad“, program polskiego legionu we Włoszech, napisany przez Mickiewicza, uderza swoim radykalizmem. Obecnie w „Trybunie Ludów“ Mickiewicz jawnie opowiada się przy czerwonym sztandarze.

Mickiewicz-socjalista, to dla wielu Polaków, starszego zwłaszcza pokolenia, brzmi jakże paradoksalnie. Tak innego Mickiewicza pokazywano im za młodu. Radykał — czerwony — to był Słowacki, a Mickiewicz to miała być owa Polska tradycyjna, kontuszowa, szkaplerzykowa. Ileż trzeba było z Mickiewicza ukryć, ile przeinaczyć, aby go wtłoczyć w to pojęcie. Ale nawet nie wymagało to zbyt wiele trudu. Jakże mały odsetek spośród dawniejszych czytelników „Pana Tadeusza“ mógł znać artykuły Mickiewicza z „Trybuny Ludów“, dopiero po wielu, wielu latach zebrane i wydane po francusku, a jeszcze o wiele później w polskim przekładzie. Każdy od dziecka umiał na pamięć jak Podkomorzy poloneza wodzi, a mało kto miał możność obcowania z myślą socjalną Mickiewicza, wyrażoną w najbardziej bezpośredniej formie. I znowuż w listach Krasińskiego znajdziemy wierne odbicie wrażeń, jakie ta działalność Mickiewicza wywierała na pewnym typie ówczesnej polskiej umysłowości: z uśmiechem dziś czytamy ów znany ustęp z listu Krasińskiego do Augusta Cieszkowskiego o „zbrodniach druku, równych zbrodniom ojcobójstwa, zdrady ojczyzny“, — ustęp kończący się słowami: „Dopierom się przekonał, jak głęboko upadł Mickiewicz“.

I mimo woli sięgamy po zbiór artykułów poety z „Trybuny Ludów“, aby sprawdzić, która to z jego wypowiedzi mogła przyprawić o taką zgrozę hrabiego Zygmunta. Może to ów cykl artykułów pt. „Socjalizm“, gdzie m.in. Mickiewicz pisze:

„Socjalizm nowoczesny jest tylko wyrazem poczucia tak starego jak poczucie życia, wyrazem odczucia tego co w naszym życiu jest niezupełne, obcięte, nienormalne, a wskutek tego nieszczęśliwe. To poczucie objawiło się z siła zupełnie nową, przyznajemy; jest to nowy zmysł . . . nowa namiętność. Dawniejszymi czasy roznamiętniano się miłością ku miastom rodzinnym, ku państwom czysto politycznym; te namiętności, bez wątpienia wielkie w porównaniu z namiętnościami ludożercy, który się roznamiętnia jedynie do uczty z ciała swego wroga . . . te namiętności można obecnie usprawiedliwić, jak zamiłowanie dzieci do cacek i cukierków, albo zamiłowanie posłów do posad i pen ji; zamiłowania . . . namiętności . . . prawowite w przeszłości, które jednak nie zdołają skusić ludzi spragnionych socjalizmu“ . . . „Socjalizm, jako całkiem nowy, ma nowe pragnienia i nowe namiętności, których pojąć nie mogą ludzie starego społeczeństwa, podobnie jak pragnień młodzieńca nie pojmie dziecięctwo ani zdziecinniała starość.”

Tak pisał Mickiewicz w „Trybunie Ludów“. Ale żywot „Trybuny Ludów“ miał być krótki. Jeszcze w tym samym roku 1849 rząd nowej republiki najpierw odsuwa od redakcji Mickiewicza, a potem zamyka pismo.

I następuje znowu kilka lat, w ciągu których horyzont ostatecznie się zaciemnia.

Kiedy wybucha wojna krymska, zrywa się jeszcze raz Mickiewicz-rewolucjonista, agitator, emisariusz — ale to już nie to samo co rok 48. I czasy są inne, i Konstantynopol to nie Rzym. Już zbliża się zresztą koniec jego pielgrzymstwa. Umiera w pełni działania, w roku 1855, 26 listopada.

„Polały się łzy me... na mój wiek męski, wiek klęski", mówi Mickiewicz w swoim wierszu napisanym w Lozannie. W istocie, tych ostatnich dwadzieścia lat życia, to nie jedna klęska, ale szereg klęsk, pasmo zawodów i rozczarowań. W-zamian za to, tryumfalne życie czekało poetę po śmierci. Ale i w tym pośmiertnym tryumfie ileż bywało bolesnej ironii! Jakże trzeba było nieraz okaleczyć tę namiętną myśl, przeinaczyć to burzliwe życie, aby je nagiąć do banalnych kultów składanych pod pomnikiem z bronzu. Jakże często imię i słowo Mickiewicza służyło za sztandar hasłom i obozom, które byłyby mu obce lub wręcz nienawistne. Jak często wstecznictwo i sobkoswto odbywało swoje zbory pod wezwaniem Mickiewicza, którego myśl była ich zaprzeczeniem. Jakże często czyniono symbol tradycji — i to jak wątpliwych tradycji! — z tego, który był wiecznym rewolucjonistą — najpierw w poezji, a potem w życiu.

JÓZEF SZCZEPAŃSKI.

W SAMARZE

DZIEJE KOLONII POLSKIEJ. USTĘP Z PAMIĘTNIKÓW.

Przypadkiem natrafiliśmy w Londynie na wspomnienia Józefa Szczepańskiego. Autor spędził wiele lat życia w Rosji a wspomnienia swoje spisał jako starzec już po Wielkiej Wojnie. Zanotował w nich szereg szczegółów ze swego pracowitego życia, bez myśli o drukowaniu ich kiedykolwiek, nie przypuszczając także, że fakty które w nich podał niedługo po jego śmierci mogą zainteresować Polaków.

Józef Szczepański urodził się w roku 1851, *zmarł w roku* 1931. *Pochodził z drobnoszlacheckiej rodziny z Grodzieńszczyzny. Wychowany w epoce powstania styczniowego, dojrzał w okresie kiedy przez pracę organiczną chciano dźwignąć byt narodu.*

Głęboko wykształcony nie tylko w zakresie nauk przyrodniczych lecz również humanistyki, Szczepański zajmował przez kilkanaście lat posadę nauczyciela w gimnazjum realnym w Samarze, w prowincjonalnym mieście rosyjskim nad Wołgą. Samara ówczesna to dzisiejszy Kujbyszew, a z miastem tym złączone są obecnie losy polskie silniej niż z jakimkolwiek innym w Rosji. Dlatego opis życia garści Polaków żyjących tam przed laty sześćdziesięciu, budzi nasze szczególne zainteresowanie.

Pisane stylem prostym, skąpe w plotki i w anegdoty, unikające charakterystyki ludzi i epoki, wspomnienia Szczepańskiego są surowe w treści, nieco suche nawet jak życie tego pedagoga, jednego z najświatlejszych pedagogów w Królestwie. Ale pod tą powierzchnią wyczuje czytelnik gorące serce i umysł głęboki, szczerą religijność i niezwykłą szlachetność. K. E.

Samara — miasto duże, stolica rozległej stepowej gubernii, porządnie zabudowane, połączone ze stolicami koleją, słynne było w latach osiemdziesiątych XIX wieku jako centrum handlu zbożem. Siedziba wielkich kupców zbożowych, milionerów, była wówczas na początku ogromnych koniunktur handlowych, związanych z budową kolei transsyberyjskiej. Wykańczała się właśnie kolej Samara — Ufa, przy której budowie pracowali liczni inżynierowie Polacy z inżynierem Sawrymowiczem na czele. W liczbie tych pionierów, niosących w niezmierzone stepy syberyjskie kulturę Zachodu był i dawny mój kolega z uniwersytetu Petersburskiego, Piotr Wilejszys, zatrudniony przy budowie mostu kolejowego na Ufie.

Jednak w tym bogatym mieście warunki życia okazały się dalekie od doskonałości: miasto nie było skanalizowane. Wodę do picia trzeba było przywozić beczkami z Wołgi i dopiero w domu filtrować prymitywnymi sposobami. Zamożne kupiectwo budowało przeważnie dla siebie wspaniałe domy, nie troszcząc się o tych, co musieli sobie najmować mieszkania. Wynalezienie więc wygodnego mieszkania okazało się trudnym do rozwiązania zadaniem, po przybyciu naszym do Samary. Pierwsze, jakie mogłem wynająć mieszkanie, w murowanym domu okazało się zimne. Jeszcze jako tako mogliśmy ogrzać sypialnię i pokój dla dziecka. Ale salonik pozostał lodownią. Tymczasem tylko w tym saloniku mogła żona przed koncertami ćwiczyć się na skrzypcach*, a musiała to robić przeważnie w nocy, po ułożeniu dziecka do snu. To też niebawem nabyła reumatyzmu w lewym ramieniu.

Dużą więc moją troską było wynalezienie lepszego mieszkania.

Zaznajomiliśmy się przede wszystkim z rodzinami Polaków, których było w mieście nie mało. W pierwszym rzędzie z dr. Antonim Kuleszą, lekarzem naczelnym wielkiego szpitala ziemstwa gubernialnego, oraz z bliskim jego krewnym dr. Grzegorzem Wirpszą, ordynatorem tegoż szpitala. Dr. Wirpsza, starszy człowiek, żonaty z Polką z matki Angielki, mieli dwie córki dorastające Anulę i Wicię i małego synka Genia.** Wirpsza był wzięty jako lekarz w wielu bogatych domach kupieckich, mieszkał we własnym domu i przez cały dzień jeździł z wizytami po pacjentach. Znał całe miasto i był jego żywą kroniką. Od niego to dowiedziałem się, że w śródmieściu Samary istnieją dwa domy, mające własną kanalizację, należące do niejakiego Wernera, Niemca zrusiałego. Dzięki właśnie posiadaniu domowej kanalizacji mieszkania w domach p. Wernera są poszukiwane i reflektując na nie trzeba je sobie zawczasu zamówić. Skorzystałem z tej rady i zapisałem się u p. Wernera, jako kandydat na lokatora. I rzeczywiście przebiedowawszy zimę, z wiosną mogłem zająć jedno opróżnione mieszkanie na parterze od frontu, wychodzące na obszerny pusty plac, który z czasem odegrał w naszym życiu rolę. Wspomnienie tego placu nasuwa mej pamięci ważną dla kolonii polskiej w Samarze historię.

Rozejrzawszy się w życiu samarskim, przekonałem się, że położenie kolonii polskiej pod względem narodowo — kulturalnym było pożałowania godne. Nie było żadnego ośrodka skupiającego tę liczną rzeszę Polaków, zamieszkałych w samym mieście jak i rozsianych po rozległych terytoriach siedmiu powiatów gubernii.

Zamożniejsza inteligencja polska żyła w bliskich stosunkach z inteligencją rosyjską, rodziny dochodziły do wielkiej zażyłości i przyjaźni, młodzież, wspólnie uczęszczająca do szkół rosyjskich bratała się, nie mając powodów do żadnych antagonizmów. Nastrój inteligencji rosyjskiej był

*Adela z Dziubińskich Szczepańska skrzypaczka, uczennica Apolinarego Kątskiego, rówieśnica i koleżanka Paderewskiego w Konserwatorium Warszawskim. W latach 1880 — 1900 koncertowała wielokrotnie w Rosji wyłącznie na cele dobroczynne polskie. Po powrocie do Kraju grała 1 skrzypce w kwartecie M. Karłowicza w Warszawie (P.W.).

**Inż. Eugeniusz Virpsha, budowniczy statków, osiadł po rewolucji, rosyjskiej w Anglii, gdzie dotąd przebywa. Obecnie jest kapitanem RAF'u. (P.W.).

liberalny, co sprzyjało wyeliminowaniu wszelkich nienawiści narodowościowych. Rodziny się przyjaźniły, nieraz się pokumały i w tak sympatycznej skądinąd atmosferze morze rosyjskie pochłaniało słabe strumyki polskie. W wielu domach polskich młodzież nie używała już wcale języka polskiego nawet w rozmowie z rodzicami, książka polska lub pismo były tam rzadkim zjawiskiem, a jeżeli gdzie i były sprowadzane — młodzież nie miała do nich smaku i pociągu. Religia była w zupełnym zaniedbaniu. W szkołach nie było katechetów katolickich. Znałem Polaka, wysokiego dygnitarza, który — nie będąc do tego niczym zmuszony — gorliwie stawał w cerkwi „na klirosie", t.j. wśród chóru cerkiewnego i wyśpiewywał modlitwy liturgiczne.

W tym morzu dobrowolnej rusyfikacji tliła słaba iskierka polsko-katolickiej tradycji wzniecana . . . przez państwową władzę wojskową. Dzięki temu, że polskich rekrutów wysyłano z reguły na wschodnie krańce cesarstwa, w garnizonach miast Kazańskiego okręgu wojskowego a więc i w Samarze byli żołnierze Polacy — katolicy. Dla nich z prawa obowiązkową była spowiedź wielkanocna.

Dla dokonania tej spowiedzi władze wojskowe raz do roku delegowały i do Samary księdza katolickiego. Miejscowe władze obowiązane były dostarczyć takiemu delegatowi mieszkania dla odprawienia nabożeństwa i spowiedzi żołnierzy.

Gdy zamieszkałem w Samarze, zastałem zorganizowaną dla wyżej wymienionych potrzeb kaplicę ; było to mieszkanko z 3 pokoi na I piętrze nad piekarnią, w drewnianym domu, w jednej z bocznych ulic. W jednym pokoju urządzany był ołtarzyk na przyjazd księdza, drugi służył za coś w rodzaju kancelarii i razem sypialni przyjezdnego kapelana, w trzecim mieściło się parę szaf z książkami, podarowanymi przez pewnego Polaka-zesłańca, p. Łempickiego, mieszkającego kiedyś w Samarze, który już wówczas wrócił do Kraju.

W roli kapelana przyjeżdżali przeważnie różni posyłani z Kazania księża, niekiedy zesłańcy po odbyciu wieloletniego zesłania na Syberii, internowani na zawsze na tych wschodnich rubieżach. Trafiali się nawet tacy, co podczas długiej tułaczki zesłańczej po zapadłych kątach Syberii zapomnieli nie tylko języka, ale i obrzędów liturgicznych. Czasem znów zjawiał się księżyna mniej fizycznie i duchowo tułaczką zesłańczą zrujnowany. Taki bliżej interesował się swoją przygodną owczarnią i — po obsłużeniu z obowiązku żołnierzy — zostawał na dłuższy czas gwoli pasterzowania polskiej kolonii. Wówczas patronat nad instytucją katolicką obejmowali wybrani przez ogół t.zw. syndycy. W tej roli zastałem właśnie doktorów Wirpszę i Kuleszę oraz dymisjonowanego kapitana Krasnodębskiego. Ten ostatni sprawował bezpośredni gospodarczy dozór kaplicy i mieszkał przy niej.

Wkrótce po przybyciu do Samary wciągnięto mnie do grona syndyków kaplicy, bym się bliżej tą sprawą zajął jako dotychczas zaniedbaną. Pierwszym zadaniem było ustabilizować istnienie w Samarze katolickiej kaplicy. W tym celu Polonia samarska na ogólnym zebraniu we wrześniu 1887 r. powołała komitet administracyjny, czyli t.zw. syndykat kaplicy w składzie takim : inż. gubernialny K. Loch-Niwiński, kupiec Józef Doczar, Słowak z pochodzenia, i ja, zastępcami zaś syndyków : inż. I. Winnicki i kpt. Kaz. Krasnodębski.

W imieniu tego syndykatu, złożyłem niebawem panu gubernatorowi, tajnemu radcy, Aleksandrowi Dymitrowiczowi Swierbiejewowi, podanie o zalegalizowanie kaplicy w Samarze. Odpowiedź pana gubernatora była odmowna.

Muszę tu zauważyć, że Swierbiejew darzył moją osobę specjalną niełaską, a to z takiego powodu. Opracowałem i wydałem kalendarz miejscowy na 1888 r. pod tytułem „Samarec", z dodatkiem przewodnika po kraju nad-

wołżańskim. Kalendarz zawierał prócz zwykłych wiadomości kościelno-kalendarzowych, obszerny dział astronomiczny specjalnie dla Samary opracowany, wiadomości statystyczne, szkice naukowe, geologiczne i kulturalne tego obszernego kraju. Kalendarz uzyskał pochlebną opinię prasy nie tylko miejscowej, ale nawet stołecznej i wywołał wielkie niezadowolenie gubernatora. Ten bowiem był zdania (które mi przy okazji osobiście zirytowanym tonem wypowiedział), że wydawnictwo kalendarza dla Samary jest przywilejem kancelarii gubernatora, przeto ja swoim wydaniem wszedłem w drogę tego urzędu i specjalnie naruszyłem interesy p. sekretarza kancelarii, do którego należało opracowywanie kalendarza gubernialnego. A to był w dodatku krewny p. gubernatora.

Niezrażeni odmową gubernatora wysłaliśmy podanie do arcybiskupa Mohylewskiego, jako władzy naczelnej nad kościołami katolickimi w cesarstwie rosyjskim (był wówczas metropolitą Mohylewskim ks. arcybiskup Gintowt), do urzędowego zaś podania dołączyłem prywatny list po polsku, obrazujący jaskrawo stan Polonii Samarskiej, na skutek nieposiadania ośrodka życia religijnego. Prócz tego pojechałem do Petersburga i zgłosiłem się do adwokata Władysława Spasowicza, opowiedziałem mu o niepomyślnym stanie naszej sprawy wobec sprzeciwu miejscowej władzy. Spasowicz nie obiecał bezpośredniego wystąpienia w tej sprawie, ale nie odbierał nadziei na jej pomyślne załatwienie i radził zwrócić się o protekcję do księżnej Wołkońskiej, co też drogą prośby listownej uczyniłem. Nie wiem jakim perypetiom ta sprawa ulegała ale faktem jest, że otrzymałem listy ks. kanonika Barancewicza, sekretarza arcybiskupa Gintowta, pod datą 9 czerwca 1888 r., którym zawiadamiał Polonię Samarską, że „rychło po Zielonych Świątkach zawita do was" naznaczony przez arcybiskupa proboszczem samarskim ks. Franciszek Karewicz, magister św. teologii, dotychczasowy profesor katolickiego metropolitalnego Seminarium Duchownego w Petersburgu.

W lecie 1888 r. ks. Karewicz przybył do Samary, zaopatrzony w nominację ks. metropolity na proboszcza parafii samarskiej i w pieczęć urzędową proboszcza tej parafii. Było to więcej niż mogliśmy się spodziewać!

Wypłynęła na porządek dzienny najpilniejsza sprawa odpowiedniego lokalu dla kaplicy samarskiej a w przyszłości, da Bóg, kościoła. Walne zebranie parafian wyłoniło Komitet. Celem i racją bytu Komitetu było zbieranie funduszu na pozyskanie lokalu dla kaplicy i zaopatrzenie go w inwentarz niezbędny dla służby bożej. Na posiedzeniu 23 lipca 1888 r. Komitet jednogłośnie postanowił uprosić p. Doczara, by na własny koszt nabył naznaczony wówczas na sprzedaż plac na ulicy Saratowskiej, ten właśnie plac przylegający do domów Wernera, o którym wyżej wspomniałem, oraz by na tym placu wybudował dom, nadający się do pomieszczenia w nim kaplicy, ewentualnie szkółki parafialnej i plebanii. Przezacny Doczar, ten były wędrowny druciarz, a wówczas już zamożny kupiec, posiadający w Baku obszerne tereny naftowe, zgodził się i na dzień 1-go listopada mogliśmy już pomieścić kaplicę w pięknej sali zajmującej całe wyższe piętro nowo wybudowanego domu, podług planu i pod dozorem p. architekta Chylińskiego, który z gorliwością oddał się coraz piękniejszemu urządzeniu wnętrza nowego domu modlitwy.

Jednakże p. gubernator Swierbiejew zakwestionał legalność utworzenia samarskiej katolickiej parafii, gdyż podobno ks. metropolita Mohylewski nie uzyskał wymaganego przez prawo pozwolenia władzy świeckiej. Podjęto więc zaraz starania, by i ten szkopuł usunąć i ostatecznie udało się to po wielu zabiegach.

Podług urzędowych danych statystycznych w m. Samarze w 1888 r. katolików było 857 osób, zaś w pięciu wymienionych wyżej powiatach zaliczonych do parafii samarskiej 827 osób. W powiecie samarskim istniały kolonie wiejskie powstałe na skutek osiedlenia tu w 60-tych latach włoś-

cian narodowości niemieckiej, łotewskiej i polskiej rz.-kat i ewangelickiego wyznania. Ludności tej była nadana przez rząd ziemia na własne gospodarstwa oraz pewne nadziały, przeznaczone na utrzymanie kościoła, duchowieństwa i szkoły. Koloniści ewangelicy od dawna mieli swoje kościoły, duchowieństwo i szkółki. Katolicy zaś pozbawieni byli duchowieństwa i organizacji kościelnej. Przez szereg lat gminy katolickie składały dochód z wydzierżawianej ziemi kościelnej do kasy gminnej i tą drogą zgromadziły się pewne fundusze na budowę kościoła i szkółek. Lecz z powodu braku duszpasterza fundusz kościelny pozostawał martwym, a nawet — pod różnymi pretekstami — używany był na dobro gmin ewangelickich, katolicy zaś, szczególnie dzieci, wsiąkali powoli do parafii ewangelickich i prawosławnych. Dopiero ks. Karewicz po nominacji na proboszcza parafii samarskiej, wejrzał w te sprawy, gorliwie zajął się odzyskaniem funduszów i wkrótce zbudował na tych koloniach dwie kaplice katolickie i założył przy nich szkółki ludowe.

Odtąd ks. katolicki dojeżdżał do tych kolonii stale, kilka razy do roku, bawił tam po parę tygodni, odprawiał nabożeństwa, prowadził katechizację dzieci, a obie szkoły otrzymały stałych nauczycieli utrzymywanych z funduszów gminnych. Ta opieka duchowa nad zaniedbaną od dawna ludnością bajeczny wywołała skutek. Do kapłana katolickiego pogarnęła się gremialnie ludność Polonii. Zaczął się żywiołowy powrót na łono Kościoła starszego pokolenia, które formalnie przypisane już było do inowierczych parafii. Wywołało to reakcję ze strony prawosławnego „batiuszki". Nie mogąc zrównoważyć wpływu kapłana katolickiego środkami apostolskimi, miejscowi popi uciekli się do donosu na księdza. Było to w czasach sprawowania urzędu proboszcza samarskiego przez następcę ks. Karewicza. Skarga została podana do archireja samarskiego, ten zaś wystąpił z oskarżeniem do sądu okręgowego. Odbyło się śledztwo i publiczna rozprawa sądowa nad księdzem z tytułu odpowiednich przepisów prawa państwowego. Wynik tej akcji był sensacyjny. Sąd wydał wyrok skazujący księdza w myśl odpowiednich przepisów kodeksu, atoli, zastosował amnestię ówczesną i uwolnił księdza od wszelkiej kary. Publiczność zaś zachowała się na sali sądowej wręcz demonstracyjnie przychylnie dla księdza : wyrok przyjęto entuzjastycznie, a opuszczając przybytek sądowy księdza mało nie rozerwano tłocząc się do ucałowania rąk jego i obcinając na pamiątkę kawałki jego sutanny. Archirej zaś, dowiedziawszy się o przebiegu i wyniku sprawy sądowej wydał do odnośnych parochów rozkaz, by na przyszłość nie ważyli się wtrącać do spraw księdza katolickiego !

Nie mniej błogie skutki ufundowanie parafii katolickiej miało i dla Polonii miasta Samary i jej okolic. Plebania stała się ośrodkiem życia towarzyskiego i społecznego Polaków samarskich. Weszło we zwyczaj na doroczne uroczystości kościelne urządzać na plebanii zebrania towarzyskie : na Boże Narodzenie — gwiazdkę dla dzieci, podczas której młodzież starsza uczęszczająca do szkół, występowała z deklamacją, śpiewem poezji i pieśni polskich, a stopniowo i towarzystwo starsze zaczęło organizować odczyty na tematy historyczno — literackie i produkcje muzyczne.

Dzięki takiej organizacji ożywiło się zainteresowanie książką polską i popyt na nią ; wśród młodzieży wytworzyła się emulacja do popisów na arenie publicznej, zawiązały się domowe kursy literatury i języka polskiego. Taki kurs m. in. ja prowadziłem dla młodzieży gimnazjalnej. Wywołało to w mieście zainteresowania społeczeństwa rosyjskiego życiem kolonii polskiej i chęć zbliżenia się doń. Idąc do pewnego stopnia na rękę tym nastrojom, urządziłem w zimie 1892 r. serię odczytów publicznych o rosyjskiej i polskiej literaturze drugiej połowy XIX-go wieku. Prelekcje te odbyły się w sali klubu Komercyjnego, w języku rosyjskim i miały bardzo liczne grono słuchaczy z inteligencji rosyjskiej.

Żyjąc w Rosji, poznawszy bliżej społeczeństwo rosyjskie, szczególnie inteligencję, jej wiele stron bardzo sympatycznych, bolałem zawsze nad tym, że Polacy i Rosjanie, przez fatum dziejowe, od wieków skazani są na tworzenie dwu wrogich obozów, na bratobójcze walki i wzajemne wytępianie się. Po raz pierwszy to uczucie bolesne opanowało mnie, jeszcze gdy byłem gimnazistą w Warszawie, gdzie tak wśród młodych moich nauczycieli jak i wśród rosyjskiego towarzystwa, poznałem ludzi wielce sympatycznych i serdecznych. Ten to kontrast między dodatnimi wrażeniami mego codziennego życia, a zaciętą nienawiścią panującą między najezdniczymi władzami a społeczeństwem, spowodował ucieczkę moją z Warszawy na uniwersytet petersburski. Żyjąc teraz już od lat w rdzennej Rosji niejednokrotnie doznawałem obostrzenia tego uczucia żalu nad wrogością stosunków rosyjsko — polskich. Byłem tego zdania, że w wielkim stopniu zawdzięczać się daje ta wrogość wzajemnej nieznajomości obu społeczeństw, brakowi wymiany tworów ducha czołowych przedstawicieli jednej i drugiej strony. Z tego to źródła wypłynęła moja decyzja wystąpienia z publicznymi prelekcjami w Samarze o polskiej i rosyjskiej literaturze drugiej połowy XIX-go wieku. Wszak w utworach, tak jednej jak i drugiej literatury owej doby, taki spostrzega się paralelizm myśli i dążeń obu narodów: rosyjskie ,,choždzienje w narod" i nasza praca nad ludem; rosyjski sceptycyzm filozoficzny i radykalizm społeczny a nasz pozytywizm i materializm ,,pracy organicznej"; wspólny u nich i u nas kult owych Darwinów, Spencerów, Dreperów, Comte'ów, Büchnerów, Moleschoffów i innych proroków chwili, którzy olśnili umysły naszych ,,postępowców" i rosyjskich ,,liberałów". To starałem się postawić przed oczyma mojego audytorium samarskiego. A w głębi duszy panowała mi zasada, że hasłu ,,kochajmy się!" powinno przodować hasło ,,poznajmy się!".

Chciałem jeszcze sięgnąć głębiej i wyprowadzić objektywnie ugruntowane wnioski oparte na poznaniu psychiki jednego i drugiego narodu, ujawniającej się w narodowych przysłowiach, uznanych za objaw mądrości pokoleń narodu. Z zestawienia rosyjskich i polskich przysłów, dotyczących takich zasadniczych pojęć jak: Bóg, wiara, sumienie, los, niebo, ziemia, praca, miłość, rodzina, wolność, prawo, obowiązek itd. spodziewałem się wysnuć objektywną ocenę podobieństwa i różnic psychiki narodów rosyjskiego i polskiego, odbitych w zwierciadle własnej tych narodów umysłowości. W tym celu sprowadziłem sobie z Warszawy ,,Księgę przysłów polskich" Adalberga. Odpowiednika rosyjskiego tego niestety nie odszukałem nigdy. O jednej tylko w tym rodzaju książce rosyjskiej wiedziałem t.j. o dziele Dala ,,Posłowicy wieliko-russkaho jazyka" lecz nabycie tej książki zostało dla mnie nieziszczonym przez całe życie ,,pium desiderium".

Wracam do dalszych dziejów parafii katolickiej i kolonii polskiej w Samarze.

W 1889 r, przy plebanii założona została szkółka dla dzieci polskich, którą prowadził nowo sprowadzony w lipca 1889 r. organista Mielech z Białegostoku. W szkółce tej znalazły możność bezpłatnej nauki dzieci rodzin niezamożnych. Oczywista, że otrzymały one tu naukę zasad wiary katolickiej i poznanie języka polskiego.

W październiki 1889 r. Duma miasta Samary, na skutek podania ks. proboszcza Karewicza przydzieliła parafii samarskiej 1.950 sąż. kw. pola z północno wschodniej strony miasta, w pobliżu plantu kolei Samaro — Ufimskiej, z przeznaczeniem na grzebalny cmentarz katolicki. Został on rychło poświęcony, okopany rowem i zaczęto na nim chować umarłych, po postawieniu na środku dużego krzyża drewnianego, poświęconego przez ks. Karewicza. Żona moja urządziła w tym czasie w Klubie Komercyjnym koncert polski, który przyniósł znaczny dochód na rzecz cmentarza.

Tu wspomnę, że zakrystianem samarskiego kościoła był stale Ludwik Towtkiewicz, jeszcze przez ś.p. teścia mego Adolfa Dziubińskiego poznany na wybrzeżu Wołgi, jako nędzny drwal, najmujący się po domach do porąbania drzewa, które w Samarze zakupuje się zwykle dużymi partiami (t. zw. piatieriki). Towtkiewicz, pochodzący ze Żmudzi, okazał się gorliwym w służbie kościelnej i doskonale z nią obeznanym, to też przez cały czas istnienia kościoła samarskiego był nie byle jaką figurą w jego administracji. Zyskał poważanie parafian, wychował przy szkole kościelnej kilkoro swych dzieci, w końcu dorobił się własnego domku na przedmieściu, na t.zw. Słobodce. Córka jego, chrześniaczka mojej żony, odwiedziła nas w Warszawie, po powrocie naszym do Kraju, będąc wówczas żoną poważnego rzemieślnika.

Dalszym etapem rozwoju parafii samarskiej było założenie przy niej Towarzystwa Dobroczynności.

Już od chwili ustalenia się w Samarze katolickiej kaplicy zaczęła się opieka nad ubogą ludnością wyznania katolickiego, tak stale zamieszkałą w Samarze i okolicy, jak i przygodnie tu znajdującą się podczas wędrówek z Kraju lub do Kraju, szczególniej tych co powracali w rodzinne strony z dalekich miejsc zamieszkania, często przymusowego. Od roku 1890 ta praktyka miłosierdzia chrześcijańskiego przybrała kształt planowej organizacji, koncentrującej się przy kościele i plebanii. Źródłem pomocy dla biednych stała się skarbonka w kościele, oraz ofiary wpłacane na ręce proboszcza, a z czasem i do kasy stałego zarządu Towarzystwa Dobroczynności.

Kiedy w jesieni 1892 roku opuścił naszą parafię ks. Franciszek Karewicz, jej pierwszy a tak zasłużony proboszcz, do Samary został przez arcybiskupa Mohylewskiego mianowany ks. Franciszek Łomsargis, rodem również ze Żmudzi.

Zajął się on nie mniej gorliwie pracą dla dobra swoich parafian w Samarze i na koloniach w powiecie. Objął — również bezpłatnie — naukę religii w średnich szkołach państwowych, koloniom poświęcał dużo czasu i pracy, a wielkie jej powodzenie w środowisku wiejskim spowodowało owo, opisane wyżej, wystąpienie ze skargą duchownych prawosławnych.

Wobec załatwienia już za duszpasterstwa ks. Karewicza najpilniejszych potrzeb katolików samarskich i pomyślnego zakończenia organizacji instytucji parafialnych, za czasów ks. Łomsargisa na czoło gminy katolickiej w Samarze wychodzi troska o wybudowanie trwałej murowanej świątyni. Podobne przedsięwzięcie jeszcze przed pięciu laty uznałby każdy za chimeryczną utopię. Gdy jednak w ciągu tych 5-ciu lat tyle już udało się pomyślnie dokonać, zadanie wybudowania pięknego, murowanego kościoła przyjęto spokojnie, jako postulat do wykonania w niedalekiej przyszłości.

Ks. Łomsargis, niestety, nie doczekał spełnienia tego tak gorąco przez niego upragnionego zadania. Po jego śmierci proboszczem został ks. Ignacy Łapszis, również Żmudzin. On to z pomocą Bożą dokonał tego upragnionego przez wszystkich dzieła. Podług projektu przyjętego na konkursie, wybudowany został w 1903 — 6 r. piękny murowany kościół wzorowany na wileńskiej świątyni św. Anny. Kościół został zbudowany na placu odkupionym od p. Doczara, gdyż — przewidując to z góry — prowizoryczną kaplicę drewnianą zbudowano w głębi placu. Konsekracja nowego kościoła dokonana została 25 lutego r. przez ks. arcybiskupa Mohylewskiego, Cieplaka.

Tak stopniowo wcieliły się w czyn pobożne życzenia polonii samarskiej.

Rok 1893 przyniósł katolikom samarskim pamiętną uroczystość, wizytację przez ks. arcybiskupa Symona, który wówczas sprawował urząd metropolity mohylewskiego i odbywał podróż kanoniczną po odległych

stronach rozległej archidecezji. Dla Samary była to pierwsza od czasu jej istnienia wizyta biskupa katolickiego i — jak dotąd — jedyna.

Przyjechałem umyślnie do Samary, aby zorganizować uroczyste powitanie duszpasterza. Bawiłem wtedy na wakacjach u przyjaciół moich, państwa Wojciechowskich w Adampolu.*

Arcybiskup Symon zabawił w Samarze przez dwa dni. Było to wielkie święto dla wszystkich parafian. Przez ten czas dwukrotnie odprawił w kościołku naszym mszę św., bierzmował 159 osób młodzieży i dorosłych, egzaminował dzieci z katechizmu, zrewidował zakrystie, poświęcił ołtarze, udzielił pierwszej komunii św. wielu dzieciom, ochrzcił dwa świeżo zakupione dzwony.

W 1916 r. mieszkając w Krakowie miałem możność odwiedzić ks. arcybiskupa Symona, który był wówczas proboszczem i infułatem kościoła Mariackiego w Krakowie. Przekonałem się, że pamiętał dobrze swoją wizytację kościoła samarskiego.

Ja opuściłem Samarę i przeniosłem się do Warszawy w 1901 r. kiedy budowa kościoła murowanego była tylko gorąco pożądanym projektem. Największe koło tej sprawy położył zasługi ks. Ignacy Łapszis. Przy nim parafia i kościół samarski rozwijały się i prosperowały. Niestety ! rewolucja rosyjska obaliła to piękne i zbożne dzieło Polonii samarskiej.

Po zawładnięciu Samary przez rząd rewolucyjny ks. Łapszis został wtrącony do więzienia, w którym przebywał przez czas dłuższy. Stracił zupełnie zdrowie, został sparaliżowany i zaniemówił.

Dzięki staraniom i opiece p. Witolda Popławskiego, syna państwa Popławskich, którzy bardzo czynny udział przyjmowali w opisanych wyżej dziejach parafii samarskiej, odwieziony został do Kowna, gdzie u brata smutnych dni swoich dożywa.

Co się stało z pięknym kościołem samarskim — nie wiem.

Poświęciłem umyślnie dłuższy opis dziejom samarskiej parafiii katolickiej, gdyż pracę moją na jej pożytek uważałem zawsze za najszczęśliwszy moment mojego życia, w którym znalazłem — wśród tułactwa na obczyźnie — zadowolenie moich aspiracji społecznych i narodowych.

LIST Z FRANCJI

NIENAWIŚĆ.

Mały Larousse podaje, iż przeciwieństwem nienawiści jest miłość.

Mały Larousse myli się.

Polskie przysłowia mają więcej racji, mówiąc: nienawiść oślepia — i: miłość oślepia.

Przeciwieństwem nienawiści jest objektywizm.

Nienawiść może być potrzebna w pewnych wypadkach, dla dokonania pewnych czynów, na które człowiek w normalnym stanie zdobyć się nie potrafi. Zastrzyk nienawiści może być potrzebny jako stimulus w czasie wojny, w akcji.

Ale planowanie pokoju w oślepieniu nienawiścią może stać się przyczyną popełnienia takich błędów, które doprowadzą do nowych klęsk.

Trudno nam zdobyć się dziś, tutaj, na chłodne oglądanie świata. Ale trzeba się na to zdobyć. Ponieważ są siły, które już zimno i z premedytacją liczą sprawy swego jutra, i podsycają nasze uczucie nienawiści nie poto by

*Adampol, majątek w powiecie Bugurustańskim. Właścicielem jego był inż. Adam Wojciechowski, niegdyś zatrudniony przy pomiarach stepów nad Wolgą. Skupił on wielkie obszary ziemi i wzorowo zagospodarował. Dwór Wojciechowskich był ośrodkiem życia polskiego w tych stronach (P. W.).

sprawiedliwości i zemsty narzędzie z nas uczynić, lecz by oślepienie nasze wykorzystać.

FASZYZM I HITLERYZM.

W prowadzeniu *wojny* brać w rachubę trzeba to, co jest największym wrogiem *dzisiaj*.

Lecz w planowaniu *pokoju* brać w rachubę trzeba to, co będzie największym wrogiem *jutra*.

Dzisiaj największym wrogiem jest siła niemiecka. I dlatego trzeba z nią walczyć. Jutro, po przegranej Niemiec, nie ich złamana siła zbrojna będzie naszym największym wrogiem i nie Niemcy pokonane i zrewoltowane, i nie rozpęknięty hitleryzm, który *po* klęsce rozsypie się od wewnątrz. Jutro największym wrogiem będzie *nasz własny faszyzm*, faszyzm francuski i angielski, faszyzm polski, czeski, jugosłowiański, — i dlatego walczyć z nim trzeba już *dzisiaj*.

Nasze własne faszyzmy, które inkasować będą na swe dobro wszystkie zwycięstwa, groźniejsze mogą się okazać od hitleryzmu, który przegra. Strzeżmy się, by w oślepieniu nienawiścią tylko do „hitlerowców", do „złych", „dobrych" i „zwyczajnych" Niemców — *nie przegapić* naszych własnych faszystów, *jutrzejszej* Polski ludowej wrogów nr. 1.

RATOWANIE RESZT.

Są tu tacy (nieliczni, ale są), którzy twierdzą, iż należy zachować grupy faszystowskie, aby w razie ewentualnego zwycięstwa Niemiec był ktoś, kto mógłby się z nimi dogadzć, kto mógłby *uratować resztę*.

Francuzi ratują resztę.

Lecz i Francuzi ratują dziś resztę nie dzięki Petainowi (Petain au Berceau), i nie dzięki Darlanowi (Darlan au Poteau), i nie dzięki Lavalowi — tej Jeanne d'Arc 1942 — jak go tu nazywają — *a wbrew nim*.

Francuzi ratują resztę dzięki swej świadomej inercji, dzięki temu, że uzgodnione z Niemcami rozporządzenia rozpływają się w powietrzu nim dojdą z Vichy do merostw czy komisarjatów policji miasteczek i wiosek francuskich, dzięki temu, że ignorują jak mogą i okupantów i własne władze i własną, nową Police Nationale, dzięki temu że, czekają *wiedząc*, iż ta *Police Nationale* i *Revolution nationale* zniknie w krwawym zakończeniu awantury i zdrady razem *z pain national*, z *café national* i z *savon national*.

Nie, faszyści nie są nam potrzebni wogóle. Wysłannicy spod takich znaków nie są nam potrzebni tu, we Francji. Możemy być pewni, że to nie oni ratują resztę tej Polski, jaka jest dzisiaj we Francji wolnej, możemy być pewni że *tę* „resztę" Polski ratuje się w b r e w nim.

ACHILLES I ŻÓŁW.

Jeśli logiczny napozór bieg myśli doprowadza nas do absurdu, jedyną radą jest odwołanie się do rzeczywistości.

Jeśli z logicznego toku myśli wynika, że Achilles nigdy nie dogoni żółwia, jedyną radą jest urządzić wyścigi Achillesa z żółwiem.

Co do mnie, stawiam na Achillesa.

Jednym z łańcuchów myśli, należących do sztafażu demokracji jest, iż zapewnia ona wolność wszystkim, nawet swoim przeciwnikom. Jakbyśmy nie chcieli bronić, temi czy innemi „logicznemi" słowami tej zasady, dzisiejsza krwawa rzeczywistość, równie jaskrawo chyba co doświadczenie z Achillesem i żółwiem, wykazuje jej absurdalność.

Nie wolno nam wierzyć w „prawdy", stojące w sprzeczności z *prawami* przyrody, z prawami wynikającemi z doświadczenia. Odczepmy się, na miłość boską, od pustych słów. Czy nie dość krwi i łez i huku bomb, by zbudzić się i ujrzeć rzeczywistość ?

Nie wiem jak powinno być w „zasadzie", jak powinno być w słowach. Ale w *dzisiejszej* rzeczywistości wolność może istnieć tylko wtedy, jeśli pozbawia się swobód demokratycznych tych, którzy z demokracją walczą.

Miljonowa demokracja brytyjska może sobie, być może, pozwolić na luksus reprezentacyjny faszystów. Lecz nasza tysiączna zaledwie demokracja polska tutaj nie może sobie pozwolić na luksus biuletynów, zadrukowanych wystąpieniami przeciw demokracji i przeciw demokratycznemu rządowi.

Światopogląd nie jest dany człowiekowi od Boga. Światopoglądu niema w genach. Światopogląd się tworzy. Młodzież polska tutaj nie przyjechała z gotowemi pojęciami. Chłopcy, którzy we wrześniu 1939 mieli po 16 lat, dziś mają 19. Są dorośli. Na czem się wychowali? Prawdę powiedzieć? Na faszystowskich pogadankach, odczytach i broszurach, kolportowanych po obozach i schroniskach. Po unji endecko — sanacyjnej te „biuletyny" urosły objętościowo i nakład ich podniósł się także. Niestety, w nielicznych polskich londyńskich pismach, jakie czasem widujemy tutaj, znaleźć można wystąpienia godne naszych faszystów. W radjo także. Wykorzystywane to jest przez naszą reakcję, która twierdzi, iż Polonia londyńska jest także faszystowska, z rządem demokratycznym na pokaz jedynie. Chcemy, wierzyć że to tolerowanie reakcji w polskiej prasie w Londynie jest reprezentacyjnym luksusem (niema tam pewnie ograniczeń papieru), ale luksus ten przynosi nam tu wiele zła. I tak trudno jest tu przeciwdziałać rozwijającej się akcji faszystowkiej. Nie należy zapominać że mamy przeciw sobie nie tylko faszystów polskich ale i francuskich. . . .

T. zw. masy mają poczucie rzeczywistości i jeśli widzą demokrację, która z samobójczą lekkomyślnością daje swobodę walki ze sobą samą swoim przeciwnikom, — odwracają się od niej, ponieważ, wbrew „logice" być może, w i e d z ą, że w takich zapasach Achilles żółwia dogonić musi.

Nie mają zaufania do demokracji, która pozwala sobie na luksus faszystowskiej opozycji. Wiedzą, że demokracja musi walczyć ze swoim wewnętrznym przeciwnikiem nie dyskusją, a czynem.

Masy mają poczucie wartości czynu.

Cenią czyn.

I cenią siłę.

Cenią tych, którzy umieją się obronić i którzy umieją się narzucić.

Demokracja musi być silna, musi umieć się obronić i musi umieć *siłą* narzucić swoje prawa demokratyczne.

Jeśli rządowi demokrateczemu zależy na Polakach we Francji, to musi to wykazać, nie słowami a czynem reagując przeciwko tym, którzy pragnąc klęski Niemiec marzą o zwycięstwie Hitlera.

S. T.

quelque part en France, sierpień 1942.

KSIĄŻKI

C. B. Purdom "The New Order,"

C. B. Purdom w swej nowej książce daje pełny plan przebudowy Wielkiej Brytanii, Europy i Świata. Książka ta bardzo odbiega od podobnej literatury angielskiej. Wpływy komunizmu i faszyzmu w starciu z poglądami demoliberalnymi dały dziwną mieszaninę. Mieszanina ta grzeszy brakiem zwarcia myślowego oraz nadmiernym schematyzmem konstrukcyjno-organizacyjnym. W mieszaninie tej znajdujemy jednak jednak szereg ciekawych propozycji, których wartość jedynie życie może potwierdzić. Punktem wyjścia rozumowań autora jest stwierdzenie, że nie ma możności powrotu do przesz-

łości. Purdom zgodnie z Pascalem twierdzi, iż ludzkość stanowi jedną rodzinę. Rodzina ta jest zróżniczkowana funkcjonalnie. Wobec zaś wykonywania przez tych samych ludzi różnorakich funkcji, żadna z organizacji nie ma prawa wyłączności w stosunku do jednostki.

Społeczeństwem jest zorganizowana zbiorowość związana z terytorium i państwem.

Z tych wychodząc założeń, autor próbuje nakreślić wizję przyszłego świata. Wizja ta winna wyrastać z gleby Wielko-Brytyjskiej.

Proponowany ustrój polityczny W. Brytanii w ogólnych liniach zarysowałby się jak następuje: Parlament złożony z trzech Izb. 1.) Izba obywatelska w zastępstwie Izby Gmin miałaby funkcje ustawodawcze. Prawo bierne wyborcze do tej Izby posiadałyby osoby, mające powyżej lat pięćdziesiąt. Kandydaci nie mogliby być związani z żadną działalnością gospodarczą. 2.) Izba gospodarcza miałaby powieżone zagadnienia gospodarcze i społeczne. 3) Izba kulturalna poświęcona zostałaby zagadnieniom tej dziedziny. Wybory do dwóch wyżej wymienionych Izb odbywałyby się na innej zasadzie niż wybory do Izby Obywatelskiej. Izba Wyższa z pewnymi zmianami pozostałaby utrzymana w charakterze Senatu. Poza tem autor przewiduje referendum ludowe.

Rząd, będąc organem politycznym nie posiadałby w swym łonie przedstawicieli Izb Gospodarczej i Kulturalnej. Zbiorowa odpowiedzialność Rządu przed parlamentem byłaby utrzymana. Sprawa stronnictw politycznych budzi w autorze wątpliwości— lecz nie opowiada się przeciw nim w sposób kategoryczny.

O ile projektowane zmiany polityczne nie sięgają zbyt daleko, o tyle reformy gospodarcze i społeczne, które szkicuje autor są radykalne. Za własność prywatną w pełnym tego słowa znaczeniu Purdom uznaje tylko te rzeczy, które człowiek lub jego rodzina używa. Ziemia i budynki stają się własnością narodu. Budynki i ziemia używana bezpośrednio przez właściciela zostaje dalej w jego władaniu kontrolowanym przez władze lokalne. Wywłaszczanym może być wypłacane odszkodowanie w postaci renty. Oszczędność prywatna nie powinna być uważana za cnotę. Oszczędność publiczna jest cnotą.

Eliminowanie zasady zysku przy produkcji zakończy wszechwładzę pieniądza. Nowy układ przekreśli również władzę jednej klasy społecznej nad drugą. Giełda i banki nie byłyby utrzymywane w dotychczasowej ich postaci. Banki nie wypłacałyby procentów za wkłady, a pobierały raczej wynagrodzenia za swe usługi. Pieniądz byłby przeznaczony do oddawania usług przy wymianie i byłby poprostu tylko miernikiem.

Wszelkie podatki byłyby zniesione, a państwo na swe potrzeby czerpałoby z ogólnego dochodu narodowego.

Płace robotników będą zróżniczkowane w zależności od ich uzdolnień. Płace te mogą być kapitalizowane. Nauczanie nie będzie podlegać kontroli państwa, lecz tylko Izbie Kultury. Wychowanie winno wydobywać wartość indywidualnych uzdolnień. Religia jest jednym z fundamentów zdrowia społecznego i dla tego winna być podtrzymywana. Kościół jest stróżem zasady odpowiedzialności przed Bogiem człowieka i rodziny za ich czyny. Nauka we wszystkich swych postaciach i działalności jest najwyższym instrumentem kultury gdyż uosabia dążenie do prawdy.

Na podobnych zasadach winna być zorganizowana Federacja Europejska. Federacja ta ma sładać się z szeregu równorzędnych bloków terytorialnych. Organizacja Kolonii i Dominiów nie może, odbiegać od schematu wskazanego. Bogactwa tych obszarów powinny być udostępnione wszystkim. Organizacja świata winna się ułożyć w podobnym schemacie. Jedność organizacyjnego schematu gwarantować powinna trwałość nakreślonych form.

J. K.

SPIS RZECZY

Str.

ANTONI SŁONIMSKI
O nacjonaliźmie 537-542

ALEKSANDER BRAMSON
Prawa człowieka a prawa narodów 542-550

JERZY KUNCEWICZ
Dynamiczne siły świata 551-556

GUSTAW GAZDA
Ofenzywa polska 557-563

JULJAN TUWIM
Kwiaty polskie (fragment) 564-565

JÓZEF ŁOBODOWSKI
Pani Salomea 565-567

MARJA KUNCEWICZOWA
W zamku Białej Damy 567-576

STEFANJA ZAHORSKA
Pierwszy dzień (fragment powieści) 576-583

FERDYNAND ZWEIG
Przeobrażenia gospodarcze w czasie wojny 583-593

HENRYK STRASBURGER
Bałtyk a bezpieczeństwo Europy 593-600

TADEUSZ BOY — ŻELEŃSKI
O Mickiewiczu 600-606

JÓZEF SZCZEPAŃSKI
W Samarze 606-613

S. T.
List z Francji 613-615

I. K.
Książki 615-616

3/-

Published by "NOWA POLSKA" 91 Great Titchfield Street London W 1 and Printed by
JOHN BALE & STAPLES LIMITED (subsidiary of STAPLES PRESS LIMITED)
83-91 Great Titchfield Street London W 1